

Konrad T. Lewandowski

Ksin koczownik

2006

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2006

Projekt okładki:

Michał Oracz

Wydawca:

Copernicus Corporation

ISBN: 83-8675865-1

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Specjalne podziękowania dla
Pawła Partyki i Wojtka Partyki*

1. KSIĄŻĘ KOCZOWNIKÓW

Powiedziała mu to nad ranem. Potem zasnęła wtulona w miękkie futro na jego piersiach.

Ona – księżna koczowników – Amarelis Dumna, ta, przed którą wstawiała plemienna starszyzna, wojownicy przyklękali, a najczcigodniejsze stare kobiety, mówiąc do niej, kładły rękę na sercu. Ksin nigdy nie mógł zrozumieć, jak bardzo zmieniała się jego młoda żona, gdy zostawali sami; zawsze zdumiewało go, jak w takich chwilach łagodniały jej władcze rysy, jak stawała się ufna, dziewczęca i spontaniczna, ale obecnie...

Zapatrzony na Amarelis po prostu zapomniał oddychać. Pierś z jej głową przestała unosić się na tak długo, że aż na twarzy śpiącej pojawił się grymas niepokoju.

To sprawiło, że otrząsnął się nieco z zachwyty i wciągnął powietrze, głęboko, powoli. Rysy Amarelis znowu się rozluźniły. Ostrożnie cofnął Przemianę, rozpoczętą mimowolnie, kiedy przedłużający się brak oddechu przybliżył go do stanu naturalnej śmierci.

Po pół roku życia w Pierwszym Świecie zaszły wyraźne zmiany w równowadze pomiędzy stanami egzystencji Ksina. Jego ciało w dość nieoczekiwany sposób przystosowało się do tutejszej magii. Cechy zwierzęce, w Suminorze ledwie widoczne, teraz zdominowały wygląd. Sierść już nie chowała się pod skórę, miał ją cały czas, co w czasie upałów nie było zbyt przyjemne, ale Amarelis nie narzekała. Oczy stały się typowo kocie, palce dłoni skróciły na tyle, że uchwyt rękojeści miecza lub styliska topora stracił dawną pewność. Do walki w naturalnej postaci kazał więc sobie zrobić krótki miecz z poprzeczną rękojeścią, przypominającą zakończenie łopaty, i uchwytem usztywniającym nadgarstek. Był to dobry pomysł. Mógł wreszcie przekształcać dłoń w szpony, nie wypuszczając broni z ręki. Miecz nadal trzymał się łapy, tworząc jakby dodatkowy pazur, dlatego nazwał go Szponem.

Na szczęście rysy twarzy nie zmieniły mu się przesadnie. Poza stanem Przemiany nadal dominowały w niej cechy ludzkie, choć już na pierwszy rzut oka było widać, że jest mieszańcem kota i człowieka. Jego koczownikom to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, stanowiło bowiem żywe potwierdzenie przepowiedni, której zawdzięczał swą władzę nad nimi. Natomiast przywódcy plemion spotykanych po drodze – podczas zwyczajowych ceremonii poświęcających przyjazne zamiary – z trudem kryli zmieszanie.

Jak będzie wyglądało dziecko?

Ta myśl była niczym zanurzenie głowy w lodowaty strumień. Nie sądził, że może mieć dzieci. Mieszkańce międzygatunkowe są zwykle bezpłodne. To było tak oczywiste, że nawet się nad tym nie zastanawiał. A jednak...!

Gdyby żona nie przebywała z nim każdej nocy, gdyby nie widział jej choćby przez jeden dzień, albo gdyby choć raz, na chwilę, zrezygnowała z towarzystwa swego orszaku służek i zacnych niewiast, które z przekąsem nazywał w duchu „damami namiotu”, nigdy nie uwierzyłby w swoje ojcostwo. Wszakże Amarelis potrafiła znaleźć się poza wszelkimi podejrzeniami. Tak bardzo, że pierwszym uczuciem po jej słowach była czysta radość. Dopiero teraz przyszło otrzeźwienie i obawa.

Sięgnął pamięcią do czasów swego dzieciństwa, do pokaleczonych rąk Starej Kobiety... i zrozumiał, że dziś już nie zaśnie. Mało tego! Nie uleży spokojnie ani minuty dłużej! Musiał się przejść. Chciał być sam.

Delikatnie, ale stanowczo zsunął z siebie nagie ciało żony, wstał, ubrał się szybko i przypasał Szpon. Zanim skończył, do namiotu weszły Kara i Murkwa – dwie koszarne staruchy w czarnych opończach. Po cichu nazywał je Starymi Wronami. Musiały usłyszeć, że się ubiera.

Zastanawiał się, czy one kiedykolwiek spały i czy w ogóle miały jakieś uczucia, bo żadne, choćby najdalsze odgłosy namiętności, nie robiły na nich najmniejszego wrażenia. Żadnego rumieńca, porozumiewawczego spojrzenia, półuśmiechu, dosłownie nic! A przecież obie były wdowami, miały wiele dzieci i wnuków, Murkwa nawet prawnuki. Musiały chyba pamiętać swą młodość? Wszystko wskazywało, że jednak nie pamiętały.

Obie jak zawsze zdawkowo skłoniły się Ksinowi, podreptały do łóża i bez słowa usiadły, Murkwa u wezglowia, a Kara przy nogach Amarelis. Natychmiast znieruchomiały niczym posągi. Gdyby zmienił zdanie, postanowił wrócić do łóżka i znów wziąć żonę w ramiona, one po prostu wstałyby i wyszły, co stanowiło jedyną formę ich aktywności.

Kara i Murkwa były Towarzyszkami Niewinności; w Suminorze zwano takie przyzwoitkami, choć tutaj oznaczało to coś więcej: ich obecność i misja uświęcały plemienne bóstwa. Towarzyszki Niewinności wzywano, aby koły obawy chorobliwie zazdrosnych mężów i chroniły dziewice przed obmową.

Był zdziwiony, gdy Amarelis nalegała na towarzystwo staruch od pierwszego dnia ich oficjalnego małżeństwa. Prawdę mówiąc, nie tylko zdziwiony, ale wręcz zniesmaczony tym pomysłem... Mimo to Amarelis nie ustąpiła. Teraz już wiedział dlaczego i czuł wdzięczność...

Wychodząc z namiotu pokłonił się Karze i Murkwie głębiej niż zwykle. Nie zareagowały.

Na zewnątrz przy ognisku czuwali Hakonóż i Arpia. Mówiąc ściślej: Hakonóż czuwał. Siedział wpatrzony w żar, opierając policzek o drzewce broni, której zawdzięczał swe przeżycie. Potrafił spać z otwartymi oczami, więc nie sposób było dojść, kiedy naprawdę śpi. Arpia natomiast spała na pewno głęboko, skulona niby embrion po drugiej stronie ogniska. Miała czternaście lat, była młodszą siostrą Amarelis i na zabój kochała Hakonoża.

On uparcie ignorował jej zaloty. Poza tym dziewczyna okazała się wybornym procarzem; z tej przyczyny oraz za wstawiennictwem księżnej zaliczono ją mimo młodego wieku do osobistej straży Ksina. Ma się rozumieć, uparta smarkuła zrobiła to po to, aby być blisko Hakonoża i po nic innego. Ponieważ jednak plemię nie prowadziło żadnej wojny, a nikt nie rzucał kamieni z procy celniej od niej, kotołak ku wielkiemu wstydowi i zazdrości wszystkich nastolatków płci męskiej wyraził zgodę.

Kobietom z rodu jego żony się nie odmawia. Zwłaszcza wtedy, gdy któraś postanowiła zdobyć męczyznę...

Po obu stronach wejścia do namiotu leżały porzucone posłania z futer, na jakich przed chwilą siedziały Towarzyszki niewinności. Futra powinny być jeszcze ciepłe... Nadarzała się okazja, by poczuć ślad ludzkiego ciepła którejś z nich, sprawdzić, czy obie są aby na pewno żywe, ale myśl o macaniu posłania staruch od razu przepłoszył niesmak.

Wyprostował się i rozejrzał dookoła. Namioty plemiennej starszyny stały w samym środku obozowiska, otoczone skleconą naprędcą palisadą, a raczej zasiekami i osobnym pierścieniem straży. Naprzeciw ich wspólnego mieszkania Ampeker, wokół pozostali. Przy zasieku spacerowało jeszcze trzech wojowników. Cały obóz spał, było spokojnie i cicho, ale spokój w Pierwszym Świecie bywał jeszcze bardziej złudny niż niebo nad nim. Nigdy nie wiadomo kto i z jakimi zamiarami wyłoni się zza najbliższego pagórka...

Zaledwie postąpił krok w stronę ogniska, Hakonóż natychmiast podniósł głowę. Zignorował gest kotołaka, aby pozostać na miejscu. Wstał i oparł się na swym hakonożu, spoglądając wyczekująco. Stał nad jego głową załśniła ciemnym, matowym blaskiem.

Właściwie to była glewia, ale koczownicy nie znali ani tego słowa, ani takiej broni. Hakonóż utrzymywał, że wymyślił ją sam, a Ksin nie chciał mu sprawiać przykrości wyprowadzając z błędu. Na długim na cztery łokcie okutym drzewcu sterczało lekko zagięte ostrze podobne do szabli, długie na kolejny łokieć. Za ostrzem znajdował się hak jak od bosaka. Hak i nóż, stąd wzięło się przezwisko właściciela broni. On sam to tak obmyślił, zamówił u plemiennego kowala i samotnie ćwicząc doszedł do wielkiej biegłości w walce. Pojedynczy jeździec w starciu z pieszym Hakonożem nie miał żadnych szans. Kotołak widział to nie raz, bo często spotykali w stepie nomadów dosiadających koni lub wielkich strusi, mających się z założenia za coś lepszego od pieszych, używających głównie zwierząt jucznych i pociagowych. Hakonóż albo wyzywał, albo przyjmował wyzwania nazbyt zadufanych jeźdźców i szybko ich uczył pokory. Wierzchowiec rzadko przeżywał tę lekcję, a jeździec ściągnięty hakiem z siodła najczęściej kończył z połamanymi kośćmi.

Jednakże nie dość, że nikt nie chciał Hakonoża naśladować, to jeszcze w całym plemieniu powszechnie wyśmiewano się z niego, a kobiety go unikały. Powodem był fakt, iż jego broń nie nadawała się do polowania. Mówiono zatem, że nie potrafi zadbać o rodzinę, uważano go za dziwaka, po trosze za szalonego mordercę.

Ksin widział w nim urodzonego wojownika, którego celem życia była doskonałość we władaniu wybraną bronią. Koczownicy tego nie rozumieli, bo choć odwagi im nie brakowało, walczyli tylko w potrzebie. W rezultacie, mimo że Hakonóż dobiegał czterdziestki (ile dokładnie miał lat – nie wiedział), nigdy nie miał żony i zapewne żadnych dzieci. Przez lata trzymał się na uboczu, z uporem ćwicząc ciosy swym hakonożem. Dopiero zauważony i doceniony przez kotołaka znalazł się w obrębie plemiennej elity.

Wkrótce potem zagieła na niego parol Arpia, która bez trudu mogłaby być jego córką i to bynajmniej nie najstarszą. Stary samotnik zupełnie nie wiedział jak znaleźć się w tej sytuacji. Zapewne przegoniłby zadurzoną podfruwajkę na cztery wiatry, gdyby nie była siostrą żony Ksina. W efekcie na jej karesy okazywał rozbrajającą mieszaninę irytacji i szacunku. Ta sytuacja najbardziej bawiła Amarelis, przekonaną, choć nie do końca, że siostrzyczka wkrótce otrząśnie się z zauroczenia surowym i małomównym wojownikiem.

Kotołak początkowo miał zamiar załatwić sprawę po męsku, doradzając Hakonożowi poślubienie Arpii, co ów, znając jego lojalność, wykonałby jeszcze tego samego dnia, ale ostatecznie uznał, iż nie powinien się wtrącać. Jego rzeczą były sprawy wojny i pokoju, problemy serca pozostawiał żonie. Koczownicza księżniczka, musiał to przyznać, znała się na tym znacznie lepiej od niego...

Było oczywiste, że nie pozbędzie się towarzystwa Hakonoża. Stanowczy zakaz byłby nie na miejscu, poza tym wiedział, że może liczyć na dyskrecję upartego rębajły, więc dał spokój i bez słowa ruszył w stronę przejścia w las.

Hakonóż gestem przywołał jednego z wartowników, by go zastąpił. Nie zamierzał pozostawiać namiotu wodza pod opieką nastolatki, którą w tej chwili można było ukraść razem z posłaniem, ogniskiem i zapasem opału. Zanim odszedł, przyklęknął i starannie poprawił skóry okrywające śpiącą dziewczynę.

Kotołak szedł szybko między namiotami, nie oglądając się więcej na Hakonoża. Pragnął jak najszybciej opuścić swe małe królestwo... Do tej pory nie potrafił rozstrzygnąć, czy jego obecne stanowisko to awans, czy degradacja w porównaniu z tym, co osiągnął w Suminorze? Tam miał pod komendą tysiąc świetnie wyszkolonych gwardzistów. Tu wszystkich zdolnych do walki mężczyzn zebraloby się niecałe pięć setek. W otwartej walce łatwo zostaliby rozniesieni w puch przez dwie, trzy setki regularnego wojska. Koczownicy praktycznie nie używali zbroi i hełmów, nawet nie każdemu chciało się nosić tarczę. Takich jak Hakonóż znalazłoby się może dziesięciu, nie licząc narwanych, młodych wojowników, którym wydawało się, że mogą wszystko tylko dlatego, iż nikt im jeszcze nie nabił naprawdę solidnego guza... Dla nich źródłem waleczności była przede wszystkim chęć imponowania dziewczętom. Z całą pewnością to plemię potęgi militarnej nie stanowiło!

Z drugiej strony: to byli jego ludzie... Naprawdę go potrzebowali – i jako dowodu, że ich bogowie nad nimi czuwają i jako wodza, który pewnie przeprowadzi ich przez trudne do wyobrażenia niebezpieczeństwa, nie pozwalając ginąć na darmo ojcom rodzin. W Suminorze

był tylko królewskim kaprysem, narażającym Redrena na poważne koszty polityczne, jakie szybko mogły przeważać zyski z jego usług. Tu nie musiał spadać co chwila na cztery łapy.

Nie, w sumie nie zazdrościł swemu bliźniakowi, powstałemu wskutek magicznego rozdzielenia. Nie bez powodu stał tak długo przed zwierciadlanym portalem, aż jego odbicie się uniezależniło. Tu był jednak panem swojego losu. Tam, czuł to wyraźnie, czekałoby go coś złego...

Dotarł do skraju obozu. Tutaj znajdowała się zagroda ze zwierzętami pociągowymi: końmi, mułami, osłami oraz wołami. Biegusy trzymano w innym miejscu. Opodal mieszkał Saro. Ów były złodziejasek i morderca, posiadający magiczną zdolność rozumienia i mówienia we wszystkich językach, zupełnie nie potrafił odnaleźć się po śmierci Bertii – strzygi i prostytutki, która znęcała się nad nim, omal nie zagryzła, ale jednocześnie darzyła prawdziwą i wzajemną miłością. Czas nie leczył, lecz jątrzył rany jego duszy. Szczęście Ksina i Amarelis wydawało się być dlań osobistą zniewagą. Coraz bardziej opryskliwy i ponury, zachowujący się z wciąż mniejszym szacunkiem, został w końcu wykluczony z plemiennej arystokracji. Jego umiejętność nie przydawała się zbyt często, gdyż plemiona od zawsze radziły sobie we wzajemnych kontaktach za pomocą mowy ciała.

Niepotrzebny nikomu Saro wszczywał awantury w obozie i nawiązywał burzliwe romanse, skutkiem czego raz oskarżono go o usiłowanie gwałtu, a kiedy indziej pewien rozwścieczony mąż omal nie zatłukł go na śmierć. Od tej pory były kochanek strzygi zaczął żuć nasiona szaleju, by złagodzić ból w przetrąconym kręgosłupie. Ostatnio zaś dał się uwieść samotnemu myśliwemu imieniem Czemo i zamieszkał z nim, mimo że – jak twierdził – mężczyźni nigdy wcześniej go nie pociągali. Zapewne była to namiastka związku z Bertią...

Namiot Saro i Czemo stał na samym skraju obozowiska. Ominął go szerokim łukiem. To było dokładnie ostatnie miejsce, w którym chciałby się znaleźć i opowiadać o swoich troskach.

Szedł szybko przed siebie i poczuł się wolny, gdy obóz całkiem zniknął mu z oczu. Pozostały tylko świecące nad głową obce gwiazdozbiory i nieprzewidywalne drogi błędzących gwiazd, które to jaśniały, to gasły niczym wielkie czyny.

Magiczny bezkres Pierwszego Świata ogarnął go, napełniając poczuciem, że jest jedyną istotą we wszechświecie. To było dobre uczucie, pozwalające skupić i rozjaśnić myśli. Co prawda, gdzieś z tyłu krył się Hakonóż, ale ten dobrze rozumiał, iż w takich chwilach nie należy włożyć Ksinowi w oczy.

Teraz już mógł zacząć się bać.

A jeśli Amarelis nosi potwora, który ją zabije? A może dziecko będzie zwierzęciem? A może trzeba je będzie oswajać – tak jak kiedyś ojca? A jeśli się nie da oswoić...?

Pytaniami bez odpowiedzi najlepiej nie zawracać sobie głowy. Co się wydarzy, temu stawia czoła! Skąd jednak jego żona wiedziała, że zajdzie w ciążę? Wszak od miesięcy zachowywała się, jakby miała pewność co do tego. Doskonale zdawała sobie sprawę, co sam

on sądzi o swojej płodności i przezornie dołożyła starań, żeby nie powstał choćby cień wątpliwości w kwestii ojcostwa.

Młoda desperatka, która postawiła wszystko na jedną kartę, aby zdobyć kotołaka, ryzykując degradację do roli „wspólnej dziewczki”, ba – wręcz otarła się o ów stan, żeby dzisiaj nosić dumny tytuł „najczcigodniejszej z niewiast”...

Czy to wszystko było jedynie szalonym porywem pierwszej miłości i namiętności? A aprobatą Ampekera, jego słowa: „Wojownicy oddadzą ci krew i życie. Czy sądzisz, że któraś z naszych kobiet mogłaby odmówić ci swojego ciała?”

To zdanie sprawiło, że zwrócił uwagę na Amarelis. Czyżby jego słodka i dumna księżniczka coś ukrywała?

Cóż...! Po słodkiej i dumnej kobiecie z pewnością nie należy spodziewać się całkowitej prostoty i braku tajemnic... Jeśli był jakiś sekret, to z pewnością łączył Amarelis i radę starców. Przepowiednia? Czyżby nie powiedzieli mu wszystkiego? Doprawdy, chyba jednak zbyt łatwo i szybko uczynili go swoim księciem!

Przygryzł wargi. Coś kryli w zanadrzu?

Trzeba będzie stanowczo rozmówić się ze starszyzną i moim dumnym skarbem, zdecydował.

Z drugiej strony, czyż jego podejrzenia nie były zanadto chorobliwe? Niby jak miała się zachowywać żona pragnąca dać dziecko mężowi przekonanemu, że dzieci mieć nie może? Miałyby za to zranić jej serce? Już prędzej własnymi pazurami wyrwałby sobie własne! Przypomniawszy sobie twarz Amarelis i zrobiło mu się całkiem głupio. Zrozumiał zarazem prostych wojowników, kłękających przed nią, kiedy się do nich zwracała...

Nagle poczuł się dziwnie... Jakoś swojsko... Jakby wrócił z dalekiej podróży... Chwilę stał zdezorientowany, po czym spojrzał w górę i zrozumiał. Nad Pierwszym Światem znowu wymienilo się niebo i tym razem był to nieboskłon Suminoru. Mimowolnie rozpoznanie znajomych konstelacji przerwało bieg jego myśli. Wprawdzie nie pierwszy raz widział ojczyste gwiazdy, poza tym widywał niekiedy znajome gwiazdozbiory przemieszane z obcymi (tutaj – zwykła rzecz). Jednak po raz pierwszy miał ujrzeć suminorską pełnię...

Księżyc wschodził szybko. Rósł w oczach niczym wielka, srebrna, mydlana bańka zgodnie z tutejszą zwichrowaną mechaniką nieba, która nienaturalnie przyśpieszała lub zwalniała zjawiska astronomiczne, osobliwie nie zaburzając rytmu dni i nocy.

Minutę później po skórze Ksina przebiegły dreszcze mocy Onego, zaczęła straszyć się sierść, grać kości... Powstrzymał spontaniczną Przemianę, wziął ją w karby woli... Stał i patrzył zupełnie bez jednej myśli, pozwalając, by srebrny blask przeniknął go aż do dna duszy. Sycił się zawartą w nim oszałamiającą mocą i świadomością, że potrafi nad nią zapanować.

Poczucie Obecności spadło nagle i zupełnie realnie w postaci kształtu, który w okamgnieniu zaistniał w powietrzu, gdzieś na wysokości ponad dwóch chłopów nad ziemią, po

czym upadł z łoskotem na ziemię kilkanaście kroków od Ksina. Zdążył jeszcze dostrzec błysk taflí znikającego magicznego portalu.

Stwór powstał sprężysto. W ciszy nocy rozległ się odgłos przypominający świergot cykady, lecz o wiele głośniejszy, ostrzejszy, rozbrzmiewający narastającą złowrogo nutą. Równocześnie w skrytym za wzgórzem obozie koczowników zaczęły wyć wszystkie psy. Kotołak usłyszał wyraźnie tupot biegnącego Hakonoża. Nie było czasu sięgać po Szpon, nie miało to zresztą sensu. Stał jest bezsilna wobec potwora Onego!

Zwolnił blokady woli i poddał się pełnej Przemianie, nie spuszczać oczu z przeciwnika.

Całkowicie owadzia głowa z mocnymi żwaczkami... Przedramiona przekształcone w ostre kosy... Wszystkie kończyny nienaturalnie długie, dodatkowe pary stawów, ale do tego całkowicie kobiece tułowy z wielkimi, sterczącymi piersiami o silnie przebarwionych sutkach, bujne biodra i nienaturalnie rozwarty, mokry, przekrwiony srom, który w księżycowym blasku połyskiwał lśniąco czernią...

Modliszkołaczka!

Rzadki rodzaj bestii, występujący tylko na wschodzie Rohirry. Nigdy nie spotkał się z tym gatunkiem osobiście. Kobiety umierające w jego rodzinnej Puszczy Upiorów w zdecydowanej większości przekształcały się w strzygi lub wampirzyce. O modliszkołaczkach wiedział tyle, ile wyczytał: wydzielaly zapach tak silnie wabiący mężczyzn, że ci pomimo ich wyglądu nie mogli się powstrzymać od cielesnego obcowania z nimi, w trakcie którego byli powoli rozrywani na ćwierci.

Przemieniony Ksin był bezpieczny, ale nie Hakonóż...

Nie mógł go ostrzec, bo nie mógł mówić. Prychnął więc wściekle, zabiegając mu drogę. Zdumiony wojownik przystanął, lecz nie zrozumiał. Tymczasem modliszkołaczka dochodziła do siebie po wstrząsie spowodowanym magicznym transferem i twardym lądowaniem. Przestała kręcić głową we wszystkie strony, skupiła wzrok na kotołaku i Hakonożu, poruszyła żwaczkami. Lekki wiatr zawiął od niej ku nim...

Hakonóż stęknął głęboko, niemal boleśnie, jego przepaska biodrowa opięła się i uniosła na podnoszącym się gwałtownie członku. W zamian glewia wypadła mu z ręki.

Pocziwy, żyjący tyle lat bez kobiety Hakonóż... Zresztą, nawet gdyby miał choćby najbardziej namiętą żonę, na niewiele by się to zdało. Jednak w tej sytuacji jego reakcja na wabiącą woń była tym gwałtowniejsza. Zdecydowanie odepchnął Ksina, próbując do niej podejść. Dostał w pierś łapą ze schowanymi pazurami, przeleciał pięć kroków, nakrył się nogami, ale jakby tego nie zauważył. Od razu wstał i z powrotem ruszył niczym ćma do świecy...

Modliszkołaczka czekała. Natychmiastowy atak nie leżał w jej naturze. Ofiary zawsze same do niej przychodziły. Rzadko trzeba je było gonić. Dopiero teraz pojawiła się wyraźna przeszkoda, którą należało usunąć!

Ogłuszenie ogłupiałego Hakonoża ciosem w skroń było najmniejszym kłopotem. Musiał tylko uważać, żeby mu przy tym nie przetrącić karku. Jednakże pomysł, by chwycić go zębami za kołnierz i zawlec do obozu okazał się niewykonalny w sytuacji, gdy potworzyca wsiadła kotołakowi na plecy...

Odległość pokonała jednym skokiem. Skrzyżowała rogowe kosy na końcach ramion i cięła niby nożycami, zmuszając Ksina do porzucenia wojownika i desperackiego uniku. Znów była nad nim. Na odlew chlasnął ją pazurami, rozrywając na strzępy prawą pierś. Wrzasnęła zgrzytliwie, zrejerowała na bezpieczną odległość i stanęła wyprostowana, zwracając się w stronę Księżyca. Dziesięć uderzeń serca później, całkowicie zregenerowana, wznowiła atak.

Tym razem była ostrożniejsza. Kotołak zatoczył półokrąg, odciągając ją od nieprzytomnego Hakonoża. Dосkoczył raz i drugi, badając jej reakcje i sposób walki. Ostrza przedramienne były naprawdę groźne – obosieczne i silne. Darń wręcz wybuchała, kiedy, chybiwszy go, uderzały w ziemię. Cięła nimi na odlew, z dołu, zza głowy oraz szarpała do siebie jak hakami.

Na szczęście nie była dość szybka, by dopaść zwijającego się w błyskawicznych unikach kotołaka. Ksin przypadł płasko do ziemi i przetoczył wprost pod jej nogi, unikając chaotycznych ciosów przednich łap. Na stopach miała jeszcze typowo owadzie pazury, ale nie mogła ich unieść, aby nie stracić równowagi, zaś sztywna, pokryta chitynowymi płytami szyja nie pozwalała spojrzeć jej pionowo w dół.

Zawahała się, nie uderzyła na oślep, nie chcąc poranić własnych nóg, i to przesądziło o wyniku starcia. Kotołak całym ciężarem ciała rzucił się na prawą nogę potworzycy, wyłamując jej dolne kolano, a jednocześnie pazury obu przednich łap wbił w jej lewe udo i szarpnął z całych sił.

Oderwał jej większość mięśni, obnażając kość na długość dwóch piędzi. Przerwana tętnica siknęła czarną krwią. Modliszkołaczka z przeciągłym gwizdem runęła na plecy, desperacki cios ramienio-ostrza znów minął łeb kotołaka, tylko skaleczyła sobie drugą nogę. Ksin był już w innym miejscu, gotów wypatroszyć przebierającą szaleńczo lecz bezradnie półowadziemi odnóżami potworzycę.

Musiała to pojąć, bo natychmiast zwinęła się w olbrzymi precel, przetoczyła w bok i spróbowała wstać. Teraz dopiero dopadł ją ból. Zaskowyczała, okaleczone nogi ugięły się pod nią, usiadła z rozmachem i zaczęła się wycofywać, szorując zadem o murawę, jednocześnie starając się tak ustawić, by księżycowy blask padł na jej rany.

W tej chwili bez trudu mógłby ją zająć od tyłu, oderwać głowę i wyszarpać serce, ale powstrzymał się od definitywnego zakończenia walki. Modliszkołaczka była znacznie mniej groźnym przeciwnikiem niż sugerował jej wygląd. Walczyła instynktownie, polegając na owadzych odruchach, ale bez właściwej potworom Onego furii i żądy mordy.

Płytki urok, nałożony na osobę żyjącą, ocenił, postanawiając nie zabijać napastniczki. Ważniejsza była odpowiedź na pytanie, kto i dlaczego zrzucił mu ją na głowę?

Modliszkołaczka zregenerowała rany, wstała, ale nauczka nie poszła w las. Zrezygnowała z walki. Kiedy zrobił ruch w jej stronę, odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Jednym efektownym skokiem oddaliła się od niego o ponad dwadzieścia kroków. Prychnął wściekle i ruszył w pogoń. W żadnym wypadku nie mógł pozwolić jej uciec! Popędził potężnymi susami, chcąc odrobić dystans.

Dwa potwory Onego gnały przez szary step skąpany w metalicznym świetle. Modliszkołaczka, skacząca niczym olbrzymi świerszcz, i kotołak, biegnący z drapieżnym wdziękiem geparda. Potworzyca skakała wyżej i dalej, ale rozpędzony Ksin odzyskiwał odległość w chwilach, gdy ona sprężała się do kolejnego skoku. Parę razy wylądowała na jakichś krzakach, tracąc sekundy, by się z nich wydostać i znaleźć solidne oparcie dla stóp. To pozbawiło ją szansy zniknięcia mu z oczu, ale nie zamierzała rezygnować. Zmęczenie w ich przypadku nie wchodziło w grę...

Mogli biec tak długo, aż pod znakiem zapytania stanęłaby możliwość powrotu kotołaka do obozu. W Pierwszym Świecie niestałe ruchy gwiazd i słońce nie pozwalały określać podstawowych kierunków i pozbawiały sensu wszelką nawigację. Z powrotem można było wrócić tylko po własnych śladach albo przypadkiem. Zasada Wiecznego Błądzenia stanowiła podstawowe prawo w tym nieograniczonym stepie.

Zaczął się zastanawiać, czy na to właśnie liczy modliszkołaczka, czy jej zadaniem nie jest aby odłączenie go od swoich na zawsze...? I gdzie znajduje się granica po przekroczeniu której nie zdoła już dostrzec swych śladów, bo zdeptana trawa zdąży się podnieść...?

Właśnie wówczas suminorski Księżyc zaczął zachodzić. Właściwie to zaczęło go ubywać. Srebrzysty krąg wyszczerbił się, zamienił w spiczasty rogal, wąski sierp i całkiem znikł. Przejście od pełni do nowiu nastąpiło w przeciągu zaledwie trzech minut, w czasie których modliszkołaczka coraz bardziej traciła siły, zwalniała, aż wreszcie przewróciła się i zaczęła tarzać w paroksyzmach odwrotnej Przemiany. Wkrótce na oczach Ksina zamieniła się w nieprzytomną, młodą kobietę, a raczej dziecko, mniej więcej rówieśnicę Arpii.

Nie była całkiem naga. Miała na szyi coś, czego wcześniej nie zauważył, jakiś wisiorek...

Powrócił do swej prawie ludzkiej postaci i usiadł obok, czekając aż świt przyniesie trochę więcej światła.

* * *

To był guzik. Miała zawieszony na szyi guzik od jego kaftana, który przed niespełna rokiem osobiście uszyła mu Hanti. Przedmiot należący do niego posłużył do zaadresowania demonicznej przesyłki...

Zacisnął zęby na myśl, co by się stało, gdyby modliszkołaczka wpadła w środek plemiennego obozowiska, albo wręcz do jego małżeńskiego namiotu...

Stanowczo zerwał wisiorek z szyi kobiety. Nie obudziła się, ani w ogóle nie zareagowała. To było normalne po spontanicznej i dzikiej Przemianie. Wiedział, że ofiara takiego uroku będzie odsypiać nocny szal przynajmniej przez kilkanaście godzin.

Schował guzik do sakiewki przy pasie, zarzucił sobie nieprzytomną dziewczynę na ramię i ruszył w powrotną drogę. Na szczęście miał koci wzrok i nie musiał czekać, aż nowy dzień wstanie w pełnej krasie. Do tej pory ślady gonitwy mogły się już niebezpiecznie zatrzeć, gdyż przebiegli naprawdę wielki kawał stepu...

2. INICJACJA

Gdy kotołak powrócił, Hakonóz siedział w trawie trzymając się za głowę. Nie wyglądał dobrze, wzrok miał błędny, widać było, że wymiotował.

Ksin westchnął ciężko – wstrząs mózgu jak nic, dobrze, że zostawił go leżącego twarzą do ziemi. Jeszcze nigdy nie musiał miarkować siły ciosów po Przemianie, więc nic dziwnego, że przesadził. Oby tylko obyło się bez konieczności wiercenia dziury w czaszce, żeby złagodzić ucisk opuchniętego mózgu...

– Możesz iść? – przystanął nad wojownikiem.

– Mogę... – stęknął Hakonóz i wstał podpierając się drzewcem swej broni. – Co mi się stało?

– Musiałem cię ogłuszyć i za mocno uderzyłem, wybacz.

– Przez nią? – wojownik wskazał ręką na pośladki dziewczyny wiszącej bezwładnie na ramieniu kotołaka. – Ale czemu...?

– Nic nie pamiętasz?

Z wysiłkiem pokręcił głową.

– Chodźmy do obozu – zdecydował Ksin. – Później wszystko objaśnię.

Ruszył za Hakonożem uważnie śledząc jego ruchy. Wojownik starał się trzymać prosto, ale widać było, że głowa bardzo mu ciąży. Gdyby nie miał się jak podeprzeć, chodziłby niczym pijany.

– Gdy wrócimy, połóż się, ale nie zasypiaj... – doradził mu.

– Wiem... wiem, co trzeba robić po uderzeniu w głowę – odparł Hakonóz. – Nie pierwszozna mi...

– Co, tak często cię kotołaki turbują?

– Kotołaki może i nie – wojownik uśmiechnął się blado – ale w boju kopytem w łeb od konia wziąć nie raz bywało...

– Prawda! – Ksin odprężył się nieco. – Mówią, że masz łeb zakuty jak trzy hełmy...

– Prawdę mówią! – zezłościł się Hakonóz i splunął. – Miałem cię panie strzec, a ciężarem byłem...

– Nie mogło być inaczej, nic byś tu poradził – odpowiedział poważnie kotołak. – Lecz na przyszyły raz nie łaż za mną, kiedy ci nie każę. Nie wszystko, co rada uradzi, to zaraz sama mądrość.

– Dobrze – odrzekł po długim namyśle – ale tylko poza obozem. W obozie za wodzem, dla powagi, zawsze ktoś stać musi!

– Zaczekaj tu na mnie! – Ksin puścił ostatnią wypowiedź mimo uszu i skręcił prosto do namiotu Saro i Czemo.

– Hej! Jesteście tam – uderzył mocno otwartą dłońią w skóry rozpięte na drewnianym rusztowaniu. Cały namiot aż zadygotał.

– Kto pyta?! – rozległ się zaspany głos Saro.

– Nie poznajesz? Wchodzę!

Wewnątrz panował zadymiony półmrok, śmierdząco skisłym, męskim potem i nie była to jedyna ludzka wydzielina psująca powietrze... Nieprzyjemna, dławiąca gardło woń mocno kontrastowała z bardzo wyszukaniem, jak na koczownicze zwyczaje, urządzonego wnętrza. Powierzchnie ścian pokrywały starannie wykonane kolorowe hafty i malunki, przedstawiające sceny miłosne z udziałem mężczyzn i zwierząt oraz fantastycznych stworów, wyłącznie o cechach męskich. Ramy stojaka z bronią zdobiły starannie cyzelowane płaskorzeźby, oszczepy stały w nim w idealnym szeregu. Równie skrupulatnie ułożono w haftowanym kołczanie strzały o pstrokato kolorowych lotkach. Nawet kamienie wokół paleniska na środku namiotu starannie ociosano, dopasowano i pokryto rytami. Wszystkie upiększenia – budzące po równo podziw i pusty śmiech współplemieńców – były dziełem Czemo. On sam i Saro siedzieli nadzy na posłaniu z miękkich skór i ze zdumieniem gapili się na Ksina.

Kotołak bez specjalnej ceremonii zsunął swe brzemię pomiędzy mężczyzn. Czemo odsunął się w popłochu, jakby dotyk kobiecego ciała mógł go oparzyć, zaś złodziejasek patrzył zaintrygowany.

– Zajmijcie się nią! – rozkazał Ksin.

– Dlaczego?! – gospodarz niemal zapiszczał z oburzenia. – To mój namiot! Ja... – spojrzał w oczy kotołaka i zrezygnował z buntu. – Czemu tu?! – jęknął tylko.

– Bo z tego, co wiem, ty, Czemo, będziesz od niej całkowicie bezpieczny – rzucił Ksin.

– A ja? – spytał Saro, przyglądając się badawczo nieprzytomnej dziewczynie.

– Ty masz już z takimi niemałe doświadczenie...

– Z takimi...? – powtórzył machinalnie łotrzyk. – To ona jest... jak Bertia?! – Aż zeszytywniał z wrażenia.

– Mniej więcej...

– Mniej czy więcej?

– Lepiej nie oglądaj jej w księżycowym świetle.

– Skąd ją wziąłeś, kapitanie?

Kotołak zawahał się. Nie wiedział, czy lepsza będzie odpowiedź: „upolowałem”, czy może „spadła mi z nieba”. Ostatecznie zamilczał pytanie.

– Jej urok rzadko ujawni się u nas – odpowiedział w końcu. – Jesteście bezpieczni przynajmniej przez kilka tygodni, a gdyby nawet nie, to i tak nikt w obozie nie poradzi sobie lepiej od was, póki nie przyjdę z pomocą. Chcę żebyście dowiedzieli się, co to za jedna i kto ją tu zesłał. Potrzebny będzie twój Dar Języków, Saro.

– Widzi mi się, że to Karyjka... – łotrzyk podrapał się w głowę.

– Nie mówię po karyjsku – rzekł Ksin.

– Nigdy nie pracowała ciężko – stwierdził Saro, oglądając dłonie dziewczyny. – I zawsze chodziła w dobrych butach – pomacał jej stopy, po czym z obłęsnym uśmieszkiem włożył jej rękę między uda. – Dziewica! – oznajmił.

– Więc niech nią zostanie – burknął kotołak. – Przynajmniej dopóki się nie obudzi...

– A po co, skoro i tak trzeba będzie ją zabić?

Czemo spojrzał zgorszony na swego kochanka. Nie dało się poznać, czy przyczyną zgorszenia była zazdrość o nieznajomą, czy zamiar zabójstwa?

– Jeszcze zobaczymy, czy będzie trzeba! – uciął dywagacje Ksin. – Na razie traktujcie ją jak siostrę.

Zwrócił się do Czemo:

– Wiem, że proszę o wiele, ale będę pamiętać o tej przysłudze...

Myśliwy skinął głową.

– Jako siostra być może – powiedział miękko. – Podzielę się z nią przyodziewkiem, najlepsze będą...

Kotołak odwrócił się i wyszedł bez słowa. Na zewnątrz odetchnął głęboko. Zaiste, ciekawe, które z nas czworga jest większym odmieńcem?

W zadumie przeczesał palcami sierść na swych piersiach. Magia życia jest pełna szaleństwa...

W międzyczasie Hakonóz o dziwo ani nie upadł, ani nawet nie usiadł. Był blady, ale stał przed namiotem, spokojnie czekając na kotołaka.

– Już...? – raczej stwierdził niż spytał.

– Okaże się... – odpowiedział z roztargnieniem Ksin, patrząc na kilku gapiów, którzy mimo wczesnej pory zdążyli zauważyć, co ich ksiązę przyniósł do namiotu Odmieńca, jak potocznie określano Czemo.

– Chodźmy! – ruszył w głąb obozowiska.

Obóz ożywał powoli. Przed namiotami o najrozmaitszych kształtach: okrągłych, stożkowych, podłużnych jak półkoliste jaskinie oraz kwadratowych, podobnych do tego, którego właścicielem był Czemo, pozszywanych z surowych lub malowanych skór, zaczynał się poranny ruch. Dzieci w większości jeszcze spały, ale kobiety już krzątały się przy ogniskach. Niezwyczajny widok o tej porze stanowili starcy: stali gdzieniegdzie małymi

grupkami, coś szeptali i patrzyli pytająco na mijających ich Ksina i Hakonoża. Niewątpliwie oczekiwali wyjaśnień po nocnym koncercie psów...

Kotołak nie przystawał, zdawkowo odpowiadał na pozdrowienia. Ogarniała go irracjonalna złość. Na siebie, na Amarelis, Ampekera i resztę starszyny. Zrobiło się niebezpiecznie, bez wątpienia ktoś na niego polował, a oni zabawiali się w jakieś sekrety i próbowali nim grać jak pionkiem na szachownicy! Nie spodziewał się tego, zwłaszcza po żonie...

Nocna przygoda sprawiła, że z uleciało z niego zauroczenie i sentymenty. Miał wrażenie, iż cały świat stanął przeciwko niemu.

W tym nastroju przekroczył zasięg oddzielający czerwone, dwumasztowe namioty starszyny od reszty obozowiska. Poszedł prosto do siebie.

Jego małżonka już wstała. Klęczała przy wygasłym ognisku, przy którym czuwał w nocy Hakonóż, i rozczesywała włosy zaspanej Arpii. Dziewczyna chyba dopiero co wygrzebała się spod skór. W przeciwieństwie do niej, Amarelis miała na sobie wszystkie ozdoby, umalowane henną oczy i włosy starannie ułożone w wysoką kitę przetykaną sznurami paciorków. Założyła brązową suknię i srebrne ozdoby. Wyglądała godniej niż zwykle. Zapewne oczekiwała, że Ksin oficjalnie ogłosi radosną nowinę i ubrała się stosownie na tę okazję. Trzy kobiety – owe „damy dworu”, zwyczajowo towarzyszące jej za dnia – już przybyły i oczekiwały na polecenia.

Arpia na widok Ksina i Hakonoża naburmuszyła się niczym dziecko, bez wątpienia za to, że nie zabrali jej na nocną wyprawę... Jeszcze tego by brakowało!

Kotołak poczuł, że ma już naprawdę dość małych, kobiecych intryg oraz humorów tej smarkuli i należy dać upust złości.

– Małżonko! – oznajmił głośno, unikając wzroku Arpii.

Amarelis oddała kościany grzebień jednej ze swych przybocznych, która natychmiast zajęła się włosami Arpii, a sama wstała, patrząc wyczekująco na męża.

– Ty i twoja siostra natychmiast powróćcie do namiotu waszego ojca! – rozkazał.

Kobieta z grzebieniem zamarła w pół ruchu. Arpia poderwała się, otworzyła usta, ale dłoń Amarelis opadła na jej ramię i zmusiła do pozostania w dotychczasowej pozycji. Spojrzała na starszą siostrę i zrezygnowała z zabrania głosu.

Ksin i Amarelis patrzyli sobie w oczy. Pomimo zaskoczenia nie drgnęły jej nawet kąciki warg. Tylko źrenice stały się odrobinę większe.

– Jestem posłuszna mojemu małżonkowi... – odrzekła bardzo spokojnie i obejrzała się na swe damy. – Pomóżcie nam zebrać nasze rzeczy! – rozkazała. Głos zdrzął jej dopiero przy ostatniej sylabie.

To dla twojego bezpieczeństwa... chciał powiedzieć, ale słowa nie przeszły mu przez gardło. Nie mógł wyrazić tej myśli nawet spojrzeniem, bo Amarelis już nie patrzyła na niego.

Stał więc z dłonią opartą na rękojęści Szpona, wyprostowany i wyniosły ponad wszystkie sprawy tego świata.

Arpia nie rozumiała niczego i łykała łzy. Sądząc po jej spojrzeniu błędzącym obok Ksina szukała poparcia Hakonoża. Nie znalazła go.

Kotołak spojrzał twardo na swą szwagierkę.

– Pomóż siostrze! – rozkazał.

Powiedział to zdecydowanie za twardo i za głośno.

Ryknęła płaczem, poderwała się i zamiast pomóc – pobiegła między namioty. Amarelis popatrzyła za nią, potem z wyrzutem na Ksina, ale zobaczyła w jego oczach coś takiego, że natychmiast sama spuściła wzrok.

Kotołak usłyszał kroki i obejrzał się. Nadchodził Ampeker. Przywódca plemiennej rady najwyraźniej był dobrze zorientowany, co się dzieje. Może nawet za dobrze...

– Oczywiście masz do tego prawo, książę – powiedział. – Każdy mąż może oddalić żonę, ale jeżeli jego gniew nie ustanie po dwóch tygodniach, winien głośno i wobec wszystkich oznajmić, jakie zarzuty stawia swej małżonce...

Ksin spojrzał mu w oczy.

Ty wiedziałeś, że można się tego po mnie spodziewać!

Miał zamiar rzucić mu te słowa w twarz, ale zmilczał. Wiedział do czego zmierza Ampeker: potwierdzenia ojcostwa jego nienarodzonego dziecka. Jeżeli on zakwestionuje wierność żony, odbędzie się wiec oraz sąd, podczas którego sprawę bez wątpienia rozstrzygnie świadectwo Towarzystek Niewinności i nie dowierzający swemu szczęściu małżonek wyjdzie na głupca. Tylko po co to wszystko? Czemu im tak zależało? Nie zamierzał jednak stawiać się w roli proszącego o wyjaśnienia. Niech sami mówią, skoro chcą uniknąć jego gniewu!

Jedna z kobiet podała Amarelis przygotowany naprędce skórzany toból. Księżna wzięła pakunek, skłoniła się sztywno mężowi i odeszła w ślad za Arpią. Patrzył na nią ze ściśniętym gardłem, lecz nie dał nic po sobie poznać.

– Dziś dopełnimy obrzędu inicjacji młodych mężczyzn – zwrócił się do Ampekera, z rozmysłem ignorując wypowiedź starca. – Czy wszystko jest gotowe do tej uroczystości?

– Tak, książę, lecz upewnij się co do tego, jeśli pozwolisz.

– Zrób to, czcigodny Ampekerze.

Starzec położył rękę na sercu, skinął głową i odszedł.

Kotołak bez słowa usiadł na posłaniu Arpii i zapatrzył w wygasłe węgle ogniska. Hakonóż usiadł naprzeciw, kładąc glewiew na skrzyżowanych udach. Jedna z towarzyszek Amarelis, nim odeszła, podała im jedzenie: suszone mięso, owoce, wczorajsze placki i piwo z nasion dzikich traw. Wojownik odsunął dzban z piwem w stronę kotołaka i poprosił o czystą wodę.

Jedli powoli, w milczeniu. Połędwica stepowej antylopy była krucha i smaczna, ale Ksin żuł ją niby starą skórę. Jedzenie z trudem przechodziło mu przez ściśnięte gardło. Dopiero przy drugim dzbanie piwa rozluźnił się nieco, ale na tym musiał poprzestać – dzisiaj nie mógł się upić, choćby nawet bardzo chciał.

Po kwadransie zbliżył się do nich Assis – jednoręki plemienny mag-uzdrowiciel – i zapytał o przyczynę nadzwyczajnej bladej skóry Hakonoża. Wojownik powiedział o uderzeniu w głowę, nie wspominając, że uderzył go kotołak i nie wchodząc w żadne inne szczegóły. Uzdrowiciel przysiadł się, zdrową ręką obmacał jego głowę, po czym sięgnął po swą torbę i mrucząc zaklęcia zaczął mieszać ziołowe proszki.

Wbrew pozorom zaklęcia nie dotyczyły szykowanego właśnie leku. Assis skierował je do protezy własnej lewej ręki. Na miejscu utraconego przedramienia przymocował sobie wysuszony szpon orła, który zaciskał się i rozwierał pod wpływem odpowiednich magicznych słów. Nabral już takiej wprawy, iż bez trudu chwycił nim woreczki z ziołami, pewnie trzymał glinianą miszkę, a nawet bez niczyjej pomocy potrafił nalać do niej wody. Musiał tylko do swej niby-orlej ręki wciąż mówić, przeplatając zaklęciami normalne wypowiedzi. Ów osobliwy zwyczaj oraz wystający z rękawa ruchomy szpon dodawały mu niemałego splendoru wśród współplemieńców.

– Ryzykujesz starość... *merih*... ze zmaconym... *antr*... umysłem – oznajmił na koniec.

– Bogowie Burzy dadzą, że nie dożyję ludzkiej litości – rzekł Hakonóż, przyjmując podaną mu miseczkę z lekarstwem. Wsypał zawartość do ust i popił wodą.

– Ilu młodych ostatecznie staje dziś do prób? – zapytał go kotołak.

– Na pewno ćwierć setki, może trzy dziesiątki – odpowiedział. – Ci nowi jeszcze się nie zdecydowali.

Koczownicy Ksina po powrocie do Pierwszego Świata wchłonęli kilka małych klanów oraz rodzin napotkanych w stepie. Ich języki oraz zwyczaje były na tyle zbliżone, że nie przeszkadzały we wspólnym życiu w jednym obozie. W zamian odłączyło się parę młodych małżeństw, a raczej par, których rodzice mieli coś przeciwko młodym, i w rezultacie nigdy więcej ich nie zobaczono.

Tak zwykle się działo tutaj, gdzie w obliczu wewnętrznych niesnasek niekiedy nawet całe grupy dzieliły się i rozchodziły w przeciwne strony. W sumie jednak przez ostatnie pół roku plemię znacznie się rozrosło, a liczba wojowników niemal podwoiła. Stało się tak głównie za sprawą samego kotołaka. Jego obecność uważano za boski znak: ludowi, któremu przewodzi ktoś taki, pisana jest wielka przyszłość.

Nigdy nie wypowiadał się przeciwko tym plotkom, choć trochę go niepokoiły. Plemię powinno być liczniejsze, a że dzięki pogłoskom było...

– Naszych ludzi przybyło w ostatnim czasie... *merih*, *antr*, *antr*, *merih*... – Assis spakował swą torbę, ale nie kwapił się do odejścia. – W zeszłym roku... *antr*... tylko dwunastu młodzieńców stanęło do inicjacji.

– Wielu ludzi trudno wyżywić – zauważył Ksin. – Jak dotąd nie ma z tym kłopotu, ale kto wie, co będzie za rok, dwa? Może nie powinniśmy przyjmować wszystkich, którzy chcą się przyłączyć...

– Nie przyjmujemy wszystkich, tylko tych, którzy gotowi są uznać nasze obyczaje i poddać się woli naszej starszyny oraz twojej – odrzekł uzdrowiciel. – Im więcej ludzi tym lepiej. Jedzenie nie jest najważniejsze.

– A co jest? – spytał.

– Cel wędrówki.

– Wędrówka przez step Pierwszego Świata nie ma i nie może mieć jakiegokolwiek kresu – zaoponował. – Wędrówka jest tutaj celem samym w sobie, chyba że postanowimy znów wejść do któregoś ze Światów Pochodnych...

– Nie – pokręcił głową Assis. – Każda wędrówka ma kres, a jej celem jest Państwo – właśnie w Pierwszym Świecie.

– Znów to gadanie o Państwie! – zirytował się Hakonóż. – Szalony zabobon, przez który wylano już tyle krwi, nic w zamian nie uzyskując.

– Państwo nie jest zabobonem – medyk spoważniał. – To cel oraz marzenie wszystkich wędrujących po tym nieograniczonym stepie.

– Mrzonka! – zachnął się wojownik.

– Nie dostaje ci wyobraźni, mój bracie – skarcił go Assis. – Wszakże nasz książę – skłonił się lekko Ksinowi – powinien to zrozumieć.

– Że wędrując bez końca myślicie o tym, aby się gdzieś w końcu zatrzymać i osiąść? – uśmiechnął się lekko kotołak. – Rozumiem, bo czegoż tu można nie rozumieć? Każdy pragnie tego, czego nie posiada. Miałem kiedyś w rękach księgę opisującą powstawanie mitów...

– Nie może istnieć droga bez końca! – zaprzeczył żywo Assis. – To by było nienormalne. Dlatego wszystkie wędrujące plemiona trafią w końcu do Państwa, gdzie będą szczęśliwe...

Nie skomentował. Znał dobrze ten motyw koczowniczej mitologii, nie zgadzał się z nim, uważał za naiwną niedorzeczność, podobnie jak Hakonóż, ale wiedząc, że większość jego ludzi wierzy w mit Państwa szczerze, często z uporem przekraczającym granicę fanatyzmu, z zasady unikał wszelkich dyskusji i wypowiedzania opinii na ten temat. Nie chciał nikogo zrażać ani zranić żony, która nie raz wspominała o „ich Państwie”...

Amarelis i Państwo...!

Ta myśl była tak zimna, że aż spłynęła lodowatym chłodem po jego plecach. Czyż jego słodka żona już obecnie nie zachowywała się niczym królowa? To, co lekceważył on, mogło być, ba, chyba było głównym motywem jej działań...

Ze zdumieniem uświadomił sobie, że ogrzewanie ich małżeńskiego łóża nie jest jedyną ambicją Amarelis. Zaś najbardziej zdumiewał go fakt, iż wcześniej tego nie zauważył... Tego, co widziało całe plemię...

Czy mężowie zawsze muszą wychodzić na głupców?

– Mało to widzieliśmy w stepie kołków, które miały oznaczać jakieś niedorzeczne granice?! – Hakonóż tymczasem wdał się w spór z uzdrowicielem. – Jacyś głupcy, odurzeni myślą o Państwie, nagle zaczynają grodzić step, że niby odtąd to ich i wszystkim od tej ziemi wara... Obłąd to wszak, nic innego! Bo któż zważa na takie kołki? Wszyscy idą jak szli, a tamci o te kołki zaraz stają do bitki, krew leją nie wiedzieć po co, dlaczego, jakby nie można było dalej równie dobrej, jeśli nie lepszej ziemi znaleźć? My sami wszak nigdyśmy takich granic nie szanowali...

– Bo bezbożni heretycy je wytyczali! – wpadł mu w słowo Assis. – Państwa nie można założyć byle gdzie, lecz na ziemi danej od bogów, ku jakiej tylko wódz od nich wyznaczony poprowadzić może... – tu znów skłonił się Ksinowi, który milczał i myślał intensywnie. – Nie można wszak zaprzeczyć, że państwa istnieją!

– W górach – stwierdził wojownik – gdzie wedle szczytów kierunki świata określać można i nie pobiłdzić, a granie naturalne granice wyznaczają. Ale żyjący tam bronią się okrutnie przed takimi jak my, ludźmi równin. Wiem, bo otrokiem będąc, nim was spotkałem, uczestniczyłem w wyprawie przeciw takiemu górskiemu państwu, gdzie wieża wyższa od najwyższych gór niebo przebija. Wycięli nas tamci do nogi nieomal, jam uszedł w step i do was przystałem, ale ojca, braci i ziomków nigdy już nie zobaczyłem. A wszystko przez to, że oni dali wiarę jakiemuś prorokowi, co gadał, że od bogów ma nakazane, aby w te góry iść, tamtejszych wyrząć i wziąć jak swoje. Mnie się widzi, iż to nie żaden prorok był, ale szaleniec zwykły, a takim uwierzyć to samo nieszczęście.

– Małą masz wiarę, mój bracie – powiedział wyniośle uzdrowiciel.

– A bo w co tu wierzyć? W jakieś głupoty?! Raz, głupi otrok, dałem wiarę i starczy! Teraz tyle rzeknę, że jak i wy step zaczniecie grodzić, to pójde stąd precz, gdzie wiatr poprowadzi!

– My na pewno stepu nie ogrodzimy, ale pójdziemy w miejsce lepsze niż góry – odparł Assis.

– A jak tam traficie?!

– Nasz książę nas tam przyprowadzi.

– Więc to dlatego poszliście za mną? – Ksin zbudził się z zadumy. – Nie po to żeby starcy mogli w rodzinnej ziemi kości złożyć?

– Jedni poszli za tobą dla śmierci, inni dla życia... – odpowiedział wymijająco uzdrowiciel.

– Więc myślicie, że ja...

– Tak, książę.

Hakonóż zmełł w ustach jakieś słowo, zapewne przekleństwo, po czym zakłopotany popatrzył na kotołaka. Niewątpliwie zastanawiał się, czy odpowiedniej osobie ofiarował swoje służby.

– Moja małżonka – rzucił półgłosem Ksin – niewątpliwie poszła za mną dla życia...

– Pani Amarelis jest ci całkowicie posłuszna i wierna – zapewnił Assis.

– Czemu mi to mówisz? Czyżby były jakieś wątpliwości?

Uzdrowiciel zmieszał się mocno.

On wie!, uświadomił sobie kotołak. Jeżeli ma być Państwo, a w nim księżę i księżna, to bez wątpienia musi być i dynastia, a więc potomek... Bez następcy tronu kto uwierzyłby, że półludzki, półkoci stwór, któremu powierzono władzę nad plemieniem, ma łaskę w oczach bogów? Że to o nim wspominała przepowiednia...

– Hakonożu! – zwrócił się do wojownika. – Pozostaw nas samych i dopilnuj, aby nikt nam nie przeszkadzał.

Hakonóż skinął głową i oddalił bez słowa. Lekki musiał podzielać, bo nie podpierał się już drzewcem glewii.

Ksin wbił wzrok w uzdrowiciela i patrzył nań tak długo, aż tamten zbladł i przestał wiedzieć, gdzie oczy podziąć.

– Co wyście zrobili? – zapytał wreszcie.

– Nic, o co powinienes się gniewać, mój księżę...

– Knujecie za moimi plecami i to nie jest powód do gniewu...? – zachnął się.

Należało przeciąć tę grę niedomówień.

– Kto jeszcze wie o dziecku?! – podniósł głos.

– Oprócz twojej małżonki i ciebie – tylko ja i czcigodny Ampeker.

– Czy nie jest tak, że to mąż powinien dowiedzieć się pierwszy od żony?

– Zazwyczaj... – skinął głową uzdrowiciel – ale w tym przypadku nie było to takie proste... Musiałem pomóc...

Ksin popatrzył na swoje dłonie o palcach skróconych o ponad pół cala i na sierść pokrywającą przedramiona.

Więc to była ta magia Pierwszego Świata, do której musiało się przystosować jego ciało! Przypomniawszy sobie ziołowy posmak w napojach podawanych przez żonę... Mówiła wtedy, że to zwyczajne, tutejsze przyprawy... Okłamywała go w żywe oczy... Słodka Amarelis...!

– Mów! – rozkazał, by ubiec narastającą wściekłość.

– Twoja małżonka wkrótce po tym jak zamieszkała w twym namiocie przyszła do mnie prosząc o pomoc w swym kobiecym spełnieniu... – mówił powoli Assis, unikając wzroku księcia, patrząc w popiół ogniska. – Z jej strony nic nie stało na przeszkodzie, wszakże twoje nasienie... Gdy je zbadałem...

– Skąd je wziąłeś?

– Twoja małżonka pozwoliła mi sięgnąć do swego łona...

– I co stwierdziłeś? – zapytał, bardzo dziwiąc się własnemu spokojowi.

– Że przyczyną dotychczasowej bezpłodności było zaburzenie równowagi między ludzkimi a zwierzęcymi składnikami twojej natury. Doprowadziłem je do harmonii... Skutkiem

tego zabiegu cechy zwierzęce stały się bardziej widoczne, ale w zamian two nasienie okazało się błogosławieństwem dla twojej małżonki...

– I musieliście to zrobić bez mojej wiedzy?!

– Ty sam wszak nie wyrażałeś zgody...

Teraz przypomniał sobie tamtą rozmowę... W istocie! Leżeli spleceni, odpoczywając po miłosnym uniesieniu. Arnarelis niby od niechcenia rzuciła, iż chciałyby znaleźć czar, który sprawiłby, że ona mogłaby mu dać dziecko...

Odrzekł, że nie chce takiego czaru... Nie dopowiedział dlaczego, bo jego myśli pobiegły od razu do czasów dzieciństwa i pokaleczonych rąk Starej Kobiety. Zanim jednak zdołał znaleźć słowa, Amarelis znów pociągnęła go na siebie i słowa przestały być ważne...

Lecz były ważne!

– Skąd wiedziałeś, że twoja kuracja nie sprawi, że stanę się bestią? Gdyby moc Onego, przesycająca moje ciało, wymknęła się z karbów mojej woli... Czy pomyślałeś choć chwilę na co ją, siebie i wszystkich narażasz?!

Teraz wręcz kipiał gniewem. Prawa dłoń błdziła w rękojeści Szpona...

– Znam moc, którą nazywasz mocą Onego – odrzekł Assis, odzyskując odwagę. – Jest częścią Pierwszego Świata, tu się zrodziła i stąd przybyła tam, skąd pochodzisz. Gdybym wiedział, że mogę zaszkodzić, odmówiłbym księżnej.

– A czy wiesz, co się może urodzić?! – wycodził przez zęby Ksin. – To też przewidziałeś?! Czy pojmujesz, że być może skazałeś ją na śmierć, a być może nie tylko ją...?

– Tego nie wiem, ale gdy zapytałem o to, twoja małżonka odrzekła, że kobiecą rzeczą jest zbliżyć się do cienia śmierci, aby dać nowe życie. Wobec tego zwróciłem się o radę do czcigodnego Ampekera...

– Czy cała rada starszych debatowała nad kwestią zapłodnienia mojej żony?

– Nie, tylko ja i czcigodny Ampeker – powtórzył z naciskiem uzdrowiciel.

– Który uznał, że dla Państwa warto narazić życie mojej żony, tak? Mogę zrozumieć kobietę pragnącą wziąć w ramiona swe dziecko, ale dla was to była tylko wyrachowana, polityczna gra!

– Twoja małżonka dobrze wie, co robi. „Jakże inaczej mogłabym wypełnić swe przeznaczenie?” – to jej słowa. Winienesz wiedzieć, czego chce i czego pragnie ta, która jest najbliższą ciębie...

Zamilkł. Nie mógł odmówić słuszności ostatnim słowom Assisa. Traktował żonę niczym zabawkę, musiał to przyznać. Jej wyniosła duma bawiła go, bo intrygująco kontrastowała z namiętnością i uległością, którą okazywała, kiedy zostawali sami. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że może się za tym kryć coś głębszego. Nie dostrzegał w niej kogoś, kto marzy i dąży do spełnienia marzeń... Nie widział, więc... stał się narzędziem w jej rękach!

– Zostaw mnie samego, Assisie.

– Tak, książę – skinął głową uzdrowiciel – ... *merih*... – rzekł do swego orlego szponu, który chwycił torbę z lekami.

– Zaczekaj jeszcze... – kotołak przypomniał sobie o wydarzeniach dzisiejszej nocy. – Mówisz, że znasz się na mocy Onego?

– Tak, książę.

– Idź zatem do namiotu myśliwego Czemo, którego nazywacie Odmieńcem. Wiesz gdzie?

– Wiem, książę. Co mam tam zrobić?

– To co uznasz za słuszne. Powiesz, że przychodzisz z mojego polecenia. Chcę się przekonać, ile warte są twoje umiejętności.

– Zrobię wszystko, by cię nie zawieść, mój książę.

– Już mnie zawiodłeś. Bacz teraz, abyś nie zrobił tego po raz drugi...

Uzdrowiciel skłonił się i odszedł bez słowa.

* * *

Zawód. Tak, to było najbardziej odpowiednie słowo.

Oparł głowę na dłoni. Amarelis zawiodła jego zaufanie. Miała ważne powody, ale nie zmieniało to w niczym istoty rzeczy... Jak teraz miał ją traktować? Jak postępować z kobietą, która zawiodła jego zaufanie i zarazem nosiła jego dziecko?

Mocno potarł skronie obiema dłońmi.

Cóż, wypadało postąpić jak na męża i wodza przystało... Zbyt wiele miał lat i zbyt wiele władzy, aby wdawać się w kłótnię kochanków. Obrażać... unikać... godzić... Będąc z Amarelis dokonał wielkiego wyboru, zbyt wielkiego, by jeden kaprys, jeden wybuch gniewu i trochę zranionej dumy mogły go odwrócić. Wypadało zatem okazać dumę...

Ujrzał, że opodal stoi Ampeker i czeka aż Ksin raczy go zauważyć. Taka skromność nie leżała w zwyczaju dumnego starca, ale najwyraźniej i on widział, iż lepiej nie zadrażniać dodatkowo sytuacji...

Wygląda na to, że jeszcze się tu ze mną liczą, pomyślał i odetchnął głębiej.

– Ampekerze pójdziesz do mojej małżonki i powiesz, iż oczekuję, że na czas obrzędów inicjacji stanie u mego boku, jak przystało pani tego plemienia.

Nie należało w ten sposób mówić do przełożonego rady starszych, ani tym bardziej traktować go niczym pierwszego lepszego posłańca, jednakże nie miał zamiaru na to zważać.

Jak się nie podoba, to poszukajcie sobie innego księcia...

Wiedział, że tego nie zrobią. Oznaczałoby to zlekceważenie przepowiedni, a i przepadałaby nadzieja na rychłe stworzenie Państwa. W rezultacie plemię uległoby podziałowi i rozpadowi, bo liczne klany, rody oraz rodziny poszłyby same szukać Państwa lub przywódcy, który ich do niego zaprowadzi.

Dla Państwa koczownicy łączyli się i dzielili... Odwieczne prawa rządzące ruchem ludzkich gromad w bezkresie stepu Pierwszego Świata stały teraz po jego stronie.

– A gdzie twa małżonka ma się udać potem? – Ampeker nie dał nic po sobie poznać.

– Przez wzgląd na jej bezpieczeństwo i zdrowie, po uroczystości księżna Amarelis wróci do namiotu swego ojca. Kobiety z jej rodu zapewnią jej lepszą opiekę niż kochający, acz nieznający kobiecych spraw małżonek. Niech dla postronnych uszu to będzie wyjaśnienie porannego zdarzenia.

– Bardzo dobrze, książę, że postanowiłeś nie okazywać swej niełaski wobec wszystkich...

– Ampekerze, myślę, że już dość wmieszałeś się w moje sprawy!

– Masz rację, książę. Proszę o wybaczenie. Wszakże chciałbym przypomnieć, że z twojej woli miałem sprawdzić stan przygotowań do inicjacji. Czy jeszcze zajmują cię owe kwestie?

– Tak, mów.

– Dwudziestu dziewięciu młodzieńców stanie do próby.

– Hakonóż mówił o trzech dziesiątkach... – zauważył Ksin.

– Na inicjację jednego nie zgadzają się jego krewni.

– Chodzi o Czaszkuna?

– Tak, książę.

Wszyscy w plemieniu znali Czaszkuna. Swego czasu oglądali go ukradkiem lub całkiem otwarcie – niczym bestię w zagrodzie. Dzieci ciągle chodziły za nim, czały się i uciekały z wrzaskiem, kiedy tylko zwrócił na nie uwagę.

Siedemnastolatek nie miał uszu, nosa, ust i policzków. Obląkani czciciele jakiegoś podziemnego bóstwa odcięli mu je, a na dodatek oskalpowali go. Porwali chłopca, gdy miał lat dziesięć, żeby zrobić z niego kapłana czy posługacza w swej świątyni koszmaru. Czaszkuna odbito, kiedy porywacze zdążyli już zrobić swoje – na tyle umiejętnie, że chłopiec przeżył i nie oszalał z bólu.

W zamian oszalała jego matka: utopiła się w bagnie, choć mówią, że to był wypadek, bo roztrzęsiona kobieta nie patrzyła jak idzie. Dalsi krewni chcieli Czaszkuna miłosiernie dobić, ale nie zgodził się jego ojciec. Nie miał innych dzieci. Dzięki temu chłopak zdołał oswoić się ze swoim wyglądem, nawet ponownie nauczył się mówić, zastępując utracone policzki dłońmi, a wargi szczeliną między palcami. Jego słowa brzmiały niczym powiewy wiatru w szparach między skałami, ale były zrozumiałe.

Pozbawiony towarzystwa brzydzących się nim rówieśników Czaszkun całymi latami samotnie lub z ojcem zaprawiał się w rzucaniu oszczepem, osiągając w tym doskonałość. Ojciec nauczył go biegle posługiwać się miotaczem pocisków, dzięki czemu chłopak potrafił rzucić oszczep dalej niż wielu łuczników wystrzelić strzałę. Zawsze nosił na plecach osiem sztuk swej broni w wielkim kołczanie, po którym można go było poznać z daleka i zejść mu z drogi, jeżeli nie chciało się oglądać jego twarzy. Za radą ojca bowiem nie nosił przy ludziach żadnej maski, zmuszając ich, by przyzwyczajali się do jego wyglądu.

Kiedy wyglądało na to, że życie chłopaka potoczy się mimo wszystko w miarę normalnie, jego ojciec nagle zmarł, a głową rodu został wuj, od początku uważający, że lepiej byłoby dla bratanka, gdyby nie żył. Zaczęto go traktować niczym zapowietrzonego. Kiedy klan Czaszkuna kilka miesięcy temu przyłączył się do plemienia Ksina, krewni nawet nie usiłowali go bronić przed histerycznymi pomówieniami, jak rzucanie uroków i „złych spojrzeń”. W zamian próbowano go wygnać, czemu przeszkodziła osobista interwencja kotołaka. Teraz, zdaje się, potrzebna była jeszcze jedna...

– Pójdziemy zatem rozmówić się z głową klanu tego młodzieńca – oznajmił.

– Książę, odradzałbym wtrącanie się w decyzje starszych rodów... – zaczął Ampeker i natychmiast zamilkł na widok oczu Ksina.

– Czy chciałbyś coś rzec na temat odmieńców w naszym plemieniu? – zapytał bardzo cicho kotołak.

– Nie, książę, to twoja wola jest tutaj prawem – starzec położył dłoń na sercu.

– Dobrze słyszeć... Całkiem niesłusznie uważaliście mnie za malowany totem, któremu wedle woli można albo bić pokłony, albo zawinąć w skóry i schować do namiotu, kiedy zacznie zawadzać... – zawiesił głos czekając na odpowiedź Ampekera, ale starzec milczał ze spuszczonej oczami.

– Weź swój ceremonialny płaszcz i laskę – dorzucił Ksin. – Najpierw pójdziemy do Czaszkuna, potem udasz się do mej żony.

– Tak, książę.

Gdy Ampeker poszedł się przebrać do swego namiotu, kotołak przywołał Hakonożę, a ten – usłyszawszy w czym rzecz – sprowadził jeszcze dwóch wojowników, by zapewnić wodzowi godniejszą eskortę.

Niebawem cała piątka stanęła przed namiotem należącym do wuja Czaszkuna.

– Czcigodny Oreinie! – Ampeker uderzył laską w ścianę namiotu.

Najpierw wyjrzała jakaś kobieta, cofnęła się natychmiast, po czym z wnętrza wyłonił się zwalisty mężczyzna o pół głowy wyższy od kotołaka. Orein miał szlachetne rysy twarzy, tak dostojne, że aż prosiły się, by bić monety z ich wizerunkiem.

– Nasz książę przybył omówić z tobą kwestię inicjacji twego bezimiennego bratanka – oznajmił Ampeker, pamiętając, że krewni Czaszkuna zwykli mówić o nim „bezimienny”, przy czym to słowo w ich ustach nie miało wartości imienia, lecz pozostawało bezosobowym określeniem.

– Mój bratanek nie jest godny, ażeby stać się mężczyzną – oznajmił Orein, patrząc na nich wyniośle. – Nie ma honoru...

– Czy splamił się jakimś niegodnym uczynkiem? – zapytał Ksin.

– Honor to twarz. Nie ma twarzy, nie ma honoru! – dostojne rysy Oreina skaziła tępa zawziętość. Teraz już nie nadawały się na wzór do bicia monet. – Tak jak dziewczka traci honor, kiedy ją wytarzają i cześć odbiorą, tak i mężczyzna, gdy wytną mu oblicze...

– Gdzie jest teraz twój bratanek? – kotołak przerwał ten wywód.

– Na polowaniu – Orein spojrzał spode łba.

– Jussszszsz... wrucieeuem... – rozległ się przeciągły syk.

Ksin, zanim spojrzał na mówiącego, wziął głęboki oddech. Nawet najzyczliwsi wobec Czaszkuna musieli zawsze przygotować się w duchu na jego widok...

Wyglądał niczym upiór. Co do tego nie było kwestii. Czerwono-sina czaszka z żywymi oczami, umieszczona na szczycie szczupłego, harmonijnie i mocno umięśnionego ciała. Gdyby miał twarz, byłby bardzo przystojnym młodzieńcem.

Czaszkun opuścił dłonie imitujące policzki i patrzył na kotołaka z wielką natarczywością. Natarczywość spojrzenia była złudzeniem wynikającym z faktu, że nie miał także powiek...

– Czy jesteś gotów wziąć udział w obrzędach inicjacji? – zapytał go.

Dłonie podniosły się natychmiast, zasłaniając wyszczerzone zęby, palce wskazujące przysłoniły otwór po nosie.

– Iieesssteemm... – zaszumiało.

Kotołak zwrócił się do Oreina, który nawet nie spojrzał na bratanka. W zamian z wściekłością wpatrywał się w księcia.

– Nie będę toczyć z tobą dyskusji o honorze, albowiem nic o nim nie wiesz – oznajmił kotołak. – Ilu młodzieńców z tego rodu zgłoszono do inicjacji? – spojrzał z ukosa na Ampekera.

– Dwóch – odparł starzec.

– Wobec tego do prób i ceremonii staną trzej, razem z tym, którego nazywają Czaszkunem, albo i sam Czaszkun. W tym drugim przypadku jego krewni opuszczą nasz obóz przed zachodem, gdyż nie godzi się, aby świadkami tak ważnej uroczystości byli obcy, nienależący do plemienia...

– Tak... książę – przytaknął z wahaniem Ampeker.

– Moje prawo decydować! – wrzasnął Orein, doskakując do Ksina. – Była umowa między nami a waszą radą, że jako głowa rodu... ark! – zaskrzeczał z wrażenia, bo lewa ręka kotołaka w pół ruchu zamieniła się w kocią łapę i chwyciła go za twarz. Nie był to delikatny chwyt. Pazury przebiły skórę na czole i policzkach, docierając aż do kości.

– Chcesz stracić od razu całą głowę, czy może tylko twarz? – zapytał zimno Ksin. – Bo jeśli o mnie chodzi, to ty nie masz twarzy. Nigdy jej nie miałeś, ale dotąd nie wszyscy to zauważali...

Starszy rodu milczał zezując wybałuszonymi oczami na szpony wbite w jego ciało. Kotołak zacisnął przekształconą dłoń i pazury zgrzytnęły o kość. Orein zawył z bólu. Skóra na czole rozciągnęła mu się do granicy rozdarcia, pociekła krew.

Czaszkun przyglądał się całej scenie z lekko przechyloną głową. Wydawało się, że się uśmiecha... Nie można było jednak orzec tego z całą pewnością.

Ksin puścił Oreina, który zatoczył się i z jękiem chwycił za twarz.

- Okaż szacunek swojemu księciu! – rozkazał Ampeker.
- Starszy rodu padł na kolana i dotknął zakrwawionym czołem butów kotołaka.
- Ilu młodzieńców z twojego rodu stanie do inicjacji? – zapytał Ksin.
- Trz... ech... – stęknął Orein. – Trzech... p... panie...
- To dobrze – odparł i zawrócił.
- Książę, tak się nie godzi! – syknął Ampeker, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość.
- Złamałeś umowę i upokorzyłeś wobec wszystkich starszego rodu! Co teraz pomyślą inni ojcowie rodów?!
- Że mają mnie słuchać, jeśli chcą dojsć ze mną do Państwa! – uciął wymówki, kątem oka łapiąc niechętnie spojrzenie Hakonoża. – Nadszedł czas wziąć was wszystkich za twarz! Nie było mnie na posiedzeniu rady, która przyjmowała ten ród. Miałem prawo postawić im moje warunki i właśnie to zrobiłem... Bez znaczenia jest, że tak długo zwlekałem. Kimże bowiem tu jestem! Malowanym totemem?!
- Jesteś księciem, Tym Który Wskazuje Wiernym Drogę Do Państwa! – wyrecytował z powagą Ampeker. – Lecz do tej pory nie chciałeś znać ani tego tytułu, ani tego, co on oznacza.
- Dzisiaj coś się zmieniło – odrzekł – a nawet bardzo wiele...
- Zatem poprowadzisz nas do Państwa, gdzie będziesz mógł zostać królem, a my twymi szczęśliwymi poddanymi?
- Poprowadzę! – oznajmił stanowczo. – A teraz idź do mojej przyszłej... ehem... królowej.
- Tak panie! – starzec skłonił się nisko i oddalił tyłem, wciąż trwając w pokłonie.
- Ksin przystanął i odwrócił się do Hakonoża. Spojrzał mu prosto w oczy.
- Zanim odejdziesz, chcę abyś dał mi szansę – powiedział.
- Hakonóż milczał przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.
- Myślałem, że nie będę musiał ginąć za jakąś mrzonkę... – westchnął.
- Nie zginiesz bez dobrego powodu! – obiecał mu kotołak. – A teraz... – zmienił temat – pora przebrać się przed uroczystością. Nie ma kobiet w moim namiocie, więc będę musiał radzić sobie sam...
- Pomogę ci, książę – odparł wojownik.

* * *

W południe zabrzmiały bębny zwołujące plemię na inicjację. Koczownicy zbierali się na skraju obozowiska, po przeciwnej stronie niż stał namiot Czemo. Miejsce zebrania nie było przypadkowe; nazywano je „stroną przyszłości”, bowiem oznaczała kierunek, w którym plemię podąży po zwinięciu obozu. Strona przeciwna, ta skąd nadeszli – zwana „stroną

przeszłości” lub dosadnie „stroną pozostałości” – była znacznie mniej szlachetna i nieprzypadkowo tam właśnie mieszkał Czemo.

Strona przeszłości to miejsce, gdzie zwyczajowo rozbijali swe namioty wdowy, wdowcy i samotnicy, ludzie zhańbieni oraz skłócenii z plemiennymi obyczajami, jak Czemo, którzy jednak nie znaleźli w sobie dość stanowczości, by się odłączyć i rozpocząć samotną wędrówkę przez nieskończony step.

Strona przyszłości była stroną świętą. Określała ją starszyzna w dniu podejmowania decyzji o rozbiciu obozu, co stanowiło pierwszą rzecz, jaką robiono na nowym miejscu. W tym kierunku nie pozwalano wychodzić za żadną naturalną potrzebą, nawet na polowanie musiał zgodzić się szaman.

Pozostałe strony obozu i świata określano według postawy człowieka stojącego twarzą ku przyszłości, a plecami do przeszłości, nazywając je odpowiednio stronami „prawej ręki” i „serca”. Tylko tak można było określać kierunki w świecie bez żadnych stałych punktów orientacyjnych, gdzie gwiazdy i słońca błędziły po niebie tak samo jak ludzie w stepie.

Podczas dzisiejszego nocnego spaceru Ksin szedł początkowo w kierunku pośrednim między stroną „prawej ręki” a stroną „przeszłości”. Pogoń za modliszkołaczką odbyła się już w przestrzeni nieokreślonej żadnymi kierunkami.

Poddający się inicjacji młodzieńcy wybiegali z obozu w stronę przyszłości. Stawali na granicy obozowiska i rozbiegali się na podobieństwo słonecznych promieni. Po kilkuset krokach odległości pomiędzy nimi stawały się tak duże, że żaden nie widział swego sąsiada i biegł dalej samotnie tak długo, na ile starczyło mu odwagi.

Bieg zaczynał się w południe, gdy słońce lub słońca, jeżeli akurat było ich kilka, stały najwyżej. Potem odległość od obozu wciąż rosła, prostowały się zdeptane trawy, zacierając drogę powrotną, nadciągał zmierzch, zapadała noc, a poczucie biegu prosto przed siebie stawało się coraz bardziej wątpliwe i niepokojące. Wreszcie należało podjąć prawdziwie męską decyzję: kiedy zawrócić...

Istota tej próby męskości polegała na znalezieniu złotego środka pomiędzy odwagą a rozsądkiem. Żeby powrócić – nie można było odbiec zbyt daleko. Szaleńcy, zarozumiałcy i pozbawieni wyobraźni desperaci przepadali w stepie na zawsze. Jeżeli później któregoś z owych nieszczęśników przypadkiem odnaleziono już po wznowieniu wędrówki ku przyszłości, ich inicjacji nie uznawano. Do kolejnej próby wolno było im stanąć dopiero po upływie trzech lat. Uważano, że tyle czasu trzeba, by nabrali dość rozumu.

Z drugiej strony, przedwczesny powrót ośmieszał i był dowodem braku odwagi niezbędnej, by polować w stepie oraz wyżywić rodzinę. Pierwsi trzej nie byli uznawani za dojrzałych i musieli powtarzać próbę w następnym roku. Dopiero czwarty stawał się mężczyzną, a po nim kolejni, aż do ostatniego zdolnego samemu powrócić.

Aby zapobiec oszustwom, za poddawanymi próbie młodzieńcami wyruszali sędziowie-tropiciele, wybierani losowo, po jednym dla każdego kandydata. Inicjowany mógł się nie

zgodzić na wyznaczonego dlań sędziego, wtedy powtarzano losowanie, aż wszyscy zainteresowani uznali, że tropiciel będzie bezstronny.

Sędziowie brali ze sobą rogi, w które dęli w umówiony sposób, jeżeli poddającego się próbie młokosa znaleźli przyczajonego w krzakach opodal obozowiska. Hańba była to straszna. Powiedzenie: „Obyś usłyszał róg swego sędziego” stanowiło jedną z gorszych zniewag. Oszusta uznawano za świętokradcę, niegodnego noszenia imienia, i już nigdy nie dopuszczano do kolejnej inicjacji. Rody wyrzekały się wyrodných potomków albo musiały w całości opuścić obóz.

Większość zhańbionych z czasem odłączała się od plemienia i szukała szczęścia w stepie. Pozostali żyli w jeszcze większej pogardzie. W zamian za jedzenie zajmowali się zakopywaniem ludzkich i psich odchodów, nie wolno im było mieć własnych namiotów, spali w ziemnych norach krytych gałęzmi, które mogli kopać dopiero sto kroków za przeszłą granicą obozowiska. Byli nieczyści, a słowo to oznaczało coś o wiele gorszego niż odmieniec.

Obecnie w obozie przebywało dwóch nieczystych: starzec oraz mężczyzna około czterdziestki – nadzwyczaj plugawe typy. Starszy uważał się za wielkiego mędrca, ale Ksinowi zakomunikowano, że potrafił jedynie ignorować cudze argumenty, przewrotnie zmieniać temat dysputy i wmawiać oponentowi głupotę, co kończyło się zwykle tym, że obrażony rozmówca brał w końcu kij i łoł mu grzbiet ku uciesze świadków. Obity staruch twierdził potem, iż przeciwnikowi zabrakło dobrych odpowiedzi, a on teraz cierpi za prawdę...

Nieczysti nie mogli brać udziału w świętej ceremonii inicjacji, niegdyś przez nich sprofanowanej. Zgodnie z obyczajem musieli siedzieć na drugim krańcu obozu i patrzeć w przeciwną stronę. Była to zarazem kara oraz służba strażnicza, za którą wynagradzano ich resztkami jedzenia z inicjacyjnej uczy.

W nieustający rytm bębnow wdzierały się co chwila donośne zawodzenia rogów. Kiedy nadszedł Ksin w towarzystwie Hakonoża oraz trzech innych wojowników, trwało właśnie losowanie sędziów-tropicieli. Młodzieńcy wyjmowali z dzbana gliniane kule z wymalowanymi znakami tropicieli, po czym w obecności Ampekera i innych starszych poświadczali wybór losu. Jeśli się nie zgodzili, wylosowali krewnego lub przyjaciela rodu, próbowali raz jeszcze.

Tropicielem mógł zostać tylko szanowany ojciec rodziny, którego biegłość w myśliwskim rzemiośle nie budziła niczych zastrzeżeń. Dobrani w pary młodzieniec i jego sędzia szli do ślepego Kamo – starca odznaczającego się nadzwyczajnym słuchem i pamięcią, po czym sędzia trąbił na rogu swój sygnał. Nie chodziło tu tylko o danie znaku hańby. Trzy szybkie powtórzenia uzgodnionego układu dźwięków oznaczały, że zdarzył się wypadek i potrzebna jest pomoc z obozu.

Na koniec młodzieńcy i ich tropiciele stawali na granicy obozowiska, oznaczonej długim, białym łukiem usypanym z kredowego proszku. Kłębił się tam tłum krewnych, udzielających ostatnich rad, oraz dziewcząt w odświętnych sukniach, wypatrujących kandydatów na mężów.

Sensację budził Czaszkun, będący w doskonałym nastroju. Co chwila straszyl dziewczyny odwracając się zniemacka i wydając upiorne świsty. Odpowiadały mu piski i wrzaski, ale też wyzwiska matron, bo dwie młódki zemdlały z wrażenia.

Plemienny szaman w ceremonialnym stroju tańczył do rytmu bębnow, ale jak na razie mało kto zwracał na niego uwagę. Dwunastu doboszy otaczało go kręgiem, a rytm ich gry zmieniał się nieustannie. W jednej chwili uderzało w bębny nie więcej niż trzech, czterech grających, pozostali wsłuchiwali się i włączali do gry tak, aby dźwięk ich instrumentów współgrał z pozostałymi. Jedni przerywali, drudzy zaczynali. Każdy nowy rytm powodował zmianę, do której dostosowywali się pozostali. Powstająca ostatecznie melodia stanowiła jedną nieustającą zmianę. Wsłuchując się w ten dźwięk łatwo było wpaść w trans.

Szaman, już z pianą na ustach, tańczyć miał aż do końca inicjacji lub utraty przytomności, przy czym ktoś musiał go wtedy zastąpić. W przeciwnym razie demony mogłyby zakłócić przebieg ceremonii.

Kotołak wstąpił na podwyższenie dla plemiennej arystokracji i usiadł na przeznaczonej dla niego skórzanej poduszce. Za chwilę dołączyli Ampeker, Assis i pozostali członkowie rady starców, którzy zakończyli losowanie tropicieli.

Ksin nie rozmawiał z nikim, jedynie kiwał głową kolejnym wchodzącym na podwyższenie i co chwila spoglądał tam, skąd miała nadejść Amarelis. Jego żona kazała na siebie czekać, czego nigdy dotąd nie robiła...

Ogarnął go niepokój, na dodatek czuł się śmieszny jak własny błazen. Miał na sobie starożytny, starannie wypolerowany napierśnik z brązu i długi płaszcz z czerwonych piór. Czoło obejmowała mu stalowa obręcz z dwunastoma ostrzami, zbiegającymi się nad czubkiem głowy. Tradycyjna korona koczowniczych wodzów, którą założył po raz pierwszy.

Wprawdzie Ampeker zwykle nalegał, by robił to częściej, a nawet nosił ją codziennie, ale dotychczas kotołak uważał jego żądania za niedorzeczne. Do dziś w duchu śmieszyły go miejscowe rytuały, nieudolnie naśladujące arystokratyczne obyczaje wielkich dworów monarszych. Gromada stepowych oberwańców, zachowująca się niczym skrzyżowanie orszaku króla Redrena z haremem sułtana Karu... Czyż to nie było żalosne?

A jednak nie! Dziś zrozumiał, że z zakorzenioną w głowach tych ludzi ideą Państwa, stanowiącą sens ich życia, nie można igrać. Dążyli do swego celu tak usilnie, że kiedy on ich zlekceważył, pierwsza wypowiedziała mu posłuszeństwo własna żona...

* * *

Amarelis nie miała płaszcza, lecz olbrzymi, rozłożysty kołnierz z błękitnych oraz fioletowych piór, otaczający ramiona i sięgający wysoko nad głowę. Była w długiej złocistej sukni. Za nią szły aż cztery służące, niosąc czerwone wachlarze na długich drążkach.

Gdy tylko wyłoniła się spomiędzy namiotów, ucichł gwar i bębny. Wszyscy zwrócili się ku niej. Kotołak powstał z miejsca, ale starszyzna nie czekała na jego gest, zaczęli wstawać sami, niektórzy nawet wcześniej niż on.

To był znak... To oraz spóźnienie Amarelis, z pewnością rozmyślne...

W oka mgnieniu zrozumiał wszystko: właśnie nastąpił bunt jego poddanych! Przecież Amarelis była ich królową – kobietą z ich krwi, ich wiary, dzielającą ich dążenia. On, przybłęda z obcego świata, mógł być co najwyżej księciem małżonkiem. Kotołakiem rozplodowym... Uzdatnionym do swej roli za pomocą magicznych wywarów...

Gdyby miał co do tego jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczyło spojrzeć w oczy zuchwale uśmiechniętej Arpii, która z procą przerzuconą przez lewe ramię szła tuż za starszą siostrą. Łatwo się było domyślić, jak przebiegła niedawna rozmowa Ampekera z Amarelis w namiocie jej ojca i na czym stało... Skoro książę postanowił zachować pozory, więc my też je zachowamy...

Szeleszcząc piórami Amarelis weszła powoli na podwyższenie i dumnie wyprostowana stanęła przed mężem. Wachlarze w rękach służących wznosiły się i opadały miarowo, ich chłodny powiew poruszał pióra na kołnierzu i mroził krew w jego żyłach.

Poczuł, jak jeży mu się sierść na karku i przedramionach. To nie była Przemiana, lecz zwykły strach. Strach przed ogromem własnej głupoty, która właśnie jawiła się przed nim w całej swej monstrualnej okazałości, niczym wynurzająca się z morza lodowa góra.

Spojrzał w oczy żony. Obecni patrzyli na nich. Wszyscy wiedzieli o porannym incydencie... Wszyscy czekali na znak księżnej, słowo lub choćby gest... Wystarczyłby najdrobniejszy afront z jej strony, by stał się nikim. Mogła się nie skłonić, mogła ominąć go wzrokiem, usiąść bez pozwolenia lub tylko uśmiechnąć wyniosłe, co łatwo dostrzegłaby starszyzna.

I wszystko wówczas stałoby się jasne! Przybłęda zrobił swoje, przybłęda może odejść...

– Dziękuję mojemu mężowi, że jeszcze chce na mnie patrzeć – powiedziała cicho.

– To zawsze radość dla moich żrenic – odrzekł oficjalnym tonem, kryjąc zaskoczenie. Kątem oka spostrzegł, jak starcy z rady wymieniają między sobą zdumione spojrzenia. Oni też nie spodziewali się takich słów!

– Nie będę zasługiwać na tę łaskę, dopóki nie uzyskam twego przebaczenia, mój panie...

Rozszedł się szmer, nie, nie szmer, wręcz jęk zdumienia! Oto najdostojniejsza i najdumniejsza Amarelis osunęła się na kolana, skrzyżowała ręce na piersiach i niczym zwykła niewolnica dotknęła czołem podłogi podwyższenia. Pióra jej kołnierza przykryły stopy Ksina. Stała się rzecz niewyobrażalna, niesłychana i niepojęta!

Kotołak ujrzał gasnący uśmiech Arpii. Dziewczyna z rozdziawioną buzią patrzyła to na siostrę, to na jej służące, padające na twarz w ślad za swą panią. Przerażona, że sama tego jeszcze nie zrobiła, natychmiast poszła za ich przykładem.

Starcy jeden po drugim zaczęli się giąć w ukłonach, tak głębokich, jak tylko pozwalały im kręgosłupy. Wśród zgromadzonych przed podwyższeniem koczowników przeszedł jakby powiew wichury, gnać ich i przyciskając do ziemi. Fala hołdu pomknęła w głąb obozowiska i po kilkunastu uderzeniach serca Ksin był jedynym stojącym prosto człowiekiem.

Siła politycznej demonstracji Amarelis zaparła mu dech w piersiach. Mogła go pograżyć, a zamiast tego wyniosła do rangi plemiennego bóstwa! I udowodniła zarazem dwie sprzeczne rzeczy: że wciąż jest jego słodką, uległą żoną, a jednocześnie najpotężniejszą władczynią, jaką zdarzyło się Ksinowi w życiu spotkać. Jej lojalność i władza wstrząsnęły nim do głębi.

Czyż nadal była półdziką koczowniczką pozującą na wielką panią? Po tysiącokroć nie!

Z całą jasnością uświadomił sobie, że na tę kobietę nie zasługuje i że musi zrobić wszystko, by na nią zasłużyć...

– Pani... – zaczął mówić. Był zbyt poruszony, by ukryć drżenie swego głosu. – Cokolwiek mogłoby być przyczyną mojego gniewu... Nie pamiętam już o tym... Wstań o najczcigodniejsza...

Amarelis uniosła głowę. Na policzkach miała rumieńce, jak po chwili miłosnego uniesienia, w oczach figlarny błysk. Wyciągnął do niej rękę, pomógł wstać. Przyjęła pomoc, a zanim się wyprostowała, jej usta znalazły się blisko jego ucha.

– Abyś nigdy nie zwątpił w moją miłość do ciebie... – szepnęła.

– Już nigdy więcej... – odszepnął.

Trzymając żonę za rękę zaprowadził na jej miejsce i pomógł usiąść. Starcy też zaczęli siadać. W ich ruchach i spojrzeniach coś się zmieniło... Chwilę zastanawiał, co to takiego, aż zrozumiał: pokora. Amarelis złamała ich butę, w ostatnich dniach coraz gorzej ukrywana. Jednym zdecydowanym ruchem przekreśliła ich wszelkie nadzieje na władzę nad parą książęcych marionetek... Pokazała, iż między nią a Ksinem nie ma miejsca dla nikogo innego!

Uznał, że musi to skomentować.

– Z taką królową już wkrótce stworzymy Państwo! – oznajmił, zwracając się ku nim.

Tylko pokiwali skwapliwie głowami. Nawet Hakonóz wydawał się w to wierzyć bez zastrzeżeń. Zajął swoje miejsce.

– Niech rozpocznie się ceremonia! – rozkazał donośnym głosem.

Młodzieńcy i sędziowie-tropiciele stanęli na linii startu. Gapie wycofali się na stosowną odległość. Szaman przeszedł wzdłuż linii, kolejno uderzając grzechotką w plecy każdego kandydata na mężczyznę. Potem skinął na doboszy i wszystkie bębny zabrzmiały w jednym rytmie. Młodzieńcy pobiegli przed siebie. Kiedy po kwadransie przepadli wśród zarośli i pagórków otaczających obozowisko, ruszyli za nimi tropiciele.

Szaman chciał znów rozpocząć taniec, ale Ksin powstrzymał go, dając znak, że chce przemówić.

– Niech wszystkim będzie wiadomo! – oznajmił stając obok żony – że oprócz nowych mężczyzn i wojowników, którzy wkrótce powrócą, jest jeszcze jeden podwód do radości!

Amarelis spojrzała na niego z uśmiechem.

– Moja i wasza pani poczęła dziecko, które bez wątpienia połączy w sobie jej mądrość oraz moją siłę!

Rozległy się brawa i wiwaty. Udający radosne zaskoczenie starcy gremialnie ruszyli z gratulacjami. Ksin uniósł w górę ramiona, uciszając wszystkich.

– I przyrzekam wam, że to dziecko przyjdzie na świat w Państwie, jako jego prawowity władca!

Starszyzna oniemiała, uśmiechy wokół zamarły. Takie słowa, w takiej chwili, były wyzwaniem rzuconym bogom, graniczącym z bluźnierstwem.

Nie dbając o świadków, z wielkim spokojem zwrócił się do poblądłej żony:

– Pani, tylko w ten sposób zdołam dowieść, że jestem wart takiej żony. Twoje dziecko urodzi się w Państwie!

Potoczył wzrokiem dokoła i zawołał:

– Niech wszystkie nieba nad nami i cały bezkres wokół usłyszą moje wyzwanie!

– Nieba i bezkres usłyszały i nie zapomną! – odpowiedział mu wielkim głosem stojący przed podwyższeniem szaman Niczro. – Bogowie cenią śmiałość, a gardzą wahaniem. Więc niechaj się stanie!

Wbiegł na podwyższenie i stanął przy Amarelis, naprzeciw Ksina.

– Oto przelewam błogosławieństwo na tę kobietę i jej nienarodzone dziecko – położył dłoń na głowie księżnej. – I oddaję moje usta Bogom Stepu, aby teraz przemówili przeze mnie...

Zamilkł i zmienił się na twarzy. Gwałtownie odrzucił głowę do tyłu, aż zatrzeszczały mu kręgi szyjne. Zadygotał niczym w agonii, stężał.

Ksin poczuł gwałtowne wrażenie Obecności, ale nim zdążył drgnąć z gardła szamana dobył się zupełnie nieludzki, zgrzytliwy, dudniący głos, jakby w głębi wielkiego glinianego dzbana łamano stalowe klingi:

– Przyjęliśmy wyzwanie!

Niczro w okamgnieniu odzyskał normalny wygląd. Wrażenie Obecności znikło. Szaman gwałtownie potrząsnął grzechotką i zeskoczył z podwyższenia.

– Bawcie się i radujcie! – krzyknął biegnąc w stronę ludzi z bębnami. – Bawcie się i radujcie, bo dla wielu z was to jest ostatnia zabawa, a dla innych początek szczęścia!

Skoczył w krąg doboszy i wznowił taniec odstraszaający demony.

– Bawcie się!

Tłum koczowników eksplodował radością. Tym większą, że próbowano nią pokryć obawę o przyszłość.

Zwykle po rozpoczęciu inicjacyjnej próby pozostali w obozie rozpoczynali przygotowania do wielkiej uczty na cześć powracających. Teraz zabrano się za to z podwójnym zapalem. Przed podwyższeniem dla starszyzny zapłonęły ogniska, rozstawiono

stoły, a na nich dzbany z piwem, miodem, winem, chleby, słodkie placki, suszone owoce oraz marynowane w skwaśniałym winie grzyby, raki, ryby, cebule i dynie. Kiedy płomienie rozpalanych ognisk przygasły i pojawił się żar, zaraz zaskwierczały nad nim polcie wszelkiej stepowej dziczyzny. W węglach zagrzebano gliniane kule, kryjące wewnątrz kuropatwy, przepiórki, bażanty i inne ptactwo, którego kotołak nie znał w Suminorze.

Przed książecą parą ustawiono osobny stół. Pierwszy dzban wina z drobnych stepowych gron – czarnego jak wymieszana z krwią smoła, wytrawnego niczym zamarznięty płomień – kotołak osuszył duszkiem. Musiał się napić, i to nie on jeden... Nie żalowali sobie i starcy z rady i koczownicy obojga płci. W tym roku inicjacyjna libacja zapowiadała się na wyjątkowo szaloną, podobnie jak orgia po niej. Zmienny rytm bębnow już burzył krew. Wino płynęło przez gardło cierpką, orzeźwiającą falą...

Szaman tańczył w amoku...

Ksin odstawił pusty dzban, który natychmiast zabrano, chwilę jeszcze delektował się posmakiem trunku, po czym pochylił w stronę żony.

– Troska o twoje bezpieczeństwo nie była wymówką – powiedział wprost. – Musisz pozostać w namiocie ojca.

– Co się stało? – zapytała mrużąc oczy.

– Ktoś na mnie poluje... – pokrótce opowiedział o spotkaniu z modliszkołaczką.

– Już mi o tym doniesiono – skinęła głową. – Podobno spotkaną w stepie dziewczynę uczyniłeś swoją kochanką i ukrywasz w namiocie odmieńców...

– Dałaś temu wiarę?

– Ani przez chwilę... – przechyliła głowę tak, aby nie przeszkadzał jej rozłożysty kołnierz i pocałowała go w policzek.

Ktoś z bawiących się u stóp podwyższenia dostrzegł ten gest i natychmiast przepił do Amarelis, wznosząc toast za dzieła miłości. Księżna podziękowała uśmiechem.

– Co zamierzasz?

Zamiast odpowiedzieć, skinął na Assisa. Uzdrowiciel zbliżył się natychmiast.

– Możesz mówić przy mojej małżonce – zagaił kotołak. – Co odkryłeś?

– Dziewczę to jest dziewicą... – zaczął Assis, zerkając na Amarelis.

– Nie musisz w ten pokrętny sposób zapewniać mnie o wierności mego męża! – syknęła zirytowana.

– Wybacz pani, nie tylko to miałem na myśli – Assis nie dał się zbić z tropu. – Dziewictwo znacząco osłabia działanie uroku modliszki. Musiał go zatem rzucić mag słabo znający się na rzeczy, albo mający jakiś ukryty cel. Czy jesteś pewien książę, że między tobą a tą istotą wytworzono magiczną więź? Czy ona miała przy sobie coś należącego do ciebie?

– Zgadłeś – potwierdził zapytany.

– Czy masz to jeszcze, książę?

Sięgnął do pasa, wyjął guzik i podał Assisowi.

– Pochodzi z mojego starego ubrania, które pozostało w Suminorze.

– Zbadam to... – uzdrowiciel wziął guzik. – A cóż tam się stało?! – spojrzał uważnie na step.

Wracał pierwszy przegrany: czternastolatek z rodu Assisa. Ksin nie znał jego imienia. Chłopak powinien był chyba zaczekać jeszcze rok i bardziej zmęźnieć. W czasie biegu musiał się potknąć i skrzył nogę. Do obozu doszedł wspierany ramieniem własnego tropiciela. Nie powitały go żadne szyderstwa, zapewne doceniono ambicję młokosa. Ojciec i bracia pocieszająco wyklepali go po plecach, dali dzban piwa.

Assis poprosił księżęcą parę o wybaczenie i pospieszył zająć się skreconą stopą krewniaka. Wkrótce uzdrowiciel oraz młody pechowiec zniknęli im z oczu.

– Wrócę do ojca – szepnęła Amarelis do Ksina. – Ale czy mogę odwiedzić cię dziś w twym namiocie – spojrzała na męża spod opuszczonych rzęs. – Zgadnij, co mam pod tymi piórami i suknią... – kusila.

Skinał twierdząco.

– Nie przestajesz mnie dzisiaj zadziwiać – mruknął. – Gdzież podziła się twa powściągliwość, którą okazywałaś zwykle wobec innych?

– Już nie jest potrzebna – stwierdziła. – A gdybym kiedykolwiek przestała zadziwiać mego męża, to on naprawdę mógłby wziąć sobie jakąś latawicę przygnaną przez stepowy wiatr... – przepiła do niego z uśmiechem.

– Jedna taka już doprawdy wystarczy, aby stracić zmysły! – trącił swym dzbanem w jej czarkę.

– Chcę, by wszyscy widzieli moje szczęście – dodała.

W tej chwili Arpia przyniosła im pieczone przepiórki, wydobyte z glinianych skorup. Zaczęli jeść delikatne, soczyste mięso, beztrasko obserwując bawiący się wokół tłum.

* * *

Po dwóch godzinach od rozpoczęcia próby, także w towarzystwie tropiciela powrócił następny przegrany, bardzo zdziwiony, że przybył dopiero drugi. Nazywał się Achro, miał około trzydziestu lat i była to już jego czwarta inicjacja. Stojąc przed podwyższeniem starszyny próbował mętnie tłumaczyć, że dalej się iść nie dało... Wydrwiono go bez litości, a Arpia rzuciła w niego jajem z procy. Trafiła dokładnie między oczy z taką siłą, że Achro aż usiadł. Półślepiony nieudacznik, przy wtórce gromkiego śmiechu, obrzucany ogryzionymi kośćmi, odszedł samotnie w głąb obozu.

Trzeci pechowiec wpadł w rozpacz. Był jedynym synem pewnej wdowy i miał nadzieję, że jako mężczyzna będzie mógł lepiej zająć się matką. Nie próbował zaprzeczać, iż nie sprostął próbie, więc nie wykpiiono go nazbyt okrutnie. Jednak czekająca nań dziewczyna – widząc, że wybranek nie zdobył prawa do małżeństwa – z furią cisnęła mu w twarz jakiś

drobiazg, potem zerwała z głowy i podeptała swój narzeczeński wieniec. Kiedy odeszła, młodziak miał minę, jakby zaraz miał się powiesić. Bywało tak po nieudanej inicjacji.

Amarelis, obserwująca zdarzenie razem z Ksinem, spojrzała wymownie na męża.

Kotołak powstał, biorąc kolejny dzban z winem.

– Chłopcze, jak masz na imię? – zwrócił się do przegranego, przekrzykując gwar.

Pytanie nie dotarło od razu do otepiałego nieszczęśnika. Zareagował dopiero, gdy ktoś brutalnie szturchnął go w bok.

– Derrin... książę... – wykrztusił, kłaniając się nieudolnie.

– Zatem piję zdrowie przyszłego mężczyzny Derrina, który stanie tutaj za rok! – oznajmił kotołak, wznosząc dzban do ust. Wypił i zwrócił się do świadków rozmowy: – Dopilnujcie, żeby ten młokos zapomniał dziś o wszelkich smutkach!

Ktoś roześmiał się i zaraz po Derrina wyciągnęło się kilka rąk, które pociągnęły go ku ogniskom i stołom.

Szaman tańczył w szalonym transie...

Nagle ze stepu doleciał głos rogu. Zamilkły bębny, zamarła zabawa. Nasłuchiowano w napięciu. Powtórzenie sygnału oznaczało wezwanie pomocy, pojedynczy dźwięk był znakiem hańby. Przed starszyzną przyprowadzono zaraz sędziwego Kamo.

– To był róg tropiciela syna z rodu Oreina! – oznajmił ślepiec.

– Na pewno stało się coś złego! – zawołał Orein, wybiegając z tłumu. Czoło miał zabandażowane i unikał patrzenia na kotołaka. – Zaraz znów usłyszymy... Uciszcie się!

Niczego nie usłyszano. Ludzie zaczęli ze wstrętem odsuwać się od Oreina. Sprofanowanie świętej ceremonii inicjacji nie zdarzało się często. Wszak przegrać w jednym roku i naprawić błąd w następnym nie było niczym niezwykłym. Nie miało sensu ryzykowanie oszustwa, by stracić wszelkie szanse. Tylko ostatni głupiec i łajdak mógł się zdobyć na coś takiego! W dodatku, po wyzwaniu rzuconym bogom przez Ksina, oszustwo podczas inicjacji stanowiło wyjątkowo zły omen...

Szaman natychmiast wezwał trzech dodatkowych tancerzy, aby pomogli mu przepędzić demony. Ostateczne wyjaśnienie sprawy musiało jednak poczekać, aż oszust i jego sędzia powrócą, co nie mogło nastąpić szybko. Koczownicy zaczęli powoli wracać do ucztowania. Wszak należało się cieszyć...

Ksin zauważył, że choć Amarelis uśmiecha się nadal, drżą jej kąciki ust. Przestała jeść i pić.

Wziął żonę za rękę i przysunął się bliżej.

– Kiedy zaczynałem nowe życie z tobą w tym świecie – powiedział z powagą – naiwnie myślałem, że czeka mnie samo szczęście, że idąc przez step za wiatrem lub błędzącymi gwiazdami będziemy tylko cieszyć się naszą miłością. Mniemałem, że moje życie w pewien sposób się już skończyło, że nie będzie więcej wyzwań, przeciwności, wrogiej magii, walki na śmierć i życie. To ty dzisiaj sprawiłaś, że zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. Staniemy

więc razem wobec gniewu bogów, wobec bezkresu stepu, wobec wszelkich wrogów, jacy ośmieli się wystąpić przeciw nam. Wydrzemy im to, czego pragniemy! Skoro mamy mieć własne Państwo, inaczej postąpić nie można!

Ostatnie słowa skierowane były do przysłuchującego się im Ampekera.

– Inaczej postąpić nie można... – powtórzył jak echo starzec.

Amarelis westchnęła.

– Boję się i jestem szczęśliwa – oparła czoło o ramię Ksina.

Zabawa znowu ustała. Koczownicy zapatrzyli się na powracającego sędziego i syna Oreina. Z daleka widać było, że się kłócą. Tropiciele szedł przed siebie dumnie wyprostowany, młokos krążył wokół niego, podbiegał, gestykulował, wyraźnie próbował coś tłumaczyć. Kiedy weszli do obozu, chłopak pobiegł prosto przed podwyższenie starszyny.

Niczo przerwał taniec, aby wziąć udział w sądzie. Dzisiaj to on wydawał wyroki.

– Oszustwo! Oszukał! – zawołał piskliwie młodziak.

Był błąd, ale zuchwałości mu nie brakowało.

– Co znaczy: oszukał? – zapytał wyniośle Ampeker w imieniu księżęcej pary i całego plemienia.

Kotołak zauważył, że Arpia szykuje procę. Tym razem zamiast jaja w skórzaną obejmę włożyła samorodek platyny, skuty na zimno w kształt kulki wielkości orzecha. Tych bardzo ciężkich i twardych pocisków jego szwagierka używała do zabijania zwierząt..

– Mój sędzia oszukał, nie miał prawa zatrzeć! – wyrzucał słowa oskarżony. – Specjalnie mi zaszkodził!

– Czy sędziego dano ci bez twojej woli? – zapytał spokojnie Ampeker. – Czy zgodziłeś się na ten wybór?

– Zgodziłem, ale nie wiedziałem, że...

Przewodniczący rady uciszył go ruchem dłoni.

– Czy świadkowie potwierdzają, że wybór tropiciela był dobry?

Kilku starców siedzących na podwyższeniu z powagą pokiwało głowami.

– Zatem wysłuchajmy sędziego! – oznajmił Ampeker.

Tropiciele był już na miejscu.

– Znalazłem tego chłystka ukrytego w rozpadlinie przy strumieniu, dwa tysiące kroków od obozu – oznajmił spokojnie mężczyzna.

– Zatrzymałem się, by odpocząć! – zawołał chłopak.

– Przechodzący próbę młodzienc ma prawo do odpoczynku nie dłuższego niż kwadrans – odparł tropiciel. – On siedział tam ponad godzinę, na dodatek zamaskował wejście do rozpadliny gałęziami i czekał aż go ominę. Myślał, że jak odejdzie w bok, brodząc w strumieniu, to go nie znajdzie...

– Kłamstwo!!! – zapiszczał młokos.

– Sędzia mówi prawdę, albowiem gdybyś ukrywał się krócej, musiałbyś ujść dalej niż dwa tysiące kroków – odparł Ampeker.

– I odszedłem! Byłem dalej! – Młody oszust robił się coraz bardziej czerwony.

– Więc czemu nie zaprzeczyłeś od razu, gdy sędzia mówił, gdzie cię znalazł?

– Mogę pokazać to miejsce – oznajmił tropiciel. – Leżą tam jeszcze ucięte gałęzie krzewów...

– To on je uciął!

– Przyjmij naszą wdzięczność, czcigodny Lidonie – rzekł szaman do tropiciela. – Nie wątpimy w twoje słowa. Zechciej się teraz posilić i odpocząć.

– Nie! – zaprotestował Orein. – On musi się wytłumaczyć!

– Wytłumaczył już wszystko – uciął dyskusję Niczro. – Czy to twój syn okrył hańbą nas wszystkich w oczach Bogów Stepu?

– Mój... i nie było żadnej hańby!

– Czy wyrzekasz się tego oto nieczystego nikczemnika?

– Nie!

– Wobec tego niezwłocznie opuścisz obóz, ty oraz ci wszyscy, którzy się z tobą zgadzają! Odejdziecie stąd ku przeszłości.

– Gardzę całym tym plugawym plemieniem! – Orein posiniał z furii. – Chodź, Tiszno!

– Nie – odrzekł szaman lodowato. – On nie pójdzie z tobą, albowiem dopuścił się świętokradztwa w niezwykle ważkiej dla plemienia chwili, kiedy rzucono bogom wyzwanie, co ustokrotnia jego zbrodnię. Zostanie więc uśmiercony!

– Nieee! – Orein skoczył naprzód, ale Arpia, czekająca na znak szamana, była szybsza.

Zawirowała w błyskawicznym piruecie i wizg procy zlał się w jeden złowrogi akord z krzykiem ojca i traskiem pękającej czaszki syna. Platynowa kulka wybiła dziurę w skroni młodego oszusta i utkwiała w mózgu. Tiszno legł w drgawkach.

– Ty suukoo! – zawył Orein, rzucając się na procarkę. Zanim zrobił trzy kroki powalono go i obezwładniono.

Młoda koczownicza oblizwała usta i wyzywająco popatrzyła na Ksina. Kotolak zignorował ją. Za to Hakonóż spoglądał na nią z mieszaniną zgrozy i podziwu...

– Niech nieczyści zakopią to łajno po zaprzeszłej stronie obozu – polecił Niczro, wskazując na ciało oszusta.

– Jeszcze dycha... – zauważył ktoś z tłumu.

– Nie będziemy się brukać dobijając nieczystego. Niech zadławi go ziemia, którą znieważył swoimi stopami – odparł szaman.

Kilkunastu koczowników ruszyło wypełnić rozkazy. Krzyki oszalałego Oreina i kobiet z jego rodu wkrótce ucichły między namiotami.

– Zaiste bogowie nie czekali z odpowiedzią – rzekł posępnie Niczro do zgromadzonej na podwyższeniu starszyny. – Cóż jeszcze nas dzisiaj spotka?

- Widać to już... – kotołak powstał z miejsca, aby się upewnić.
- Cóż takiego? – szaman obejrzał się, lecz z racji tego, iż stał trzy łokcie niżej i miał za sobą zwarty tłum, nie miał szansy zobaczyć nic, co działo się poza obozem.
- Pierwszym mężczyzną, który chwalebnie zakończył dziś inicjację, jest Czaszkun! – oznajmił głośno Ksin.

3. PRZED BURZĄ

Amarelis była wstawiona i żeby nie upaść, musiała mocno trzymać się ramienia Ksina. Co chwila kładła mu głowę na ramieniu albo szukała jego ust, łaskocząc go przy tym swoim rozłożystym kołnierzem w ucho i kark. Kotołak od dłuższego czasu ze szczegółami obmyślał, jak będzie jej te pióra garściami wyrywał...

Przechadzali się wśród rozbawionych i uczujących koczowników, niemalże niezwracających na nich uwagi. Nie z braku szacunku, lecz z racji ilości wypitych trunków. Była już godzina po północy, ale bezchmurna, gwiazdzista noc i aż trzy księżycy w trzech różnych kwadrach zapewniały dość światła do zabawy. Inicjacyjne święto zaczęło się źle, za to kończyło dobrze. Przed północą wrócili wszyscy młodzieńcy, którzy stanęli do próby. Nikt nie przepadł w stepie, nikogo więcej nie przyłapano na oszustwie. Większość ludzi Oreina uznała, że wyrok starszyny, choć surowy, był sprawiedliwy i zgodny z obyczajem, więc nie przyłączyli się do wygnańców. Obóz opuściło tylko nieco ponad dwie dziesiątki dusz, w tym zaledwie sześciu sprawnych wojowników. Strata dla plemienia niewielka. Wyprowadzono ich pod zbrojną eskortą tysiąc kroków za przeszłą granicę obozowiska i zakazano wracać pod karą śmierci. Świeża, mocno udeptana mogiła nieszczęsnego Tiszno stanowiła dowód, że to nie żarty. Na wszelki wypadek Ksin kazał wystawić dodatkowe stráže. Wśród członków rodu Oreina pozostałych w obozie był Czaszkun i ów trzeci młodzieniec, który przystąpił do inicjacji.

Fakt, że nie doszło do domowej rzezi oraz szczęśliwy powrót ostatniego młodego mężczyzny imieniem Wizand – który tym samym zyskał tytuł Dzielnego i prawo poślubienia dwóch kobiet – zostały powszechnie uznane za odwrócenie złego omenu, ciężącego nad początkiem inicjacji. Ulga i radość były tak wielkie, że nawet wygląd Czaszkuna przestał komukolwiek przeszkadzać, wręcz przeciwnie, uczynił go duszą towarzystwa. Po zakończeniu prób męskości, kiedy plemienna starszyna opuściła podwyższenie, skąd nadzorowała przebieg inicjacji, i zmieszała się ze świętującymi, na miejscu Ksina zasiadł Czaszkun przebrany w książecky płaszcz. Kotołak pozbył się go natychmiast po zakończeniu ceremonii. Zrzucił też ów prehistoryczny spiżowy pancerz, jaki przed południem wcisnął na niego Hakonóz.

Grupa pijanych koczowników obwołała równie jak oni pijanego Czaszkuna królem demonów i z zapamiętaniem biła przed nim pokłony oraz wznosiła toasty. Czaszkun w odpowiedzi wydawał złowrogie świsty, które tym razem zamiast zgrozy wzbudzały szalony entuzjazm jego wyznawców i poddanych.

Siadanie na miejscu księcia i noszenie jego szat stanowiło wprawdzie wzbronione tabu, ale w noc inicjacji zwykle obyczaje ulegały zawieszeniu. Świeżo pasowani mężczyźni mogli niemal wszystko, zwłaszcza jeśli chodzi o korzystanie z kobiecych ciał. Nawet Ksin musiałby zamilczeć, gdyby Amarelis zapragnęła zażyć rozkoszy z młodzikiem zaraz po próbie męskości. Jednak w przeciwieństwie do wielu innych mężatek, jego żona nie pragnęła tego. Właśnie teraz razem patrzyli, jak jakaś podchmielona kobieta wyrывa się mężowi, wbiega na podwyższenie i rozbiera pośród okrzyków zachęty. Niebawem naga stanęła przed Czaszkunem i zakołysała biodrami w namiętnym tańcu. Nie była młodką, ale kształty posiadała bardzo apetyczne. Biesiadnicy zareagowali głośnym zawodzeniem, gwizdami, a Czaszkun chyba wytrzeźwiał z wrażenia. Kobieta siadła na nim okrakiem, podwinęła mu przepaskę biodrową i po chwili zaniosła się gardłowym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

Amarelis zachichotała, tuląc się do Ksina. Mąż kochanki Czaszkuna spokojnie dokończył swoje wino i przygarnął przechodzącą obok dziewczynę, wpijając się w jej usta. Ta oddała pocałunek bez wahania, po czym oboje osunęli się na ziemię i potoczyli pod najbliższy stół.

W noc inicjacji nasienie mężczyzn miało wyjątkową moc, gdyż wstępowały w nie duchy wielkich myśliwych, wojowników i najpłodniejszych matek. Dzieci poczętych tej nocy nigdy nie uznawano za potomstwo tych, którzy połączyli się w miłosnym uścisku – były odrodzonymi duszami przodków. Potem najstarsi ludzie w plemieniu wraz z szamanem długo badali stare pieśni, legendy oraz znamiona noworodków, aby odkryć ich prawdziwe imiona.

Kiedy kobieta czyniąca właśnie Czaszkuna prawdziwym mężczyzną zaczęła jęczeć z rozkoszy, Amarelis pociągnęła Ksina za sobą. Pobiegli przez obozowisko, przeskakując nad pogrążonymi w miłosnych zapasach parami oraz ciałami tych, którzy padli od nadmiaru trunków. Amarelis śmiała się coraz głośniejszym głosem i biegła coraz szybciej, ponieważ jednak nie była w stanie sama zachować równowagi, wkrótce potknęła się i całym ciałem wpadła na jakiś namiot. Rozległ się trzask pękających drewnianych prętów, połowa namiotu runęła, co rozbawiło ją jeszcze bardziej. Ktoś w środku najpierw zaczął przeklinać, potem też się roześmiał.

Ksin wyciągnął rozbawioną żonę z rumowiska, nie chcąc już dłużej czekać. Chwycił przekłuty kołnierz i szarpnął, aż pióra poleciały we wszystkie strony. Pragnął ją wreszcie chwycić za kark, posiąść tu i teraz, na cudzym namiocie, a choćby i jego mieszkańcach! Sam wszakże wypił na tyle dużo, że łatwo wywinęła się z jego objęć i kazała mu ścigać ją aż do ich małżeńskiego namiotu. Po drodze porwała żagiew z jakiegoś ogniska i wymachując nią w biegu tylko przypadkiem nie podpaliła połowy obozowiska.

U siebie zaczęła zapalać oliwne lampy. Ksin nie przeszkadzał jej, czekał oparty o słup podtrzymujący dach namiotu. Po chwili Amarelis wyrzuciła pochodnię na dwór i stanęła przed mężem w pełnym świetle. Zarumieniona od wina i biegu, zdyszana, w postrzępionym i potarganym kołnierzu z piór, wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

Kotołak zrobił krok w jej stronę, a ona pochyliła się szybko, chwyciła dolny brzeg swej złocistej sukni i prostując energicznie rozdarła ją aż do samej szyi, pozwalając tkaninie spaść z ramion.

Była więcej niż naga. Piersi i biodra miała owinięte postrzępionymi pasami jaskrawo czerwonej tkaniny. Jej strój naśladował zawoje używane na co dzień przez kobiety do podtrzymywania piersi i spowijania łona w okresach nieczystości, ale w przeciwieństwie do tamtych niczego nie osłaniał i nie podtrzymywał. Sutki sterczały śmiało w szparach między wstęgami czerwonego płótna, a tego co okrywało biodra władczyni koczowników nie trzeba było przesuwac ani o cal, by dostać się do wnętrza jej ciała. Nawet wspólne kobiety nigdy nie ośmielały się tak pokazać!

– Chciałam... – wydyszała Amarelis, obserwując fascynację malującą się na twarzy męża – byś tylko ty oglądał mnie taką... Nikt inny... Tylko dla ciebie chcę taką być... królową i dziwką... – ostatnie dwa słowa powiedziała w języku sum, ojczystej mowie kotołaka.

Ksin nie miał pojęcia, kto ją tego nauczył, pewnie Saro, ale to nie miało znaczenia. Po prostu onieśmieliła go nagle swoim powabem, wyuzdaniem i namiętnością, jaką mu ofiarowywała. Nie był w stanie jej porwać w ramiona, tylko stał, patrzył i myślał, czy zasługuje na taki widok i na takie oddanie. Wobec tego to ona z dzikim okrzykiem skoczyła na niego i zaplotła uda wysoko na jego biodrach. Łapiąc równowagę trafił na wspornik namiotu i dopiero zrozumiał, co ma robić. Obrócił się szybko i oparł Amarelis plecami o słup. Ona sięgnęła do jego męskości, on stając pewniej na nogach chwycił drewniany pal ponad jej głową. Spadł pas ze Szponem.

Uwolniła go, uniosła się i opadła, nasuwając na niego, wciskając w całości w siebie. Krzyknęła wprost w usta męża, chwytając go z całej siły za szyję. Tym razem ona brała jego, a nie on ją. W tej pozycji to Amarelis nadawała rytm, wznosząc się, osuwając, wspinając na Ksina niczym na gładki pień drzewa lub pal. Może była to sprawa wypitego wina, ale wkrótce i on miał wrażenie, że unosi się w górę, że raz jedno jest pniem, a drugie się po nim wspina, potem odwrotnie. Sufit namiotu wydawał się przybliżać i kołysać.

Krzyczała. Krzyczała z całych sił, na cały obóz, pozwalając bez reszty opanować się namiętności. Nie zauważył, kiedy uległ Przemianie. Po prostu w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że szorstkim, kocim językiem liże jej rozedrgane od krzyku usta, a wbite w słup pazury zapewniają mu pewniejsze oparcie. Wkrótce przestał być tylko sprawcą i obserwatorem jej rozkoszy, wszedł w pragnienie swej kobiety, pozwolił się porwać jej pożądaniu, odrzucił własną tożsamość i utożsamił z tym samym rozedrganym rytmem, w jakim poruszały się jej biodra, zaciskało wnętrze. Był tym ruchem, było tylko to, a potem

nagle Amarelis sprężyła się niby w ostatnim skurczu agonii, gwałtownie wciągnęła powietrze razem z własnym krzykiem, bo niespodziewanie zrobiło się cicho, chwilę trwała w bezruchu i westchnęła bardzo, bardzo głęboko. Wtedy kotołak odzyskał tożsamość, znów był on i ona, połączeni, ale odrębni, i jego namiętność, która nadeszła właśnie teraz i wypełniła ją w momencie jej największej uległości, bezsilności i otwartości. Tylko kiwała głową na znak, że czuje, że przyzwala, że tego chce...

Potem łapy Ksina stały się rękami, spocone dłonie ześlizgnęły po drewnie, ugięły się kolana i oboje usiedli u stóp pała podtrzymującego dach namiotu. Amarelis wciąż nie wypuszczała go z siebie, ale oboje wiedzieli, że zrobili to tak, iż niczego nie trzeba będzie powtarzać. Spełnienie było całkowite. Tulili się więc tylko do siebie, powoli odzyskując siły.

– Musisz wracać... – powiedział wreszcie.

– Nie mam na siebie co włożyć... – odszepnęła, całując go lekko. – Wszystkie suknie wyniosłam do ojca, a tej już się nie da odziać...

– A ja zgubiłem płaszcz – uśmiechnął się. – Pewnie Czaszkun w nim...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– I oni chcieli, żebym była tylko królową... – szepnęła potem.

– Jacy oni?

– Ampeker i starcy. Uważali, że władza i dziecko to wszystko czego mi potrzeba. Zapomnieli o mężu. Zlekceważyli namiętność...

– To chyba do starców podobne, nieprawdaż?

Oboje roześmieli się cicho.

– Lecz czemu o tym teraz wspominasz? – zapytał. – Czy nawet w takiej chwili musimy mówić o polityce?

– Polityka to ja! – odpowiedziała poważnie. – Nie próbuj już więcej nas od siebie oddzielić, jeżeli mnie pragniesz...

– Dobrze – skinął głową. – W istocie – tego się dzisiaj nauczyłem.

Potaknęła głową i zaczęła wstawać. Pokrywające ją czerwone zwoje były w wielkim nieładzie, ale to jeszcze bardziej dodawało jej powabu. Patrzył na nią zachwycony.

– Znajdź mi coś! – syknęła z irytacją. – Nie chcę tak wracać!

– Nikt nie zauważy...

– Dla nich tylko królowa! – odparła stanowczo.

– Dobrze – wstał, poprawił nogawice i ściągnął z nieużytego posłania futrzaną kołdrę.

– Wystarczy? – podał ją Amarelis.

Zamiast odpowiedzieć, owinęła się w futro i uśmiechnęła zalotnie.

– Więc chodźmy, odprowadzę cię.

Wyszli przed namiot. Ksin w duchu obawiał się, że zastanie jakichś gapiów zwabionych krzykami żony, ale nikogo nie zobaczył. Był środek nocy i cały obóz rozbrzmiewał bliższymi oraz dalszymi odgłosami namiętności. Na stronie przyszłości trwała szalona orgia, dobiegały

stamtąd rytualne zawodzenia i śmiechy. W świętą noc inicjacji wszyscy mężczyźni, nowi i starzy, winni byli dać duchom przodków szansę ponownego wcielenia.

Także wspólne kobiety udzielały się wyjątkowo intensywnie, bowiem gdyby któraś z nich teraz poczęła, to po szczęśliwym połogu w oznaczonym czasie – jako matce odrodzonego herosa – zwróconoby jej cześć i wszelkie prawa.

Dopiero, gdy przeszli kilkanaście kroków, w cieniu jednego z namiotów spostrzegli przytuloną do siebie parę. Charakterystyczny błysk broni opartej o skórzaną ścianę pozwolił rozpoznać Hakonoża. Za moment doleciał ich strzęp słów Arpii:

– ... zabiłam, byś zobaczył, że nie jestem dzieckiem...

Księżęca para ominęła ich niepostrzeżenie. Poszli prosto do namiotu Dergina – teścia kotołaka. Dergin nie spał, podobnie jak jego druga żona, Bafa, macocha Amarelis. Oboje najwyraźniej skończyli właśnie uprawiać miłość przed wejściem namiotu i odpoczywali w niedbałych pozach.

– Piękna pogoda, moi drodzy – powiedział Dergin na widok zięcia i córki. – Aż szkoda dusić się pod skórą...

– Zwłaszcza, kiedy zażywa się dziwki! – syknęła Amarelis, choć tak, by usłyszał ją tylko mąż. Nie znosiła swojej mało urodziwej macochy.

Ksin nie zareagował, zawsze starannie unikał mieszania się w ten rodzinny spór.

– Nie zostajesz z mężem... pani...? – zapytała Bafa, od niechcenia zasłaniając swe niekształtne piersi.

Księżna nie zniżyła się od udzielenia odpowiedzi. Tylko jej wzrok mówił: „Jeszcze jedno słowo, a zostaniesz wychłostana!”.

– Chcę, aby moja żona była tutaj bezpieczna – wyjaśnił kotołak.

– I będzie – skinął głową Dergin.

Poczuł ulgę. Nie rozumiał, co jego teść może widzieć w takiej kobiecie jak Bafa, ale jako mężczyźnie i wojownikowi ufał mu całkowicie.

Amarelis skinęła na pożegnanie i znikła w namiocie.

Kotołak zawrócił i poszedł do siebie. Jednakże nie dane mu było przespać się na własnym pościeliu. Nie dlatego, że brakowało tam kołdry. U wejścia na plac przed namiotami starszyzny powstrzymał go rozedrgany jęk Arpii. Przystanął i wyrżał ostrożnie. Sterta skór przy wygasłym ognisku straży poruszała się w charakterystyczny sposób. Hakonóż właśnie wchodził do rodziny...

Wycofał się. Nie chciał przeszkadzać, a nie miał szansy wejść do namiotu, aby tamci go nie zauważyli. Szybko opuścił więc teren wewnętrznego obozowiska i zaczął myśleć, co robić. Mimo wypitego wina i miłości z Amarelis nie bardzo chciało mu się spać. Ucztować i szukać miłości też nie. Postanowił zajrzeć do Saro i Czemo.

Już z daleka usłyszał płacz. Przyśpieszył kroku. Saro, Czemo, Assis i modliszkołaczka siedzieli przy małym ognisku przed namiotem. Dziewczyna szlochała, łotrzyk patrzył na nią

ze wzgardą i tłumaczył słowa Czemo, który próbował zapłakaną upiornicę uspokoić. Uzdrowiciel w zadumie rozczesywał palcami swą długą białą brodę.

– ... wszystko będzie dobrze, siostrzyczko... – mówił Czemo, głaszcząc ją po głowie.

Saro przełożył te słowa z miną, która zdecydowanie przeczyła ich treści. Mówił po karyjsku.

– Widzę, że moja zdobycz już się obudziła! – powiedział Ksin wychodząc z mroku.

Obecni powstali na jego widok. Dziewczyna – zorientowawszy się, że przyszedł ktoś znaczny – wstała szybko i rzuciła do nóg kotołaka. Zaczęła mówić coś szybko, błagalnym tonem. Poznał karyjski, ale nie zrozumiał nic więcej i pytająco spojrzał na Saro.

– Prosi, żebyś ją uwolnił, nie krzywdził, że jej rodzina zapłaci okup, są bogaci...

– Powiedz, że to nie ja ją porwałem.

Dziewczyna po tych słowach uniosła głowę, łykając łzy. Ksin chwycił ją za ramię, podniósł i odprowadził z powrotem do ogniska.

– Ma na imię Najsza – powiedział Czemo.

– Zupełnie nie wie, gdzie jest i co się stało – dodał Assis.

– Tyle się domyśliłem – odparł. – Czy ona wie, że jest potworem Onego?

– Zaprzecza temu.

– A co sądzi o mężczyznach?

– Jej zdaniem chłopcy są śmieszni i głupi – stwierdził uzdrowiciel.

– To jeszcze dziecko... – wtrącił Czemo, po kobiecemu obejmując brankę. Najsza nie zaprotestowała, ale chyba sama nie wiedziała dlaczego.

– Pytałeś ją o sny? – kontynuował Ksin.

– Owszem. Może dziesięć dni temu śniło się jej, że odrywa głowę jakiemuś głupiemu chłopakowi i to było przyjemne, choć nie wie dlaczego. Ten sen powtarza się teraz co noc, wcześniej podobnych nie miała.

– Zatem świeży urok – stwierdził.

– Tak, książę, i chyba coś jeszcze... – Assis wyjął guzik Ksina. – Dobrze, że przyszedłeś... – zniecierpliwiona przytknęła przedmiot do ramienia Najszy.

Zapłakaną twarz dziewczyny momentalnie wykrzywił grymas furii, z gardłowym skowytym rzuciła się na kotołaka, próbując wydrapać mu oczy. Zrobił krok do tyłu, medyk cofnął rękę z guzikiem i Najsza zamarła w pół ruchu. Jej złość przeszła w bezbrzeżne zdumienie, potem w przerażenie. Bąknęła coś pod nosem.

– Mówi, że nie chciała i przeprasza... – syknął Saro. Sięgnął za pazuchę, wyjął woreczek z nasionami szaleju, rozgryzł kilka.

Dziewczyna wybuchła gwałtownym płaczem i przytuliła do Czemo.

– Cicho siostrzyczko... Cichutko... – mówił łagodnie.

Assis w zadumie pokiwał głową.

– Dodatkowy urok, nakierowany specjalnie na mnie... – myślał głośno Ksin, siadając obok niego. – Ktoś stworzył z niej demoniczną morderczynię, tylko po to, aby mnie zabiła!

Saro nie odmówił sobie okrutnej przyjemności przełożenia tych słów. Najsza ze łzami w oczach zaczęła gorączkowo zaprzeczać.

– Czy pytałeś, kim jest? – kotołak zwrócił się do Assisa.

– Jeszcze nie zdążyłem, książę.

– Czemo, przyjacielu, czy masz jakieś wino? – spytał Ksin.

Myśliwy wstał bez słowa i poszedł do namiotu, a uzdrowiciel sięgnął po swoją torbę z lekami. Najsza z napięciem patrzyła na ruchy jego szponu.

– ... *antr, merih, antr...* Dam jej lek przywracający spokój, by mogła składnie mówić... *antr, merih...* Powiedz jej to, cny Saro.

– I przestań ją wreszcie straszyć! – dodał z naciskiem kotołak. – Jesteś zazdrosny o Czemo?

Łotrzyk splunął w ogień przeżutymi nasionami szaleju i zrobił, co mu kazano. Potem wziął sobie następną porcję.

– Może dać jej trochę? – zaproponował, unosząc woreczek z narkotykiem.

– Za mocne! – Assis z trudem ukrył irytację.

Czemo rozlał wino do czarek, a uzdrowiciel wrzucił do jednej szczyptę swoich ziół.

– Wypij to, dziecko – podał jej naczynie.

– Jestem Najsza, córka Nestara, członka orszaku posła wielkiego sułtana Karu na dworze króla Redrena... – zaczęła opowiadać kwadrans później, bawiąc się pustą czarką. Na jej bladej twarzy pojawiły się rumieńce. – Zasnęłam w swoim łożu...

– Gdzie to było? – wtrącił szybko Ksin.

– W pałacu króla Redrena, w pokojach dla rodzin świt ambasadorów. Czy ja śnię? Kiedy znów się obudzę?

– Czy zanim poszłaś spać coś się stało?

– Nie, wszystko było jak zwykle.

– A wcześniej? Czy coś cię zaniepokoiło? Zdziwiło?

– Do naszego posła przybył ktoś ważny, tak mówił tata, że przywiózł instrukcje. Potem ten ważny człowiek spotkał mnie na korytarzu... Ja przed nim przysiadłam, tak jak trzeba przed wysłannikiem wielkiego sułtana, ale on nie przeszedł obok, jak każdy zwykle... tylko wziął mnie pod brodę i zapytał o me imię. Trochę się bałam, bo słyszałam od kucharki, że jak wielki pan pyta dziewczynę o imię, to zaraz potem chce, żeby ona dała mu rozkosz, a ja nie wiem jak i z czego się ją gotuje, bo...

Saro, przetłumaczywszy ostatnie zdanie, zarechotał w najlepsze. Szalej robił swoje.

– Wyobraź sobie, że nie każda dziewczyna zaraz musi być Bertią! – zganił go Ksin i śmiech łotrzyka natychmiast zgasł. Był to jednak raczej skutek działania szaleju niż wspomnień.

– Co nastąpiło potem, kiedy już wypowiedziałś swoje imię? – kotołak zwrócił się do dziewczyny.

– On nie kazał dawać sobie rozkoszy, tylko jeszcze spytał, kto jest moim ojcem, a jak powiedziałam, to powiedział, że to dobrze i kazał mi odejść. Odeszłam i wtedy...

– Zrobił ci coś? – Assis wpatrzył się w nią uważnie.

– Nie... Nie on... Zakręciło mi się w głowie, pewnie z gorąca...

– W ocienionym krużganku?

– Ja nie wiem... Chyba upadłam, nie, nie upadłam... Pociemniało mi w oczach, ale... ciągle szłam... Tylko trochę w piersiach bolało, jakby łaskotało...

– Czy prócz was był tam ktoś jeszcze?

– Nie, nikogo.

– Pokaż, dziecko, gdzie cię zabolalo?

Najsza bez skrepowania zsunęła myśliwską bluzę i wskazała lewą pierś. Ksin nie zauważył tego wcześniej. Kiedy ją widział ostatni raz jako modliszkołaczkę była powalana ziemią i własną krwią. W międzyczasie Czemo ją domył.

– Poświećcie! – rozkazał Assis, klękając przy dziewczynie.

Saro wyjął z ogniska płonący patyk i trzymając go niezbyt pewne zbliżył płomyk do półnagiej Najszy. Uzdrowiciel zdrową ręką uniósł wskazaną pierś, a czubkiem lewego szpona badał skórę pod nią.

– Spójrzcie! – mruknął po chwili.

Pod rozkwitającą dopiero pierśią widniała wąska, bezkrwista i niezasklepiona rana. Dokładnie na sercu. Assis wsunął w ranę czubek szpona na cał głęboko, a Majsza nie poczuła bólu. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem i uśmiechała się nieśmiało.

– Skurwysyn... – wycedził przez zęby Ksin. – Zabił ją!

– Niezupełnie zabił – odparł uzdrowiciel. – Ona trwa zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią. Jeszcze nie w pełni umarła i nie do końca się przekształciła. Urok rzucono niefachowo, zapewne w pośpiechu. Okrutna i partacka robota... – westchnął ciężko. – Ubierz się, dziecko.

– Wszyscy się będą bardzo dziwić, jak im opowiem, co mi się dzisiaj śniło! – oznajmiła Najsza poprawiając bluzę.

– I w noc po spotkaniu z tym ważnym człowiekiem miałaś pierwszy sen o tym, jak urywasz głowę chłopcu?

To pytanie kotołaka było już tylko formalnością.

– Tak... ale ja w tym śnie... też trochę gryzłam... – wyznała, niewinnie spoglądając na Ksina szeroko otwartymi oczami – ... był taki przyjemny...

Czemo odsunął się odruchowo.

– Bez obaw! – uspokoił go kotołak. – Nie jesteś mężczyzną, więc tobie nie zagraża.

– A mnie? – spytał Saro. Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego odpowiedzią.

– Rozerwie cię w szmaty, a ty będziesz marzył tylko o tym, aby nie przestawała. Wszakże dla ciebie to nic... – kotołak zamilkł, zdawszy sobie sprawę, że mówi do kogoś, kogo w istocie tu nie ma.

Łotrzyk wzruszył ramionami.

– Zerznieś mnie dzisiaj mocno? – zwrócił się do myśliwego. – Może wysram potem jakiegoś półboga...

– Zatem ona jest potworem? – Czemo zignorował słowa kochanka.

– Upiorem. Bez wątpienia – potwierdził Assis.

– Zatem... – myśliwy nie dokończył.

– Jest słaba – zdecydował Ksin. – Nie musimy jej zabijać od razu.

– Będę grzeczna – zapewniła skwapliwie Najsza.

– Łączy ją magiczna więź z tym, który ją stworzył i nasłał. To się może przydać.

– Wobec tego trzeba przewidzieć, kiedy nastąpi kolejna Przemiana – odparł uzdrowiciel.

– Wtedy, gdy nad nami pojawi się nocne niebo Suminoru z Księżycem w pełni – stwierdził kotołak. – Potrafisz to przepowiedzieć?

– Z dokładnością do kilku nocy – odrzekł. – Wskażę czas, kiedy trzeba mieć na nią baczenie.

– Ja chcę już spać! – oznajmiła płaczliwie Najsza.

Ksin skinął na Czemo, który odprowadził dziewczynę do namiotu.

– I mnie pora udać się na spoczynek – stwierdził uzdrowiciel, podnosząc się z miejsca.

– W istocie! – Kotołak uznał, że Hakonóż i Arpia powinni już skończyć i można wrócić do namiotu. – Bywaj Czemo!

Hakonóż już spał, natomiast Arpia siedziała przy małym ognisku i – jak kiedyś jej siostra – odpruwała dziewicze hafty od swojej sukni. Włosy już ścięła, leżały obok.

Na widok Ksina chyba się zarumieniła, ale nic nie powiedziała. On też. Wszedł do namiotu, rzucił w ubraniu na posłanie i dopiero teraz całym ciężarem osunęły się na niego wszystkie zdarzenia minionego dnia.

Zasnął jak kamień.

* * *

Ktoś go wyszarpnął ze snu, zdawałoby się, chwilę potem. Lecz było już południe. Światło wpadające przez odsuniętą zasłonęomal nie urwało mu głowy. Kurczowo zacisnął powieki.

– Książę! – usłyszał i długą chwilę bezradnie usiłował rozpoznać głos mówiącego.

– Daj mu kwaśnej wody! – polecił ten ktoś.

Ktoś inny pomógł mu usiąść i przycisnął do ust naczynie z serwatką zmieszaną z wywarem z kory wierzby.

Niczro był naprawdę mądrym szamanem i przed inicjacją nakazał sporządzić wielki zapas tego napoju.

Kotołak pił, nadal nie otwierając oczu.

– Książę...? – tym razem rozpoznał Ampekera. – Coś ważnego zaszło...

– Amarelis?! – szarpnął się rozlewając kwaśną wodę.

– Księżna oraz wasze dziecię są bezpieczne – zapewnił szybko starzec. – Wszakże pilnie potrzebujemy twego osądu.

– Później...

– Nie, książę – Ampeker powiedział to tak stanowczo, że Ksin przestał się ociągać. Odruchowo polizał grzbiet prawej dłoni i zaczął przecierać oczy. Teraz zobaczył, że podającym mu napój jest Hakonóz, w wejściu stoi zaaferowana Arpia, a Ampeker ma na sobie tylko płaszcz niedbale narzucony na luźną szatę do spania. Jego też musiano na gwałt zerwać z posłania.

– Co się stało?! – zapytał wstając.

– Zmasakrowano klan Oreina.

– Nasze strażę? Próbowali się mścić? – poprawił Szpon.

– Nie. To zrobił ktoś w stepie, rankiem. Dopiero co wróciła kobieta z rannym dzieckiem. Tylko oni ocaleli...

– Prowadź! – Ksin wyszedł przed namiot.

* * *

Zewnętrzne obozowisko dopiero Niemrawo budziło się do życia po nocnym szaleństwie. W wewnętrznym jednak trwało poruszenie. Nie musieli iść daleko, tylko parę kroków, do namiotu Assisa, tu bowiem przyprowadzono uciekinierów. Uzdrowiciel zajmował się właśnie zakrwawionym, nieprzytomnym, trzy-, czteroletnim chłopczykiem. Jego matka z włosami w nieładzie oraz poplamionej krwią sukni klęczała obok, zawodząc cicho i kołysząc się w przód i tył. Za nią stał Niczro z nieprzeniknioną twarzą, dalej tłoczyli się pozostali ojcowie rodów.

– Pchnięty oszczepem w pierś... – wyjaśnił Ampeker. – Strażnik nie miał serca jej odpędzić, choć powinien.

Ksin skinął głową w milczeniu. Czekali cierpliwie, aż Assis skończy robić swoje.

– Mądrze zrobiłaś zatykając od razu ranę gałganem – rzekł wreszcie uzdrowiciel do kobiety. – Dzięki temu się nie zadusił i nie wykrwawił, kiedy go niosłaś. Może zdoła wyżyć... – zaczął myć rękę i szpon w podanej przez pomocnika misie.

Matka nie odpowiedziała, ale przestała się kiwać i jęczeć. Z ulgą popatrzyła na twarz synka, potem tknięta nagle myślą powiodła wzrokiem po zgromadzonej starszyźnie. Dopiero teraz pojęła, kim jest i gdzie jest... Znów spojrzała na dziecko, na szamana, Ksina, w oczach

błysnęło jej przerażenie i natychmiast rzuciła się do nóg kotołaka, padając przed nim na twarz.

– Nie wypędzaj mnie, dobry panie! Błagam zlituj się nad moim dzieckiem... – chwyciła dwie garście ziemi i posypała sobie nimi głowę. – Zostanę kobietą wszystkich mężczyzn, ale nie wypędzajcie! Nie wypędzajcie! Nie ulecę go sama w stepie... Mój Takrin tam nie przeżyje...

Assis pokiwał twierdząco głową.

– Należysz do rodu świętokradcy i odszczepieńca – rzekł surowo szaman. – Dokonałeś wyboru!

– Jakże mi było inaczej iść, jak nie za mężem i bratem?! – jęknęła.

– Za prawem winnaś iść! – Niczro spojrzał w oczy Ksina.

Obaj wiedzieli dobrze, że od wczoraj kotołak nie może już pozwalać sobie na lekceważenie plemiennych obyczajów.

– Powiedz dokładnie co zaszło, a być może okażemy ci łaskę – Ksin zwrócił się do kobiety.

– Napadli nas ludzie w żelaznych kaftanach... – odpowiedziała drżącym głosem, nie unosząc głowy. – Tacy, jakich wielu było w tamtym świecie...

– Wojsko Korathosa? – zdumiał się Ksin. Przez zebranych przeszedł szmer. – Na pewno wyglądali tak samo? Nie było to jakieś inne plemię?

– Na pewno, dobry panie...

– Ilu ich było?

– Wiele... wiele... Kilkakrotnie więcej niż nas...

– Znaczący niezbyt wielu, parę dziesiątek, może setka – ocenił Ampeker. – Skoro jednak poczynali sobie tak śmiało, musi ich być więcej...

– Żadni koczownicy nie noszą zbroi na co dzień, a ludzie Oreina spotkali ich przypadkiem – zauważył szaman. – I nie ma zwyczaju zabijać wędrowców w stepie. Raczej przysparzają im się, aby pomogli szukać Państwa.

Ksin wiedział to dobrze.

– Zatem ściga nas wojsko... – podsumował. – Ale czyje, skoro Korathos nie żyje?

– Widać zdarzył mu się mściciel – orzekł oschle Niczro.

– Czy ci zabójcy mówili z wami? Dali wam jakąś rację? – zapytał kotołak.

– Jeden znał mowę, on pytał mego brata... znaczy Oreina, czy znają człowieka, który zamienia się w wielkiego kota. Kiedy Orein odrzekł, że właśnie od niego idziemy – rzucili się na nas... Nic już nie mówili... Mój brat zginął pierwszy... Potem... potem...

– Zamilcz kobieto! – szaman szorstko powstrzymał wybuch hysterii.

– Gdybyśmy nie wypędzili Oreina, tamci napadli by nas nieprzygotowanych – zauważył Ksin.

Nikt nie zaprzeczył.

– Mogli w jego ludziach znaleźć sprzymierzeńców, ale zamiast o to wypytać, woleli ich od razu wyrznać – kontynuował. – Znaczący zawzięci są na nas i nie odstępają, jeśli ich sami nie odeprzemy!

– Bogowie Bezkręsu podjęli wyzwanie i przekazali nam uczciwe ostrzeżenie – stwierdził Niczro.

– Poprzez tę kobietę – zauważył kotołak. – Nie wygnamy jej zatem.

– Nie wygnamy – potwierdził szaman. – Wszakże ta, która nie szanuje świętych wyroków, sama nie może być szanowana. Niech zamieszka w namiocie kobiet, którym nie wolno nikomu odmawiać swego ciała.

– Jej syn zostanie u mnie, póki Pan Śmierci i Pani Życia nie dokonają gry o jego los – oznajmił Assis.

– Niech tak będzie – zgodził się Ksin.

– Dziękuję... Dziękuję, dobry panie... – matka chłopca zaczęła wstawać z kolan.

– Odejdź stąd szybko, wspólna kobieto! – rozkazał jej Ampeker. – Stąpanie po ziemi Środkowego Kręgu jest zakazane takim jak ty. Zaczne niewiasty powiadomią cię, jak się czuje twój syn!

– Tak panie... Dziękuję panie... – obejrzała się jeszcze na dziecko i wybiegła poza krąg namiotów plemiennej arystokracji. Usiadła jednak zaraz przy wejściu zasieku. Nikt już na nią nie zważał.

– Hakonożu, zbierz dziesięciu tropicieli! – rozkazał kotołak. – Idziemy zobaczyć, kto nas szuka i ilu ich jest. Pozostali wojownicy w obozie niech się przysposobią do walki! – spojrzał na Ampekera, który dotknął serca na znak, że dopilnuje wykonania jego woli.

– Lepiej, aby dziś nie doszło do boju – zauważył szaman. – Zbyt wielu jeszcze do wieczora będzie leczyć poranną słabość...

– Będę miał to na względzie.

– Czy mamy obudzić czcigodną panią Amarelis? – spytał Ampeker.

– Pozwólcie mojej małżonce spać, póki się nie obudzi. Do tej pory niech o wszystkim stanowi dostojny Niczro.

Szaman bez słowa położył rękę na sercu.

* * *

Czterech tropicieli ruszyło przodem. Ksin z Hakonożem i Arpią – bowiem nie było takiej siły, która mogła ją zmusić do zostania w obozie – oraz trzema wojownikami szli w drugiej linii, gotowi przyjść z pomocą w razie zasadzki. Tropiciele nie musieli zbyt wyężdżać swojego kunsztu. Szlak wydeptany przez wygnańców było widać jak na dłoni. Bardziej należało zważać na mogących nadejść z przeciwka...

Na pobojowisko dotarli jednak bez przeszkód, po czterech godzinach marszu. Już z daleka widać było unoszące się nad nim ścierwojady. Wszystko wskazywało, że napastnicy wycofali się zaraz po rzezi. Ksin posłał za nimi trzy pary tropicieli, a z resztą zaczął badać ślady na miejscu. Nie znaleźli nikogo żywego. Wszystkich rannych dobito...

Arpia zaskoczyła Ksina. Spodziewał się, że będzie wymiotować, dostanie histerii, lecz ona na widok trupów tylko pobladła. Dłuższą chwilę stała przy zwłokach kobiety i niemowlęcia przybitych do siebie złamanym oszczepem. Jej twarz ściągała się i tężała, a kiedy jakiś czas później kotołak znów na nią spojrzał, nie zobaczył jak dotąd dziewczęcia z procą, lecz młodą, wściekłą wilczycę. W duchu pogratulował Hakonożowi.

Oreinowi roztrzaskano głowę, bodaj żelazną kulą na łańcuchu. Pozostali mężczyźni i chłopcy z jego grupy mężnie stawili opór – leżeli mniej więcej w jednej linii, niektórzy jeszcze z nożami w rękach. Kobiety, dzieci i kilkoro staruszków wymordowano w czasie ucieczki. Gdyby jednak koczownicy choć na chwilę nie powstrzymali przeciwników, nie uszedłby nikt...

Wszyscy napastnicy walczyli konno. Zsiadali tylko, by dorżnąć rannych i dzieci, za którymi biegali po krzakach. Jeden zginął, a towarzysze zostawili go tak jak padł. Bez wątplenia był to żołnierz z byłej armii maga Korathosa; zginął od ciosu toporem w szyję.

– Nie rabowali zabitych – zauważył Hakonóż. – Uciekli zaraz potem, jak wycieli wszystkich świadków... Tak im się wtedy zdawało...

– Pewnie myśleli, że całe plemię idzie prosto na nich – dodał jeden z tropicieli. – I pobiegli dać znać swoim.

– Zatem ci tutaj to tylko podjazd, za którym idzie cała armia – stwierdził Ksin.

– Omylili się? – spytała Arpia pochodząc. – Myśleli, że idziemy do przeszłości?

– Tak – skinął Ksin. – Nie wiedzieli, gdzie jest nasza strona przyszłości...

– Zatem pewnie teraz szykują zasadzkę na nasze plemię?

– Zapewne...

– Więc sami w nią wpadną! – wargi Arpii ściągnęły się w drapieżnym grymasie, odsłaniając białe zęby.

Nie, przemknęło Ksinowi, wciąż za młoda na wilczycę. Raczej młoda kuna lub rosomaczka...

Nie spodziewał się, że tego dnia przyjdzie mu zobaczyć ją jeszcze w skrajnie odmiennym wcieleniu.

W tej chwili powrócił na pobojowisko jeden z wojowników wysłanych tropem zabójców.

– Pięć, może sześć setek! – oznajmił. – Trzy tysiące kroków stąd! Czają się, jakby myśleli, że ku nim idziemy. To na pewno obcy – dodał – bo nie umieją chodzić po stepie. Nie potrafią zapamiętać kształtu krzewów i wszędzie zostawiają pełno nacięć na gałęziach!

– Zatem mamy co najmniej dzień, może dwa, zanim poznają swoją pomyłkę i pójdą za nami – stwierdził kotołak. – To dobrze...

– Pozostali polują na jeńca do wypytania – rzekł tropiciel, rozglądając się po pobojuwisku. – Ci woje krwią zmyli swą hańbę. Szkoda, że nie możemy ich pochować...

– Też żałuję – odparł Ksin.

– Może chociaż dzieci... – szepnęła Arpia.

– Nikogo – objął ją Hakonóż. – Bo tamci się zorientują, że już wiemy...

– Więc rzućmy choć cień na ich ciała – zaproponował wojownik, który wrócił ze zwiadu.

Kotołak skinął głową i wyjął Szpon. Arpia pociągnęła nosem i przygotowała procę do rzutu. Hakonóż wyprostował się, stając jak na warcie. Pozostali założyli strzały na cięciwy łuków. Wszyscy zamarli w bezruchu niczym zbrojne posągi stojące pomiędzy zeszytniałymi ciałami, rozciągniętymi w kałużach zakrzepłej krwi.

Skoro polegli nie będą mieli grobów, niechaj ich dusze na zawsze zachowają wspomnienie, że przez chwilę ktoś przy nich czuwał. To wystarczało, by zapewnić im spokój. Według stepowej legendy, oddający w ten sposób cześć zmarłym pozostawiali przy nich skrawki swych cieni, które potem, niby niewidzialny całun, przez bezkres czasu okrywały bielejące w trawie kości.

Z odrętwienia wyrwał ich szelest krzewów. Wrócili następni trzej zwiadowcy, wlokąc ze sobą posiniaczonego jeńca. Na widok trupów, kotołaka i uzbrojonych koczowników jęknął trwożliwie i szarpnął próbując ucieczki. Natychmiast powalono go i skopano w milczeniu, z zimną wściekłością.

Pół godziny później przybyli pozostali dwaj tropiciele, prowadząc jeszcze jednego, ociekającego krwią jeńca, któremu pod prawym obojczykiem tkwił ułomek strzały.

– Zostawiliśmy za sobą dwa trupy – zameldowali Ksinowi. – Ukryliśmy je, ale mogą znaleźć, bo blisko ich obozu...

Natychmiast wyruszono w drogę powrotną, pędząc bez litości ślaniających się jeńców. Kiedy przestali nadążyć, przywiązano ich do żerdzi i poniesiono niby upolowaną zwierzynę.

* * *

– Mamy czas dobrze przygotować się do obrony – powiedział Ksin, siadając do posiłku z żoną i Arpią. Nie rozwinął jednak tej myśli, bo panujący w namiocie nastrój zdecydowanie temu nie sprzyjał.

Dziś rano księżna zabarwiła włosy sokiem z jagód na ciemnogrnatowy kolor młodej, bezgwiezdnej nocy. Rozpuściła je luźno, ale końce spięła złotą obręczą, przymocowaną do lewego ramienia. Suknię miała długą i białą, bez żadnych ozdób. Choć brzucha jeszcze wcale nie było widać, pas opuściła nisko, a węzeł przesunęła na prawe biodro, co oznaczało ciążę pochodzącą z prawowitego związku. Potwierdzeniem brzemienności był mały, czerwony pompon na węźle pasa. Chodziła boso.

Kiedy tak ubrana nadeszła w towarzystwie swej niewieściej świty, aby powitać ich po powrocie ze zwiadu, zdała się Ksinowi boginią prostoty i godności. Jednak pozory myliły, bowiem w istocie jego małżonka była teraz żywym obrazem surowości obyczajów, którą przez kilka tygodni po szaleństwach inicjacji zachowywano z nadzwyczajną sumiennością, aby podreperować nadwątlone wówczas związki małżeńskie. Zdarzenia kilku następnych chwil potwierdziły to w całej pełni.

Amarelis jedynie zdawkowo skłoniła się mężowi, po czym wyniosła i dostojna stanęła przed młodszą siostrą. Krótkim spojrzeniem obrzuciła ścięte włosy Arpii, jej dekolt pozbawiony panińskich haftów i wymierzyła dziewczynie szybki, siarczasty policzek. Bywało już, że księżna karciła w ten sposób swe służące, ale nigdy nikogo z rodziny. Tamte kobiety padały wówczas na twarz i rwąc garściami włosy z głowy błagały o wybaczenie.

Za to spłoszyła Arpia stała w milczeniu, z drżącymi ustami, mnąc w dłoni sznur od procy. Chwilę wcześniej Hakonóż nie pozwolił swej młodej kochance wziąć udziału w torturowaniu jeńców, których dla wydobycia zeznań miano palić i obdzierać ze skóry na skraju obozowiska w obecności Saro jako tłumacza i Czaszkuna – dla większego efektu. Dziewczyna okazała posłuszeństwo bez sprzeciwu, ale z urazą, by teraz wpaść w znacznie większe tarapaty...

Ksin nie bardzo rozumiał, dlaczego żona gniewa się na siostrę. Z punktu widzenia plemiennych obyczajów niedopuszczalne i karane utratą czci było jedynie ukrywanie utraty dziewictwa, czego Arpia przecież nie ukrywała. Nie mówiąc już o tym, że w tym przypadku młodszą siostrą poszła w ślady starszej... Wolał się wszakże nie wtrącać, bo od jego żony wiało chłodem jak z lodowej groty.

– Pójdź się przebrać! – rozkazała Arpii i zabrała ją ze sobą. Nawet nie spojrzała na Hakonoża, który najwyraźniej zapragnął zapaść się pod ziemię i czym prędzej odszedł dopilnować tortur.

Teraz Amarelis siedziała na piętach naprzeciw kotołaka, a Arpia po jej prawej ręce. Dziewczynie wyrównano ścięte niezręcznie włosy, miała na sobie taką samą białą suknię jak starsza siostra, z tak samo nisko opuszczonym pasem, tyle tylko, że jego węzeł, bez czerwonego dodatku, znajdował się na lewym biodrze. Oznaczało to przypuszczalną ciążę ze związku pozamałżeńskiego. Proca i woreczek z platynowymi kulkami gdzieś znikły.

Fakt, że na rodzinny obiad nie zaproszono Hakonoża, był aż nadto wymowny.

– Czekaj nas jednak ciężka bitwa... – zaczął znów Ksin.

Miał na sobie tę samą skórzaną naszywanicę, co na zwiadzie, i czuł, że niezbyt pasuje do surowej, uroczystej atmosfery, którą każdym gestem i spojrzeniem stwarzała jego małżonka. Chociaż mieli jeść, w namiocie pachniało sądem, wyrokiem oraz egzekucją...

Amarelis dała znak komuś na zewnątrz i natychmiast trzy niewolnice wniosły garnce z jedzeniem, stawiając je przed Ksinem, księżną i Arpią.

– Posil się, mój mężu – powiedziała beznamiętnie.

Były to kawałki mięsa, uduszonego razem z cebulą, jarzynami i grubymi mącznymi kluskami, które należało chwycić podanymi wraz z garnkiem drewnianymi pałeczkami.

Ksin był głodny, nie zdążył zjeść śniadania, więc z chęcią darował sobie analizę sytuacji strategicznej i zabrał do jedzenia. Pamiętał jednak, że najważniejsze sprawy koczownicy zwykli załatwiać podczas posiłku.

Amarelis jadła znacznie wolniej od męża, zaś Arpia jedynie wpatrywała się w swoją porcję złym wzrokiem.

– Jedz, moja droga – zachęciła ją siostra, tak oschle, jakby proponowała truciznę.

– Nie mogę, mdli mnie – odparła dziewczyna.

– Wiele dziś widziała... – ujął się za szwagierką Ksin.

– Mnie też mdli, choć z innych powodów, ale jem... – odrzekła księżna i skinęła na służącą. – Czy matka małego Takrina wciąż czuwa przy wejściu do wewnętrznego kręgu?

– Tak, moja pani – odpowiedziała niewolnica.

– Zanieś jej jedzenie mojej siostry – poleciła.

– Tak, moja pani.

– Czy teraz mogę odejść, starsza siostro? – spytała Arpia, kiedy służąca wyniosła parujące naczynie.

– Nie, dopóki ja i mój mąż nie zdecydujemy o twojej przyszłości.

– Nie możesz! – wybuchła Arpia. – Ty sama przecież też... To ja wybrałam... Mój... i...

– Milcz – Amarelis nie podniosła głosu. Powiedziała to nawet ciszej niż poprzednie zdanie, ale z taką stanowczością, że zrywająca się z miejsca dziewczyna zamarła w pół ruchu. Bez słowa usiadła w poprzedniej pozycji.

– Nie, moja młodsza siostro, nie wolno ci równać się ze mną – powiedziała spokojnie księżna. – Nie widziałas jeszcze szesnastu pór kwiecica i nie masz prawa sama szukać sobie męża, ani ofiarowywać swego ciała bez zgody matki, którą ja zastępuję. Zgadnij też, co powiedziałyby nasza matka, gdyby zobaczyła, jak zabijasz z zimną krwią tylko po to, by przypodobać się mężczyźnie?

– A więc w tym rzecz... – wyrwało się Ksinowi.

– Tak, w tym! – spojrzała na niego z ogniem w oczach. – Mnie nazywają najdumniejszą, a moja własna siostra zniża się do katowskiego rzemiosła! Ciebie to nie porusza, mój mężu?

Milczał. Zajął się jedzeniem, co pozwoliło lepiej ukryć zmieszanie. W istocie, zawsze uważając, że Arpia jest jeszcze dzieckiem, nie wyciągnął z tego przekonania logicznego wniosku: dziecku należy wskazywać właściwą drogę postępowania, a nie pozwalać na każdy kaprys.

Znów czegoś zaniedbał! Najpierw zawiódł jako przywódca, teraz jako głowa rodziny i żona kolejny raz musiała naprawiać jego błędy.

Doprawdy, zwyczaj pozwalający w momencie takiej refleksji zająć ręce i oczy zawartością garnka lub półmiska, był błogosławieństwem.

Chociaż równie dobrze można się udławić...

– Jakie to ma znaczenie?! – próbowała się bronić Arpia. – Nie obchodzi cię, że zmierza ku nam wroga armia?! Nie widziałaś... tam...

– Obchodzi mnie moje plemię, mój mąż, dziecko w moim łonie i to, czy bliskich mi mogę jeszcze nazywać ludźmi. Wrogowie zaś – nim naprawdę zaczną mnie obchodzić – zostaną starci z powierzchni stepu przez mego męża. Jestem o to spokojna, bo wiem komu oddałam połowę duszy i woli. Widziałam zaś, jak moja umiłowana młodsza siostra obraża wszystkie boginie życia i miłości, poczynając śmierć, zanim spróbowała począć nowe życie... Widziałam, jak okazuje nieposłuszeństwo starszym swojej krwi, jak staje się bezdusznym potworem! W zaślepieniu swoim przekroczyłaś granicę mroku, młodsza siostró! I czyż ja mam jeszcze siostrę?

To pytanie zawisło w powietrzu niby ostrze noża.

Arpia zbladła, poruszyła ustami, jakby zabrakło jej tchu, i nagłym rzutem ciała padła na twarz przed Amarelis.

– Proszę, wybac mi, starsza siostró... – załkała szarpiąc włosy.

– I cóż mam począć? – spytała Amarelis, patrząc smutno na Ksina. – Wyrzucam sobie, że zlekceważyłam jej zauroczenie tym dojrzałym wojownikiem, myślałam, że to minie, jak wiele dziewczęcych pragnień, nie dość baczyłam... Ona tymczasem przekroczyła Bramę Cienia... Co mi poradzisz, mój mężu?

– A czy ty zabiłabyś, by mnie zdobyć? – spytał odkładając pałeczki.

– Być może... – rzuciła bez wahania. – W gniewie, w szaleństwie, z rozpacz... Ale, na ducha mej matki, nie z zimnym wyrachowaniem! Nie bezbronego chłopca, może i głupiego, lecz który w niczym mi nie zawinił! Czasem złe języki mówią, że jestem żoną potwora... Lecz kto jest większym potworem? Ten co tylko tak wygląda, czy ta co tak postępuje? – zamilkła i słysząc było tylko szlochanie przerażonej Arpii. – Co mi zatem radzisz?

– Sądziłem, że czyn Arpii jest częścią waszych obyczajów – zaczął. – Ty też od razu nie mówiłaś...

– Dzień, w którym wolno wszystko, prócz okazywania potępienia, już przeminął – odparła. – Zostały tylko skutki tego, co uczyniono, a skutkiem jest to bezrozumne dziecko stojące teraz poza granicą światła błogosławieństw. Co ją powstrzyma, kiedy znów zechce uderzyć w bezbronego? I lec sobie z jakimś mężczyzną? W zwykłym dniu, gdy ściągnie tym na siebie odrazę i hańbę... Co ją powstrzyma?

– Obiecuję... Przysięgam... – załkała Arpia.

– Jej mąż powstrzymał ją dzisiaj przed niegodnym czynem – zauważył Ksin. – Chciała oglądać cierpienie jeńców...

– Co ja słyszę?! – załamała ręce Amarelis.

Arpia przestała chlipać. Wręcz już nie śmiała oddychać.

– Mężczyzna, któremu ofiarowała swe włosy i ozdoby nie może rzucić ich w ogień – zdecydowała jej siostra.

– Dlaczego? – spytał Ksin, bo siostra się nie odważyła.

– Byłaby to ujma dla naszego rodu. Nie wiemy, czy oddamy temu szlachetnemu wojownikowi kogoś, kto nań zasługuje.

– Nie wiemy? – uniósł brwi.

– Czyż z błogosławieństwem Opiekunek Życia damy mu niewinną i czystą matkę jego przyszłych dzieci? – zapytała Amarelis i natychmiast odpowiedziała sama sobie: – Nie! Bo zabiła będąc dziewczicą! Czy wobec tego damy mu małżonkę, która potrafi być posłuszna mężowi, po tym jak spłoną jej włosy i zyska pełnię niewieścich praw? Nie! Bo ona już dowiodła swej samowoli! Kogo zatem ofiaruje mu nasz ród?

– Czyż Hakonóż jej już nie wziął?

– Noc inicjacji nie tworzy żadnych więzi między mężczyznami a kobietami. Ofiarowanie niewiasty musi się odbyć powtórnie.

– Wobec tego damy mu wojowniczkę i towarzyszkę wojownika, która będzie wraz z nim przelewać krew – naśladował uroczysty ton żony. Przypomniawszy sobie prawo koczowników, o jakim mu kiedyś opowiadano. – Ona będzie niewiastą – Matką Śmierci, on – mężem i Ojcem Umierania. Będą razem płodzić śmierć, aby mogło żyć ich plemię.

– Tak, taki związek być może – skinęła głową Amarelis. – Moja młodsza siostra mogłaby poślubić Miecz, Oszczep i Topór, ale czy ona jest tego godna?

– Kocham Hakonoża... – powiedziała cicho Arpia.

– A co będzie, gdy okaże się, że jest to płocha miłość tchórzliwej okrutnicy? – popatrzyła na nią uważnie. – Hańba spadnie na ród, który dał mu taką kobietę! Czy ona dowiodła już swego męstwa w walce? – zwróciła się do Ksina.

– Nie dzisiaj, ale myślę, że będzie dobrą wojowniczką. Nie przeraża jej widok krwi i śmierci.

– Dowiodę! – Arpia uniosła głowę i szybko otarła oczy.

– Niech zatem dziecinna zabawa w zabijanie stanie się prawdziwym męstwem, a kaprys wiernością – oznajmiła Amarelis. – Pójdiesz w pierwszym szeregu razem z innymi wojownikami! Jeśli powrócisz z nimi, powitam cię jak siostrę i z dumą oddam twą ręką temu mężczyźnie. Jeśli padniesz – opłacę cię jak siostrę. Jeżeli jednak stchórzysz – wypędzę z obozu niczym sparszywiałą sukę!

– Uczynię wszystko, byś mogła dalej nazywać mnie siostrą! – w głosie Arpii zabrzmiała determinacja.

– Pokaż, nie obiecuj! A teraz zostaw mnie z mężem.

Arpia czym prędzej opuściła namiot, zaciągając za sobą zasłoną wejściową.

Amarelis natychmiast rzuciła się Ksinowi na szyję.

– Przytul mnie mocno! – szepnęła roztrzęsiona.

Zdumiony nagłą przemianą, odsunął pusty garnek i objął żonę.

– Nigdy nie zgodziłabym się, by ona poszła do bitwy! – mówiła. – Nigdy! Nigdy! Nigdy! Lecz musi oczyścić się po tym, co zrobiła...

– Masz rację – odpowiedział. – Wybacz, że nie okazałem troski...

– Miałeś wczoraj dość trosk z mojego powodu, chyba jestem szalona, to ty mi wybacz, wybacz...

– Mam się gniewać, że stanęłaś po mojej stronie? – zdziwił się. – Że jesteś moim oparciem? Że gdyby nie twoje dłonie, ja nie zdołałbym utrzymać władzy w moich!

– Jestem tylko głupią dziewczką odurzoną władzą... Zaniedbuję rodzinę...

– Nieprawda... – poszukał jej ust. – Nieprawda... – osunęli się na ziemię.

– Duma i miłość rozdierają mi serce... – mówiła podciągając suknię, odsłaniając uda. – Nigdy sobie nie wybaczę, gdy Arpii coś się stanie... Nigdy... Proszę, kochaj mnie mocno... Uczyń swoją dziewczką, swą niewolnicą... – uniosła nogi i rozłożyła je szeroko. – Spraw, abym zapomniała, że mam jakąkolwiek władzę...

Wszedł w nią, słuchał jej namiętnego szeptu, pełnego zapewnień o uległości, oddaniu, aż wreszcie przestała mówić i zaczęła uśmiechać z ulgą.

Byli ze sobą krótko, bo wiele spraw czekało dziś na rozstrzygnięcie. Ksin nie dał ogarnąć się namiętności, jego myśli pozostały jasne. Nie opuszczało go uczucie zdziwienia. Nigdy dotąd nie podejrzewał, że władza dla jego dumnej małżonki jest aż takim ciężarem. Lecz ktoś musiał go nieść, skoro on tego unikał...

Potem oboje – chmurni, wyniośli, pełni dostojeństwa – wyszli na zewnątrz i pośród chylących się głów poszli do namiotu plemiennej rady. Czekala tu na nich drobna, ale wymowna demonstracja polityczna: miejsce dla Amarelis przygotowano naprzeciw Ksina. Zwykle kobiety uczestniczące w radzie zasiadały obok swych mężów. Naruszenie tej zasady znaczyło, że rada nie zamierza rezygnować z przeciwstawiania żony kotołakowi. Było tak, jakby mówili jej: „To ty decydujesz o wszystkim, pani”.

– Spójrz mój mężu, będziemy siedzieć jak podczas posiłków w naszym namiocie! – Amarelis demonstracyjnie zbagatelizowała prowokację. – Czy nie wolałbyś, abym usiadła przy tobie?

– Ależ nie! – zapewnił. – Dzięki temu będę mógł bardziej cieszyć się twym widokiem...

Po książęcej parze, na prawo od Ksina, zajął miejsce Ampeker, i Niczro, który z kolei zasiadł naprzeciw Ampekera, a po prawej ręce Amarelis. Po czworgu najważniejszych usadowili się pozostali ojcowie rodów, wśród nich Assis. Z wyjątkiem kotołaka, Ampekera i Assisa wszyscy byli urodzonymi koczownikami. Pół roku temu co prawda okazali bezwarunkowe posłuszeństwo swym ojcom, zasiadającym w poprzednim składzie rady, ale teraz ostatnią rzeczą, o jakiej chcieliby usłyszeć, byłaby wyprawa do innego świata. Każda rozsądna stara przepowiednia powinna dla własnego dobra milczeć w tej kwestii. Uważano też, że najważniejszą sprawą jest zachowanie tradycji odwiecznego błędzenia w stepie.

Oczywiście, wierzyli w Państwo, ale większość była przekonana, że do Państwa się dąży, a nie dochodzi. Wczorajsza obietnica Ksina stała się zatem zarzewiem następnego konfliktu.

Chcąc symbolicznie uczynić zadość zwyczajowi nakazującemu, aby o ważnych rzeczach mówić przy jedzeniu, przed wszystkimi postawiono talerze z plackami i kubki z rozcieńczonym wodą winem. Jadła i napoju wszakże nikt nie tknął.

– Niech przemówi Najstarszy Umysłem! – oznajmił Ksin, rozpoczynając obrady.

Ten tytuł oznaczał, że jego właściciel jest najstarszym spośród tych, którzy zachowali jeszcze żywość i jasność myśli. Te cechy dawały mu naturalne przewodnictwo podczas obrad plemiennej rady, aż do wystąpienia pierwszych oznak starczego zdziecinnienia.

– Ściga nas nasza przeszłość – stwierdził Ampeker. – Winniśmy więc zdecydować, czy stawimy jej czoła, czy też pozwolimy zagubić się w bezkresie stepu? – postawił problem do rozważenia.

– Zwińmy obóz i odejdźmy o świcie w przyszłość – powiedział jeden z przywódców klanów. – Przeszłość nas nie dogoni, zwłaszcza, że – jak mówią tropiciele – nie potrafi czytać znaków wśród traw... – rozległy się stłumione śmiechy.

– Czy sądzisz, czcigodny Harto, że odnajdziemy Państwo uciekając? – spytał szaman. – Że nasi wrogowie wpędzą nas do Państwa, jak stado baranów do bezpiecznej zagrody?

– A czy nasz książę potrafi powiedzieć nam, gdzie nasze Państwo jest? – zapytał Harto.

Liczne twierdzące skinienia głów towarzyszące jego słowom dowodziły, że nie mówi tylko we własnym imieniu. Bez wątpienia to on był przywódcą stronnictwa dążącego do ograniczenia władzy Ksina.

– W chwalebnej przyszłości przed nami – odrzekł spokojnie kotołak, pamiętając, że o Państwie należy wypowiadać się wyłącznie metaforami.

– Wszakże wczoraj usłyszeliśmy jednoznaczną obietnicę dotyczącą czasu... – koczownik wymownie spojrzał na brzuch Amarelis. – Dziś więc pragniemy poznać miejsce... – zawiesił głos.

– Czy ktoś chce zadać kłam słowom mojego małżonka? – odezwała się.

– Nikt, pani – Harto położył rękę na sercu, ale jego wzrok mówił: „Poczekaj, ty kocia dziewczko, jeszcze i na ciebie znajdzie się sposób!”.

– Bogowie Stepu przyjęli wyzwanie naszego księcia, co oznacza, że dają nam szansę. Ta kwestia jest poza wątpieniem – uciął szorstko szaman. – Musimy uderzyć na wrogów, aby pokazać, że wyzwania nie rzuciło plemię tchórzzy.

– Co powiedzieli pojmani? – niezadowolony Harto zwrócił się do Ampekera.

– Niewiele, choć pytano surowo – odrzekł starzec. – To byli zwykli najemni wojownicy, którzy nie znali zamiarów swych wodzów. Musielibyśmy zapytać o to kogoś znaczniejszego. Wyznali tylko, że najęto ich dla zemsty, bez wątpienia na nas, lecz nie wiedzieli – kto. Przeniesiono ich magicznym sposobem na Bezczesny Step i kazano nas tropić. Skoro wpadli na nasz ślad, a nie poszli zupełnie gdzie indziej, znaczy, że coś ich ku nam przyciąga...

– Co to może być? – zainteresował się Harto.

– Ja – odparł Ksin. – Chciałbyś mnie wygnać?

– To niemożliwe. Dopóki nie masz następcy... – odparł z zimną szczerością, znów spoglądając na brzuch księżnej. – Jesteś znakiem, że bogowie i demony są z nami, a to sprawia, iż przyłączają się do nas napotkane w stepie klany i rodziny, dzięki czemu nasze plemię rośnie w siłę, jest bezpieczniejsze, a idąc – ogrania więcej stepu, napotyka więcej zwierząt łownych, pożytecznych roślin, kruszców. Wszakże ty sam omal nie przywiodłeś nas wszystkich do zguby, i to nie raz. Nie możemy czekać aż w końcu zdołasz tego dokonać...

– Dziękuję za twą szczerość, czcigodny ojciec rodu – odrzekł Ksin w grobowej ciszy, zapadłej po słowach Harto. – Czy to oznacza, że wypowiadasz mi posłuszeństwo niezwłocznie odejdziesz z obozu wraz ze swoim klanem?

Harto obejrzał się na swoich stronników i pojął, że posunął zbyt daleko. Zagryzł wargi, ponieważświe uświadamiając sobie, jak wiele zmieniło się od wczoraj... Po tym co przytrafiło się klanowi Oreina nie poszedłby za nim nikt o zdrowych zmysłach. Droga biegnąca od zagrożenia mogła niepostrzeżenie stać się drogą prowadzącą do wroga. To było podstawowe Prawo Stepu. Nieważne, czy mieli uchodzić, czy walczyć, ważne, by trzymać się razem.

– Ci, którzy opuszczają plemię w obliczu zagrożenia, muszą oddać broń, aby wynagrodzić pozostałym osłabienie ich siły – oznajmił Ampeker.

– Nie odejdziemy! – zapewnił szybko Harto.

– Wobec tego musisz ponieść karę za znieważenie księcia – stwierdził Najstarszy Umysłem.

Harto zbladł i rozejrzał nerwowo. Nikt nie przemówił w jego obronie. Wręcz przeciwnie.

– Sprzeciwianie się jawnej woli bogów jest świętokradztwem – dodał Niczro.

– Ja także czuję się znieważona! – oznajmiła Amarelis. – Wciąż próbujecie wchodzić pomiędzy mnie a mego męża – zwróciła się do stronników Harto. – Czy sądzicie, że jeśli każecie mu odejść, ja nie podążę za nim z moim dzieckiem w ramionach? Jak mam powiedzieć wam jaśniej, że jesteśmy jednością?!

– Oto słowa niegodziwca i słowa wiernej małżonki – rzekł z powagą szaman. – Jedne i drugie nie mogą rozbrzmiewać razem. Nie jesteś godzien, człowieku imieniem Harto, zachować języka w ustach. Użyj go zatem jeszcze raz, by wyznaczyć swego następcę, a potem obetnij i wyrzuć!

Niczro uniósł dłoń na znak rozpoczęcia głosowania. Zaraz po nim podniosła rękę Amarelis, Ampeker, Assis i z mniejszym lub większym wahaniem wszyscy ojcowie rodów. Na końcu Ksin. Harto był skończony. Bez słowa wyszedł z namiotu zrobić, co mu kazano.

– Wiele złych myśli gnieździło się w naszych głowach w ostatnich dniach – przemówił Ampeker, zwracając się do Amarelis. – Zwątpiliśmy w naszego księcia, choć nigdy nie wątpiliśmy w jego czcigodną małżonkę. Skoro jednak ona nie wątpi w swego męża i nam nie godzi się wątpić. Skoro Najdumniejsza Amarelis okazuje mężowi wierność i posłuszeństwo,

nikt z nas nie śmie postąpić inaczej. Niech nasze plemię będzie jednością, tak jak jednym ciałem są jego książę i księżna, którzy w odnalezionym Państwie staną się królem i królową. Niech książę stanowi o wszystkim! – podniósł rękę, a za nim pozostali.

Cała władza, która niepostrzeżenie wymknęła się Ksinowi, teraz do niego wróciła. Wyłącznie dzięki Amarelis...

– Powitam naszych prześladowców pazurami i stałą! – zdecydował kotołak, patrząc w oczy żony.

4. SZCZĘKI I JĘZYK BESTII

Trzech ciężkozbrojnych jeźdźców z trzaskiem łamanych zarośli wypadło na niewielką polanę w olchowo-wiklinowym gąszczu. Z krzaków naprzeciwko wybiegła dziewczyna i stanęła jak wryta na widok żołnierzy. Krótka, skórzana spódniczka ledwie osłaniała szczupłe uda. O piersiach ukrytych pod półpancerzem z kilku warstw świńskiej skóry nie dało się nic powiedzieć. Za to spod ochronnej peruki ze zwojów rzemienia, owiniętych grubo wokół głowy, wyglądała na wpół dziecięca jeszcze buzia. Malował się na niej wyraz skupienia, który łatwo było uznać za przestrah. Wirująca niespiesznie proca w jej ręku była ostatnią rzeczą, na jaką żołnierze zwrócili uwagę.

Któryś zarechotał i ściągnął wodze, zamierzając najwyraźniej zsiąść z konia. Dziewczyna rzuciła się w bok. Zbyt późno zorientowali się, że to nie ucieczka. Wojowniczką, stawiając coraz krótsze kroki, pobiegła po zwężającej się ciasno spirali, a osiągnąwszy jej centralny punkt, płynnie przeszła w błyskawiczny piruet. Towarzyszył temu narastający wizg rozpędzanej procy, a zakończył świst platynowej kulki. Trzasnęło, jakby pękła gałąź.

Naprawdę zaś pękła czaszka. Pocisk trafił roześmianego najemnika prosto w oko, rozbryzgnął je w wodnistą maź i dotarł do dna oczodołu. Tu powinien był się zatrzymać... i zatrzymałby się, gdyby był zwykłym kamieniem lub ołowianą kulą. Utoczono go jednak z samorodnej platyny – prawie dwa razy cięższej i dużo twardszej od ołowiu. Z łatwością wyłamał kości czaszki, wbił ich odłamki w mózg i pomknął dalej, utykając dopiero od wewnątrz na potylicy.

Trafiony żołdak machinalnie dokończył ruch zsiadania z konia, lecz natychmiast bezwładnie zwałił się w trawę. Arpia spokojnie włożyła w obejmę procy następną kulkę.

Pozostali dwaj, klęcząc z grozy i wściekłości, zatrzasnęli przyłbice, by osłonić oczy. Z furją ruszyli na dziewczynę, która już nabierała tanecznego rozbiegu do nowego rzutu. Tym razem celowała w szyję, w osłonięty tylko kolczugą fragment ciała pomiędzy górną krawędzią napierśnika a dolną przyłbicy. Kolczuga oczywiście nie przepuściła platynowej kulki, ale i nie zdołała uchronić właściciela od zmiżdżenia krtani. Drugi jeździec z przeciągłym charkotem zwałił się z siodła.

Trzeci wręcz zawył unosząc topór. Dopadł wojowniczki, która nie miała już czasu na trzeci rzut, więc jedynie roześmiała się wyzywająco. Zapatrzone na nią zbyt późno dostrzegł

mężczyznę wyskakującego z glevią w rękach z krzaków po lewej. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, wąskie ostrze na długim drzewcu wbiło mu się w szczelinę zbroi pod pachą i przekreśliło w ranie, zgrzytając po kościach, oślepiając bólem, zmuszając do wypuszczenia topora. Hak za klingą glevii chwycił najemnika za ramię, po czym wyjącego z bólu wyszarpnął z siodła.

Hakonóż spokojnie obrócił drzewce w przeciwną stronę, uwolnił hak i wydobył ostrze z rany. Jego przeciwnik zwinął się jak robak w desperackiej walce o życie, zdołał jeszcze usiąść i macając wokół szukał upuszczonej broni. Koczownik stanął pewniej na nogach, wziął glevią szeroki koszący zamach... Głowa najemnika wraz hełmem zatoczyła wysoki łuk i przepadła daleko w krzakach.

Arpia, czekając aż minie ją koń bez jeźdźcy, owinęła procę wokół prawego nadgarstka. Uwolniwszy w ten sposób rękę, wyciągnęła nóż i wsiadła na plecy najemnika ze strzaskaną krtanią, który tkwiąc na czworakach, siniejąc i rżąc bezskutecznie, próbował nabrać tchu. Szybkim ruchem podwinęła mu kolczugę na szyi, przecięła tętnicę i odskoczyła. Rozdęła chrapki, patrząc na tryskającą krew.

Podszedł do niej Hakonóż, chwycił za karczek i pocałował. Namiętnie oddała pocałunek, po czym razem, trzymając się za ręce, pobiegli w zarośla szukać następnych przeciwników.

* * *

Wokół Ksina stukały młoty i siekiery.

Palisadę wznoszono na brzegu skarpy wysokiej na pięciu-sześciu chłopów, rozciągającej się na ponad tysiąc kroków godzinę drogi od obozu. Tu kotołak postanowił przyjąć bitwę.

W dole, niemalże aż po horyzont, rozciągała się połać stepu pokryta skłębionym gąszczem wiklinowych, wierzbowych, olchowych, osikowych zarośli, urozmaiconych rzadkimi kępami topoli. Wiele jeszcze brakowało, by można je było nazwać lasem, ale były wystarczająco wysokie i gęste, by całkowicie skryć nadciągających żołnierzy i polujących na nich koczowników. Z morza krzaków co chwila dolatywały przeciągłe krzyki oraz szczęk żelaza – w miarę upływu czasu coraz wyraźniejsze, głośniejsze i bliższe...

* * *

Kolumna szczelnie osłoniętej tarczami piechoty minęła kępę drzew i skierowała się prosto na przyczajonego Czaszkuna. Już od dawna wiedzieli, że on tu gdzieś jest. Dlatego przepatrywali zarośla, mimowolnie chowając głowy w ramiona. Jeśli coś ich niepokoiło, natychmiast szyli bełtami z kusz.

Czaszkun nie pokazywał się więcej, wołał nie ryzykować, a większego wrażenia i tak już nie mógł zrobić, po tym jak na samym początku otwarcie wyszedł wprost na nich, przebił

oszczepem oniemiałego oficera i bez pośpiechu zniknął w chaszczach. Teraz spokojnie oszacował dystans, szybkość marszu żołnierzy i wysokość, na jakiej powinien lecieć oszczep, aby z możliwie największym prawdopodobieństwem trafić kogoś w twarz lub gardło. Potem starannie mierząc kroki cofnął się i przystanął zasłonięty całkowicie ścianą zieleni. Na tę rozprawę przygotował sobie tuzin krótkich, zaledwie dwułokciowych pocisków o masywnych grotach. Wyglądały topornie, ale były bardzo starannie wyważone. Z kołczana na plecach wyjął właśnie siódmy i oparł go o zaczep miotacza. Zaczął nasłuchiwać kroków zbliżających się ludzi, zwracając ku nim raz jedną, raz drugą stronę okaleczonej głowy. Tylko w ten sposób mógł dobrze ocenić odległość.

Nagle załomotały ciężki kusz i coś około dziesięciu bełtów z trzaskiem sieczonego listowia oraz gałęzi przeszyło krzew osłaniający wojownika. Czaszkun ani drgnął. Już wcześniej zauważył, że tamci strzelają zawsze w ziemię pod krzakiem, wyobrażając sobie zapewne, że on tam leży. Dlatego stojąc wyprostowany dziesięć kroków dalej – ryzykował niewiele. Wydający rozkazy kusznikom najwyraźniej nie był w stanie pojąć, że można celnie rzucać oszczepem zupełnie nie widząc celu. Zapewne w przypadku pojedynczego przeciwnika byłoby to trudne, ale nie wtedy, gdy miało się do czynienia ze zwartą kolumną wojska...

Czaszkun odczekał jeszcze moment i kołysząc zamasyżście ramionami skoczył do przodu. Impet rozbiegu dodał się do siły skrętu bioder, ta zaś do szybkości skrętu barków oraz mocy obu rąk trzymających miotacz, którego drzewce pomnożyło całą tę sumę sił przez własną długość. Ciężki oszczep przeszył zarośla jakby go wystrzelono z balisty i wleciał między okryte hełmami głowy, zaledwie piętnaście kroków dalej. Po jednym hełmie tylko się omsknął, przetrącając kark właścicielowi, w następny uderzył wprost, z łatwością przebijając blachę.

Kiedy zaś oszczep wyhamował gwałtownie, siła bezwładności oderwała od nasady jego grotu trzy małe, zatrute strzałki, które ześlizgnęły się po hełmie ofiary i rozleciały na boki. Jedna trafiła następnego z idących w szyję, druga w usta jego towarzysza, trzecia gdzieś przepadła...

Czaszkun nie słuchał już skowytu ranionych, wrzasków grozy i przekleństw dziesiętników, usiłujących utrzymać porządek szyku. Ścigany przez wystrzeliwane na oślep bełty, biegł wypatrując następnego miejsca na zasadzkę. Po drodze przeskoczył rozciągniętego na wznak trupa, któremu z czoła sterczała strzała o pstrokatych, czerwono-żółto-niebiesko-filetowych lotkach, jakie zwykł robić sobie tylko Czemo.

* * *

Koczownicy z reguły nie staczali otwartych bitew, lecz polowali na siebie małymi grupami, po kilku, kilkunastu wojowników. Liczba ofiar podobnych wojen nie przekraczała

zwykle dwóch dziesiątek, ale to wystarczało, by skutecznie zniechęcić napastników lub dowieść swej wyższości i zażądać haraczu, bądź w całości skłonić pokonanych do pogodzenia się z rolą niewolników.

Teraz jednak mieli sprawę z regularnym, zaciężnym wojskiem, a to całkowicie zmieniało postać rzeczy. Na najemnika nie czekała w namiocie żona, dzieci, młodsze rodzeństwo lub starzy rodzice, których trzeba było wyżywić, a po wyprawie wojennej niezwłocznie udać się na polowanie... Aby móc pójść na nie, należało wrócić, czyli nie ryzykować zbyt, ani tym bardziej nie pozwalać sobie na akty bohaterskiego poświęcenia. Najemnicy nie musieli nikogo utrzymywać, nawet siebie, bo robił to wypłacający im żołd i zaopatrujący w żywność. Choćby tylko z tego powodu mieli dużo więcej czasu na ćwiczenia i musztwę. Trudno rzec, by nie cenili własnego życia, ale znacznie łatwiej przychodziło im zaryzykować je dla fantazji, honoru, ze złości, a przede wszystkim z racji najemniczego kontraktu i łupów. Chociaż więc o odwadze koczowników nie można było powiedzieć złego słowa, nie byłiby dla wyćwiczonego żołnierza żadnym przeciwnikiem, gdyby nie dowodził nimi Ksin!

Kotołak mógł zaniedbać politykę oraz swą nową rodzinę, ale z powyższych zaszłości od początku doskonale zdawał sobie sprawę i dokładał starań, aby choć trochę to zmienić na lepsze. Nie przewidywał, że jeszcze kiedyś przyjdzie im zmierzyć się z wojskiem, ale jako były dowódca doborowej królewskiej gwardii, z przyzwyczajenia robił to, na czym się znał. Wybrał więc setkę żądnych sławy młodych mężczyzn, dziesiętnikami ustanowił urodzonych wojowników, takich jak Hakonóz, i stworzył z nich swoją drużynę, nakłaniając do regularnego ćwiczenia walki i wdrażając do dyscypliny. Siłą rzeczy, mężczyźni ci mieli mniej czasu na zdobywanie żywności i ktoś musiał robić to za nich. Inni myśliwi musieli więc polować częściej, a kobiety dłużej zbierać jadalne rośliny.

Plemienna rada przystała na plan Ksina dopiero po długich przekonywaniach, że wzmocni to wspólne bezpieczeństwo. Zgodziła się jednak tylko na setkę, zamiast dwóch, stałych wojowników, które pierwotnie proponował kotołak. A i to – co się teraz okazało – uważano za zbyt duży ciężar dla plemienia, wobec czego spróbowano się go pozbyć razem z Ksinem. Starcy sądzili, że jeśli oddadzą realną władzę w ręce Amarelis, ta zrezygnuje z utrzymywania plemiennego wojska i wróćą czasy leniwych marzeń o Państwie...

Stu dobrych wojowników to było jednak żałośnie mało wobec pięciu setek doborowych najemników. Naturalna magia żywiołów, praktykowana przez Ampekera, niewiele mogła pomóc. Otwarta bitwa znów nie wchodziła w grę, a przynajmniej nie od razu. Ksin postanowił więc zastosować kolejno starą i nową taktykę. Najpierw przeciwko nadchodzącym żołnierzom ruszyło ponad dwustu myśliwych, czyli połowa sił plemienia, by zapolować w tradycyjnym stylu. Druga połowa wojowników stawiała w tym czasie palisadę i szykowała pole bitwy. Nie było bowiem szans, ażeby rozproszeni w zaroślach koczownicy zdolali powstrzymać prącą na nich armię. Owszem, oślepił ją niemal natychmiast, wycinając zwiadowców i straże przednie, wykrwawiając, szarpiąc w nieustannych zasadzkach, ale to nie

mogło powstrzymać sprawnej wojennej maszyny toczącej się wolno, ale niezmordowanie w raz obranym kierunku. Najemnicy spokojnie przedzierali się przez obszar zarośli, pewni, że w końcu dotrą na otwartą przestrzeń, zobaczą obóz wroga, a wtedy zemsta będzie należała do nich. Był tylko jeden sposób, by ich powstrzymać: rozbić w otwartej bitwie w dogodnie wybranym miejscu, czyli właśnie tutaj, u stóp skarpy rozległego płaskowyżu, na którym złożyli swe namioty.

* * *

Odgłosy zaciętych potyczek rozbrzmiewały już całkiem blisko. Należało rozpocząć drugą fazę bitwy... Kotołak obejrzał się na siedzącą obok na jabłkowitej klaczy żonę, wpatrzoną w zarośla, w których odbywał się taniec śmierci.

– Nie... – natychmiast odgadła sens spojrzenia męża. – Nie odjadę stąd, póki się nie dowiem, co z Arpia!

Nie nalegał. Pamiętał krótkie, milczące pożegnanie sióstr, kiedy idąca w bój Arpia przyklękła przed starszą siostrą, niemo prosząc ją o błogosławieństwo. Amarelis bez słowa zawiesiła jej na szyi przygotowany na tę okazję amulet – woreczek z solą, diamentem i kością przodka, po czym skinęła głową i młoda wojowniczka bez oglądania się odeszła z innymi. Nie objęły się i nie pocałowały. Księżna była zimna i wyniosła, ale gdy znów wsiadła na konia, ani na chwilę nie odwróciła oczu od skłębionego morza chaszczy, w którym znikła Arpia...

Kotołak dał znak. Rozbrzmiały rogi, przeciągle wzywając koczowników do zaprzestania łowów i powrotu na skarpe. Odgłosy walk od razu ścichły wyraźnie, po czym ustały zupełnie. Niecały kwadrans później na skraju zarośli pojawili się pierwsi powracający wojownicy.

Amarelis zacisnęła wodze tak mocno, że zbieleły jej kostki. Ksin wiedział, że mógł i powinien oszczędzić jej takiego czekania. Wystarczyło, by zrobił swoje także jako głowa rodziny. Arpia zgodnie z obyczajem mogła mieszkać albo z ojcem, albo z zamężną starszą siostrą. Z powodu jego wahania nigdy nie zostało to jednoznacznie ustalone, dlatego swawolna młódka miała zbyt wiele swobody, co skończyło się dla niej tak nagłą próbą dorosłości.

W krzakach byli jeszcze Dergin i jego trzech synowie – przyrodni bracia Amarelis z pierwszego małżeństwa ojca, ale ona nie miała na to żadnego wpływu. Tylko Arpia – rodzona i najukochańsza siostra jego żony – znalazła się tam na jej rozkaz. Najgorsze dla Ksina było to, że Amarelis nie okazała mu z tego powodu ani cienia wyrzutu... Jednak nie czas było o tym myśleć!

Powracający koczownicy wysypali się z krzaków większą gromadą. Ksin liczył ich pospiesznie. Z pewnością nie wszyscy powrócą, a spośród nich nie wszyscy będą zdolni do

walki... lecz by uznać to starcie za sukces, straty nie mogły przekroczyć trzech dziesiątek. Inaczej Ampeker, który stał opodal i też liczył, zażąda odwrotu, a głowy rodów poprą go...

Dostrzegł Czaszkuna, potem Czemo, pojawił się Dergin z synami, jeden był poważnie ranny, bracia pomagali mu iść, wybiegali drużynnicy Ksina, synowie Assisa... Inni... inni... inni... Niektórzy się ślaniali, ale było dobrze!

Amarelis jęknęła głośno i kotołak natychmiast pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem. Arpia i Hakonóż! Czyżby dziewczyna była ranna...? Hakonóż podtrzymywał ją? Nie, oboje szli objęci i zachwyceni sobą niczym para kochanków na nocnym spacerze! Bez wątpienia, po ogłoszonym odwrocie zdolali znaleźć małą chwilę dla siebie... Dostrzegli w górze Ksina z Amarelis i zaczęli im radośnie machać.

Kotołak nigdy dotąd nie widział swej żony w takim gniewie. Była blada, broda jej drżała, aż się rozpląkała z wściekłości.

– Ja ją zabiję... – wydyszała – ... rozszarpie tę małą sukę! – Spojrzała na męża i natychmiast się opanowała. – Teraz już będę posłuszną! – oznajmiła ocierając oczy.

– Wróć do obozu, kobieto, i myśl o naszym dziecku! – powiedział Ksin o wiele bardziej surowo niż zamierzał.

– Tak, mój panie... – natychmiast zawróciła konia. Więcej się nią nie zajmował. Bitwa to jednak nie miejsce na sentymenty!

Tymczasem odwrót dobiegał końca. Na skarpe wnoszono pośpiesznie tych, którzy nie byli w stanie na nią wejść. Assis pobieżnie doglądał rannych, nakazując najcięższe przypadki natychmiast kłaść na nosidlach i wieźć do obozu. Zdolni do walki drużynnicy – w zdecydowanej większości uczestnicy pierwszego starcia – przebierali się w pośpiechu, zakładając przygotowane wcześniej ciężkie kolczugi, zbroje płytowe i stalowe hełmy, zazwyczaj zdobyte w świecie Korathosa. Ksin nie pozwolił ich wyrzucić ani przerobić na narzędzia czy garnki. Konie czekały już osiodłane, z solidnymi osłonami na piersiach i łbach. Młodzi wojownicy, szykując się do odegrania roli ciężkiej jazdy, z zapalem przekrzykiwali jeden drugiego, opowiadając o niedawnych przewagach. Zachowywali się, jakby wrócili z tańców w Noc Wyboru Mężów. Mimo to paru brakowało...

Kotołak krzyknął głośno, że potrzebuje ochotników dla uzupełnienia strat. Natychmiast zgłosiło się kilkunastu, w tym Czaszkun. Zdążył już nałożyć ów archaiczny, spiżowy pancerz, podarowany mu po inicjacji przez księcia, a ponadto wymalował sobie głowę czerwoną farbą... Wyglądał tak, że kotołak bez słowa wskazał mu konia. Co do pozostałych, Ksin zdał się na doświadczenie Hakonoża, który właśnie rozstał się z Arpią i przyszedł mu pomóc.

Gromada koczowników na szczycie skarpy w parę chwil rozdzieliła się na cztery grupy – powracających z rannymi do obozu, łuczników, kuszników, oszczepników i procarzy, którzy zajęli pozycje przy palisadzie, ciężkozbrojnych jeźdźców w drugiej linii oraz stare kobiety i wyrostków z opatrunkami i podwodami najdalej z tyłu. Gdy tylko zarysował się jaki taki kształt tego porządku, Ksin podjechał znów do umocnionego skraju skarpy. Rzadką palisadę

uszczelniano, wieszając na niej tarcze. W grupie łuczniczek i procarek mignęła mu Arpia. Kobiet było tu niewiele; choć prawie wszystkie umiały strzelać z łuku, posługiwać się procą lub wydmuchiwać z kościanych rurek zatrute strzałki, większość zgodnie z tradycją pozostała, by bronić obozu i dzieci.

Kotołak podjechał do Ampekera, który przewodzić miał pieszym wojownikom broniącym szczytu skarpy. Starzec nie miał żadnej zbroi ani broni, tylko łaskę. Mimo pomyślnego przebiegu bitwy nie wyglądał na zadowolonego.

– Wielu zmarłych przyjdzie dziś opłakać... – powiedział ponuro do Ksina.

– Nie czas żałować krwi, bo pójdzie na marne ta, którą dotąd przelano – uciął narzekanie kotołak. – Wiesz co masz zrobić, starcze?

Ampeker przytaknął bez słowa, a Ksin wpatrzył się w zarośla w dole.

Najemnicy nie wychodzili. Nie byli tak głupi, by beładnie wylegać na odkrytą przestrzeń prosto pod strzały i kule z proc, w sytuacji kiedy skraj chaszczy znajdował się pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kroków od ściany bronionej skarpy, a więc w zasięgu pocisków. Doszli do brzegu zarośli, przystanęli, popatrzyli i – nie ukazując się koczownikom – zaczęli szykować się do szturm. Słychać było tylko łoskot rąbanego drewna, kołysały się gałęzie, padały drzewka oraz pomniejsze topole, przeznaczone na drabiny lub ośrodki. Czasem w zieleni mignął błysk stali, doleciał okrzyk.

Koczownicy czekali i odpoczywali. Ucichły jednak przechwałki oraz rozmowy. Do wszystkich dotarło, że najważniejsze jeszcze nie nastąpiło...

* * *

Żołnierze zaatakowali po godzinie. Na jeden przeciągły dźwięk piszczałki wybiegli nagle z zarośli. Dotychczasowa cisza momentalnie zamieniła się w ryk setek gardeł. Równocześnie w palisadę uderzyła fala bełtów z kusz. Jeden wizgnął niebezpiecznie blisko głowy Ksina. Ile ich przeszło górą – trudno zgadnąć, kilka wszakże trafiło. Parę kroków od kotołaka nazbyt ciekawskiej łuczniczce strzała wyszarpała z głowy długą wstęgę włosów i krwi. Jej towarzyszki odruchowo cofnęły się z piskiem i krzykiem.

– Na stanowiska!!! – ryknął na nie Ksin.

Zawstydzone odwróciły się od trupa i napięły łuki. Jedna zabrała strzałę poległej. Kotołak zsiadł z konia, nie chcąc kusić losu. Tamci wiedzieli kogo szukają i jakiś bełt mógł mieć grot ze srebra... Mimo to nadal uważnie obserwował przedpole, licząc wybiegających żołnierzy. Gdyby każdy myśliwy zgładził tylko jednego wroga... Tak dobrze jednak nie było! Nie wszyscy dostali od bogów taki talent do zabijania, jak Hakonóż, Arpia, Czaszkun i może z dziesięciu innych. W sumie wyeliminowali w zaroślach jakąś setkę najemników, może trochę więcej. Nie była to strata zmuszająca do odwrotu, ale teraz najbardziej liczyło się to, że – zgodnie z rozkazem – myśliwi wybili napastnikom niemal wszystkie konie...

Najemnicy nie spodziewali się, że koczownicy też użyją kusz. Posiadali kilkanaście zdobycznych, drugie tyle zrobili na ich wzór. Salwa skotłowała pierwszy szereg wspinających się na skarpe żołnierzy, którzy – ufając, że hełmy i zbroje dobrze chronią przed strzałami z łuków – zaniedbali utworzyć zwartą ścianę z tarcz. Teraz w pośpiechu naprawiali błąd, starając się zapewnić osłonę niosącym osęki i drabiny. Tymczasem bełty obrońców sypały się na nich nadal, podczas gdy strzelcy wspierający atak nie zdążyli ponownie nakręcić kusz.

Działo się to za sprawą stojącego dwadzieścia kroków za palisadą Woła. Chłopisko miało posturę i siłę trolla, a umysł dwuletniego dziecka. Zupełnie nie umiał się bić, bo nie rozumiał w czym rzecz, za to sprawnie i szybko naciągał kusze gołymi rękami, traktując to jako świetną zabawę. Śmiał się, gaworzył basem i cieszył tym bardziej, im więcej kusz przynoszono mu do naciągnięcia. Strzelcy musieli tylko pamiętać, by się do niego uśmiechać, nie krzyczeć oraz baczyć, by nie zobaczył żadnej krwi, bo bardzo się tego widoku bał. Na wszelki wypadek – aby nie uciekł, ani nie podszedł za blisko do walczących – czuwała przy nim Hora, jego żona, zupełnie normalna kobieta, dla której Wół był zarazem i mężem i dzieckiem. Czułnie trzymała postronek, oboma końcami przywiązany do metalowych kółek w uszach swego ślubnego – bo w ten sposób zwykle nim kierowała. Za sprawą Woła koczownicy szyli w dół tak gęsto, jakby mieli dwa razy więcej kusz niż w rzeczywistości.

W przeciwieństwie do kuszników, łucznicy strzelali znacznie oszczędniej, uważnie wypatrując dobrych okazji. Procarze i oszczepnicy jeszcze powstrzymywali się od walki. Najemnicy tymczasem zaciekle parli w górę, nie bacząc na straty. Sprawnie wyrabiali lub powyrywali większość blokującego im drogę ostrokołu na stoku. Niebawem pierwsi zaczęli odpadać od palisady na szczycie skarpy.

Wtedy do walki włączył się Ampeker ze swą magią. Mrucząc zaklęcia ruszył wzdłuż linii obrony i co chwila uderzał w ziemię laską. Za każdym razem ze stoku skarpy naprzeciw miejsca, w którym laska dotknęła ziemi, osuwała się niewielka lawina piachu, żwiru oraz ziemi, znosząc ze sobą wspinających się żołnierzy razem z ich drabinami i jednocześnie czyniąc brzeg skarpy bardziej stromym.

Kiedy Ampeker przeszedł wzdłuż całej palisady, atakujący bezradnie kłębili się na dole w deszczu strzał i bełtów, po czym zaczęli odstępować.

Ksin wiedział, że spróbują obejść ich pozycje. Palisadę wzniesiono w miejscu najniższego położenia skarpy, ale nie wszędzie tam, gdzie była dostępna z dołu. Wódz najemników z pewnością dobrze ją sobie obejrzał przed rozpoczęciem ataku. Na lewo od pozycji koczowników skarpa stawała się znacznie bardziej stroma, coraz wyższa, a w dole pojawiały się mokradła. Tędy nie mieli szans zająć obrońców: na szeroki, oskrzydłający zagon brakowało koni. Inaczej wyglądało to z prawej. Skarpa wprawdzie i tutaj rosła w górę, a nawet stawała się bardziej skalista, ale za to było tu sporo dosyć wygodnych podejść oraz łatwych do zruszenia piargów.

Książę był i na to przygotowany. Spokojnie odczekał, aż najemnicy ochłoną po pierwszym niepowodzeniu i kryjąc się za tarczami zaczęły wydłużać szyki wzdłuż skarpy w kierunku prawego skrzydła. Kiedy rozciągnęli front o ponad dwieście kroków, kotołak porzucił stanowisko obserwacyjne przy palisadzie i pobiegł do oczekującej jazdy. Podano mu konia, wsiadł, wyciągnął Szpon.

– Otwierać! – rozkazał.

Kilkunastu wojowników rzuciło się obalać ścianę z drewnianych bali przy najniższej części skarpy, tuż za lewym skrajem palisady. Tylko bowiem obserwator patrzący z dołu ulegał złudzeniu, że koczownicy wzniesli umocnienia przegradzając najłatwiejsze wejście na płaskowyż. Tak się zwykle robiło, ale w tym przypadku nie było jak zwykle. Najbardziej rozmyty przez spływającą z góry deszczową wodę fragment skarpy został przegrodzony pochyłą ścianą, obsypaną od zewnątrz warstwą piasku, zamaskowaną kamieniami i przesadzonymi krzakami. Boki ściany umiejętnie wtopiono w stoki skarpy, a Ampeker dołożył do tego kilka drobnych iluzji.

Na rozkaz Ksina, ciągnąc za przygotowane liny, wyrwano pale podtrzymujące całą konstrukcję. Wszystko z hurgotem i w tumanach pyłu zapadło się do wewnątrz, otwierając przed pancernymi kotołakami szerokie, wygodne przejście...

Najemnikom przysnił się nagle koszmarny sen na jawie: skarpa rozwarła się niczym wrota i z tumanów pyłu wprost na odkryte prawe skrzydło ich szyku wyjechała ciężka jazda. Każdy rozsądny żołnierz powinien się w takiej chwili uszczypnąć i obudzić... Wrzaski atakujących przycichły zduszone przez konsternację.

Ksin nie spieszył się. Spokojnie wyprowadził swą drużynę i dał jej czas ustawić się w dwóch szeregach, rozciągających się od ściany skarpy do skraju zarośli. Widział zawracających w wielkim pośpiechu żołnierzy posłanych z rozkazem obejścia prawego krańca palisady. Najważniejsze jednak, że z zarośli wychynęli skryci w nich dotąd kusznicy, zmuszeni wesprzeć zmieniającą front piechotę.

I dopiero teraz ukryci koczownicy pokazali ilu ich naprawdę jest i co potrafią. Na zmieszanych najemników runęła istna lawina oszczepów, strzał i pocisków z proc. Arpia nie ciskała swych starannie toczonych platynowych kulek wielkości orzecha, lecz bryły ołowiu, które przeciągle wyjąc w powietrzu uderzały znacznie mniej celnie, ale z siłą rozłupującą hełmy, wgniatającą głęboko pancerze i zwalającą z nóg nawet tych, co zdolali osłonić się tarczą.

Pryśła dyscyplina zaciężnych żołnierzy. Zaskoczeni gradem pocisków, wobec pancernych Ksina z triumfalnym wrzaskiem ruszających kłusem, stępa i przechodzących od razu w galop, piechurzy nie zdążyli zebrać się i ustawić szyku dla odparcia jazdy, a kusznicy złożyć do jednej zgranej salwy. Ciężkozbrojni jeźdźcy wpadli z łoskotem w skłębiony tłum, obalając go ławą, spychając, wdeptując w ziemię, kłując włóczniami, rąbiąc mieczami i toporami stojących. Najrozsądniej zrobili ci, którzy położyli się sami, przykrywając tarczami, ale był to

rozsądek na krótką metę, bo teraz Ampeker pchnął w dół wszystkich zdolnych do walki mężczyzn, pozostawiając na skarpie tylko kobiety. Zawodzący niby demony wojownicy zbiegli po pochyłości na łeb, na szyję lub zjechali po niej na tyłkach i wsiedli na wrogów ocalałych po przejściu jazdy.

Ksin lewą, przekształconą w szpon łapą chwycił okrytą hełmem głowę i po prostu zmiażdżył ją niczym kulę pergaminu, mieszając ze sobą kawałki blachy i odłamki kości. Puszczając był zdziwiony, że jego ofiara jeszcze zdołała zacharczeć. Ciosem Szpona w prawej ręce rozłupał naramiennik kolejnego żołnierza, odbił skierowaną w siebie włócznię, pchnął sztychem między oczy jej właściciela i znów chlasnął kogoś pazurami po szyi, rozrywając kolczugę oraz tętnicę. Obok siał grozę wymalowany na czerwono Czaszkun, walczący jednocześnie dwoma oszczepami: lewą ręką kłuł raz po raz z góry na dół, zaś oszczepem w prawej parował ciosy i ciął wyostrzoną krawędzią grotu.

Hakonóż nie wziął udziału w szarży, bo nie mógłby dobrze walczyć z konia glewią. Był z tymi, co zbiegli ze skarpy i teraz wśród sponiewieranych przez jazdę niedobitków wykonywał iście katowską robotę, siejąc wokół odrąbanymi głowami, rękami oraz nogami.

Kiedy koczownicy na ostrzach i kopytach roznieśli próbującą ich powstrzymać gromadę najemników, dla pozostałych, rozproszonych żołnierzy, którzy nie zdążyli ponownie skrócić szyku i dobiec na pole bitwy, zaczęła się rzeź. W momencie rozpoczęcia kontrataku część najemników była już na stoku skarpy i ci nie mieli żadnych szans ocalenia. Nieliczni podejmowali walkę bez orientacji w sytuacji i natychmiast ginęli, reszta jednak w popłochu uciekała z powrotem w zarośla. Tak samo robili ci, którzy przetrwali atak konnicy. Koczownicy gonili ich wyjąc niczym wilki, rozpoczynając drugie tego dnia polowanie...

Miało być tak, że po rozbiciu napastników nastąpi pościg, trwający resztę dnia, a najlepiej całą noc. Najemnicy mieli być tropieni, mordowani i rozpraszeni tak długo, aż ocaleni z pogromu całkowicie pogubią się w tym świecie bez stałych kierunków, nie zdołają się nigdy odnaleźć i będą musieli rozpocząć samotną, błędną wędrówkę bez końca, przeklinając dzień, w którym pozwolili przenieść się do Pierwszego Świata. Tak miało być, ale tak się nie stało.

Pędząc ze swymi drużynnikami wzdłuż podnóża skarpy, Ksin zauważył nagle na stoku desperata, który nie próbował uciekać, ale wykorzystując wysokość na jakiej się znajdował, refleksami słońca odbitego od zwierciadła błyskał gdzieś ponad przestworem chaszczy... Kotolak płazem Szpona uderzył w ramię Czaszkuna, po czym ostrzem wskazał dającego znaki najemnika. Ten natychmiast zmienił uchwyt na drzewcu oszczepu i skręcił się w siodle, biorąc zamach do rzutu.

– Żywcem go! – zdołał jeszcze krzyknąć Ksin.

Oszczep trafił najemnika w udo, przeszedł na wylot i wbił się w drugą nogę. Raniony z jękiem stoczył się ze stoku, gubiąc zwierciadło.

– Związać go i opatrzyć! – rozkazał książę, wstrzymując konia i zeskakując na ziemię.

Nie było czasu zawracać przez całe pobojoisko. Schował Szpon i całkowicie przekształcił się w kotołaka. Zgrzytając pazurami po skałach, w kilka chwili wdrapał się na szczyt skarpy i pobiegł z powrotem do palisady. Dopiero u celu, nie przystając, przybrał swą normalną, na poły ludzką postać.

– Zbudujcie mi wieżę! – krzyknął do Ampekera i zebranych kobiet.

Starzec chciał przywołać wojowników z dołu, ale kotołak wrzasnął, że nie ma czasu. Koczowniczki bez zdziwienia, zdjęły trzy tarcze z palisady. Sześć roślących kobiet stanęło pewnie na szeroko rozstawionych nogach i położyło sobie dwie tarcze płasko na ramionach. Cztery weszły na nie i złapały ostatnią tarczę, na którą z kolei wdrapał się Ksin. W tym momencie wszystkie naraz uniosły w górę ramiona, podnosząc go na wysokość ponad dziesięciu łokci. Można było jeszcze ustawić jeden poziom wieży, ale musieliby to zrobić doświadczeni mężczyźni, a nie pora była ich szukać.

Wyprostowany kotołak z łącznej wysokości skarpy oraz żywej wieży obserwacyjnej wpatrzył się w horyzont. Za moment zobaczył błyski. W trzech... Nie... W czterech miejscach na samej granicy widnokregu. Najpierw błyskały w jego kierunku, jakby pytająco, potem ku sobie nawzajem. Poczul jeżącą się sierść na karku. Wrogów było więcej! Każdy błysk mógł oznaczać oddział co najmniej tak duży jak ten, który właśnie rozbili. Znacząco, co najmniej czterokrotnie więcej...

Z taką potęgą nie mieli żadnych szans. Patrzył w rozwartą paszczę bestii... Należało natychmiast uciekać! Rzucić wszystko i umykać w step byle dalej i byle prędzej, modląc się do Boga Drogi, by zechciał oddalić ich od zagrożenia, a nie przewrotnie skierował ku niemu!

Odetchnął głębiej i opanował się. Tamci byli o jakieś dwa dni stąd. Nie znali stepu, więc nim tu dotrą i połączą się – miną co najmniej trzy dni. Ponadto bitwa została wygrana i nierozważnie było podrywać morale koczowników, sugerując im co innego. Wszak właśnie odcięli tej bestii język!

Kotołak poczul, że ramiona dźwigających go kobiet zaczynają drżeć i dał znak, aby go opuszczono.

Od razu napotkał pytające spojrzenie Ampekera. Wziął starca za łokieć, odprowadził na bok i wyjaśnił w czym rzecz.

– Ktoś nas ogromnie nienawidzi... – mruknął Ampeker, gdy Ksin skończył mówić.

– Trzeba uprzątnąć pobojoisko – powiedział kotołak. – opatrzyć rannych, pogrzebać zabitych, pozwolić ludziom wziąć łupy i wydusić zeznania z jeńców, ale nie możemy się z tym zanadto guzdrać...

Starzec pokiwał twierdząco głową.

– Będziemy ścigać niedobitki tylko godzinę, no, może półtorej – kontynuował Ksin – by nie pozbierali się zanim nadejdą tamci.

– Da się to wszystko uczynić tak, abyśmy o zmierzchu byli z powrotem w obozie – orzekł Ampeker. – A jutro o świcie wyruszymy ku przyszłości. Ludziom powiemy, że tak miało być. O reszcie zdecyduje Wola Drogi.

– Trzeba będzie zwołać małą radę... – Ksin spojrzał w oczy starca.

– To później, jak będziemy wiedzieć więcej.

Popatrzyli chwilę na pobojuwisko, gdzie kończono już dobijać rannych wrogów, zaczynano zbierać broń i obdzierać trupy, po czym rozeszli się, aby wydać nowe rozkazy.

Najszybciej uporano się z własnymi rannymi; na bieżaco ich opatrywano i odsyłano do obozu. Od razu też zorganizowano przesłuchania jeńców, bo Saro był na miejscu, razem ze znachorkami i modliszkołaczką, na którą miał dawać baczenie. Najsza pomagała robić szarpie i usługiwała przy rannych.

Z jeńcami się nie patyczkowano. Zebrano w sumie piętnastu zdolnych do mówienia. Od tego, co powiedzą zależało życie przeszło dwóch tysięcy koczowników, więc po wstępnym przepytaniu najbardziej hardego upieczono żywcem w ognisku, na oczach pozostałych. Potem Saro ponownie zadał pytania i przetłumaczył odpowiedzi. Upieczono następnego. Dalej już bez gadania Czaszkun zaczął wlec do ognia tego, który okazywał największy strach. Żołdak, nim się oparzył, wywrzeszczał, że ich wodzem jest wielki czarownik w świecącej zbroi, do którego nie można podchodzić... W nagrodę Hakonóż bezboleśnie ściął mu głowę.

Na ten widok trzech następni jeńcy oznajmili, iż wolą ostrze od ognia i zapłacili za ten przywilej nowymi informacjami. Okazało się, że w istocie są częścią wojsk zgromadzonych przez nieżyjącego Korathosa; jest ich razem trzy tysiące, podzielonych na pięć grup, teraz już tylko cztery. Wynajęto ich dla zemsty na kotołaku i jego ludziach, a zrobił to jeden z magów służących wcześniej Korathosowi. Ów mag nie potrafił przenieść ich do Pierwszego Świata wszystkich razem, tylko partiami po kilkuset ludzi i nie w jedno miejsce, lecz ze sporym rozproszeniem, więc jeszcze nie zdołali się zebrać, choć już się odnaleźli, co trwało miesiąc. Najmujący nie był tak bogaty jak Korathos i nie było go stać na żołd dla więcej niż trzech tysięcy ludzi.

Spadły trzy głowy i rozpoczęto targi o rodzaj śmierci z pozostałymi dziewięcioma jeńcami. Czterech chciało mówić, ale nie dodali nic więcej, prócz tego, że wspomniany mag jest z jednym z oddziałów i to on ich prowadzi, przekazując rozkazy za pomocą odbitych promieni słonecznych. I że wszyscy wiedzą, iż do wodza, który dwukrotnie przewyższa wzrostem najwyższych ludzi, nie można się zbliżać, bo się od tego umiera.

Ksin kazał Saro zapytać o szczegóły kodu używanego do wymiany świetlnych znaków. Najemnicy powiedzieli, że nie wiedzą. Kiedy im uwierzono, byli już naprawdę bardzo chorzy... Tymczasem rozległy się rogi wzywające do powrotu koczowników tropiących po krzakach niedobitków. Hora odprowadziła do obozu Woła objuczonego olbrzymim tobołem ze zdobyczną bronią.

Kotołak odepchnął od siebie litość i zakazał dobijać wpół spalonych, skowyczących najemników. Najważniejszy był oficer schwytany w trakcie nadawania sygnałów. Ten na pewno znał umówione znaki i powinien był jeszcze powiedzieć, co zdążył przekazać. Należało więc całkowicie złamać jego wolę.

Ksin dał wolną rękę Czaszkunowi, który podczas poprzedniego przesłuchania odkrył w sobie drugi obok mistrzostwa w rzucaniu oszczepem talent. Zadawanie cierpień miał za rzecz równie naturalną jak jedzenie i nie budziło to w nim najmniejszych oporów. Ponieważ zaś nie miał twarzy, nie dało się orzec, czy sprawia mu to przyjemność...

Okaleczony wojownik w stercie zdobycznej broni wyszukał sobie obustronnie ostrzony, niewielki bojowy sierp i dał taki popis okrucieństwa, że Ksin musiał odejść, a dwóch koczowników pilnujących jeńców zwymiotowało.

Ryki kastrowanych, ćwiartowanych, patroszonych i wypychanych żarem najemników szybko stały się głośniejsze od niedawnej bitewnej wrzawy. Większość kobiet w popłochu wróciła do obozu, a wojownicy nie zbliżali się do miejsca kaźni na mniej niż sto kroków. Wielu spoglądając tam klęło i spluwało. Widać było, że niejednemu odeszła radość zwycięstwa. Nawet Arpia miała nietęgą minę patrząc z oddali na Hakonożę, który z glewią pod pachą nie odstępował Czaszkuna oraz Saro i hakiem swej broni obracał w ogniu wierzgających najemników. Łotrzyk z kolei znów najadł się szaleju i chwilami słychać było jego wesoły chichot...

Jeden Ampeker zachowywał spokój. Podeszedł i podał Ksinowi bukłak z mocnym winem.

– To się musiało stać – powiedział stanowczo. – Albo oni zrobili by to nam, albo my im. Żołnierze z innych światów, przychodząc tutaj, sądzą, że są poza każdym prawem ustanowionym przez ludzi, bogów, czy demony. Wiem, co się dzieje, gdy tacy wezmą obóz. Słyszałem i sam widziałem. Są ogniska z niemowląt i kobiety z obciętymi piersiami...

– Wiem... – wychrypiał kotołak. – Dlatego nie każę przerwać, ale słuchać i patrzeć ciężko...

– Jesteś władcą, a nie rycerzem, więc postępujesz jak władca chroniący swych poddanych, a nie jak rycerz, któremu przystoi dla chwały okazać wspaniałomyślność pokonanemu wrogowi – Ampeker też się napił. – To minie, książę, kiedy wrócisz do obozu, zobaczysz bawiące się dzieci, brzemiennie niewiasty i pojmiesz, że dałeś im szansę uniknięcia złego losu.

– Ale goryczy z duszy nic nie wymaże...

– To prawda – starzec znów podał mu bukłak. – Twoja decyzja, twój ciężar. Lecz nie okazuj słabości, książę, choćby się serce kroilo, bo słabi władcy giną i wielu innych za sobą pociągają.

– Jestem księciem i będę królem – oznajmił Ksin, ocierając usta. – Ręka mi nie zadrży!

Jak Redrenowi... dodał w myślach.

Ampeker skłonił się nisko i odszedł, a kotołak zaniósł wino Arpii. Dziewczyna wypila łapczywie.

* * *

Poległych koczowników zdecydowano się pochować u podnóża bronionej skarpy. Przy samej ścianie wygrzebano osiemnaście jam. Assis mówił, że sześciu rannych nie ma żadnych szans – mieli skonać w przeciągu tygodnia. Do tego trzeba było doliczyć kilkunastu okaleczonych na resztę życia i czterech zaginionych bez śladu w zaroślach.

Nie była to bagatelna strata dla plemienia. W normalnej sytuacji oznaczałaby klęskę całej wyprawy wojennej. Stało się jasne, że rada starszych pięć razy się zastanowi, zanim przystanie na drugą taką rozprawę z wyszkolonym wojskiem, a i to nie wcześniej niż za pięć, sześć tygodni, aż wydobrzeją wszyscy ranni, bo mało kto miał wrócić bez zadrapania.

Na koniec zostawało pytanie najważniejsze: Czy drugi raz uda się rozegrać bitwę równie chytrze? Bo tak samo, to już na pewno nie...

* * *

Kiedy wrócili ostatni wojownicy, Ampeker stanął na szczycie skarpy, wzniosł w górę obie ręce oraz laskę, po czym zawiódł długą, donośną inkantację. Ludzie stanęli w milczeniu, przerwano torturowanie jeńców. Saro dostał w zęby i też się zamknął. Najstarszy Umysłem dokończył zaśpiew i z rozmachem uderzył laską w ziemię. Tym razem było tak, jakby niewidzialny nóż odkroił plaster skarpy razem z całą palisadą, zaledwie pół kroku od Ampekera. Zaostrzone pale i zwały ziemi osunęły się w dół, przysypując groby. Potem ozdobiono rumowisko głowami najemników zatkniętymi na kije i ułamki włóczyń oraz odciętymi stopami – wymownie ustawionymi palcami w kierunku zarośli. Widoku dopełniało przeszło dwieście nagich, okaleczonych trupów, poniewierających się wokół koczowniczej mogiły.

Prawie o zmierzchu zwycięzcy ruszyli na powrót do obozu.

Grupa Czaszkuna i kilkunastu pancernych, pozostawionych na wszelki wypadek dla ochrony, dołączyli w połowie drogi. Dopiero teraz zdołali uporać się z jeńcami. Ksin nie pytał, czy ich dobito, czy pozostawiono dogorywających w stepie, bo uznał, że księciu nie wypada. Chciał tylko wiedzieć, co powiedzieli. Okazało się, że całkiem sporo. Kilku zdołało zapomnieć o lojalności wobec towarzyszy broni i w zamian za szybką śmierć przypomnieli sobie kilkanaście podstawowych sygnałów świetlnych. Ponieważ pytano ich pojedynczo i nie pozwalano rozmawiać ze sobą, ani słyszeć wzajemnych zeznań, znaczenie większości znaków udało się też potwierdzić. Jednak z oficerem, po którym obiecywano sobie najwięcej, nie poszło zbyt dobrze, bo zwariował od patrzenia na Czaszkuna i jego wyczyny. Z bełkotu

dręczonego szaleńca Saro zdołał zrozumieć tylko tyle, że on tam na skarpie wzywał pomocy. Na pewno nie udawał obłąkania, bo w trakcie przesłuchania od strachu i bólu ustało w nim serce.

Gdy Czaszkun, kończąc relację, opuścił dłonie, którymi imitował policzki i wargi, Hakonóz od siebie dodał, że jeńców miłosiernie dobił. Nie zatarli śladów tortur na postrach pozostałym. Kotołak nie skomentował i już więcej na ten temat nie mówiono. Hakonóz odszukał Arpię, idącą w kolumnie pieszych wojowników, wciągnął dziewczynę do siebie na siodło i dołączył z nią do Ksina jadącego na czele swej pancерnej drużyny.

Tak wjechali do obozu.

Dzieci rzuciły się na nich ze wszystkich stron z radosnym wrzaskiem. Za nimi nadbiegły kobiety witające mężów, ojców i braci. Ściskano się, śmiano, płakano i przekrzykiwano. Chłopcy, zbyt młodzi, by pozwolono im wziąć udział w walce, w nabożnym skupieniu dotykali zdobycznej broni i wiszących u łęków siodeł skalpów twarzowych. Sam Czaszkun sprawił sobie trzy takie trofea. Witani oraz witający przemieszcza się i hałaśliwą gromadą dotarli na majdan przed wewnętrznym obozem plemiennej arystokracji. Tu – w ceremonialnym stroju – czekał szaman Niczro, Ampeker, który wrócił wcześniej, Amarelis w odświętnej sukni oraz starcy ze wszystkich rodów.

Szaman uciszył zebranych i przemówił:

– Ogień waszej krwi kroczył przed wami i spalił wrogów, dając dumę waszym synom, pokój waszym kobietom i chwałę w oczach bogów! Teraz zaś Bogowie Bezkresnego Stepu moimi ustami przekazują wam, abyście pozostawili trupy wrogów przeszłości i ruszyli w przyszłość za swoim księciem, który zaprowadzi was do Państwa, tak jak dziś poprowadził do zwycięstwa. Jutro o świcie wyruszymy do Państwa!

Wybuchła radosna wrzawa. Szybki wymarsz nie był dla wędrujących od zawsze koczowników niczym zaskakującym ani dziwnym, zwłaszcza po takiej przepowiedni szamana. Wszak to naturalne sądzić, że wielkie zwycięstwo jest zapowiedzią czegoś jeszcze większego!

Ampeker posłał porozumiewawcze spojrzenie Ksinowi. Potem Niczro zaczął ściskać dwóch swoich synów, którzy wrócili z boju, i zaczęło się świętowanie zwycięstwa.

Amarelis w otoczeniu swych niewiast wciąż jednak stała i patrzyła na Arpię. Hakonóz pomógł dziewczynie zsiąść i oboje podeszli do księżnej. Dołączył do nich Ksin.

Arpia po wszystkim, co dziś przeżyła i widziała nie była już tą samą hardą smarkulą, która rankiem razem z innymi poszła zapolować na zbrojnego zwierza. W jej oczach pojawił się smutek i cień zadumy. Stała się już młodą kobietą...

Amarelis bez słowa otworzyła ramiona i siostra natychmiast rzuciła się jej na szyję. Tak jak rano i teraz nic nie mówiły, bo i nie było nic do powiedzenia. Żadna się też nie rozpłakała, bo nie wypadało to ani dzielnej wojowniczkę, ani przyszłej królowej.

Wreszcie przestały się tulić. Księżna, trzymając siostrę za rękę, zbliżyła się do Hakonoża. Wojownik sięgnął pod pancerz na piersiach, wyjął zbite w płaski pakiet dziewicze hafty oraz włosy Arpii. Potem spojrzał w oczy Amarelis i odkaslnął.

– Potrzebny będzie ogień... – powiedział.

Skinęła na swe niewiasty, które rozstąpiły się ukazując stojący za nimi trójnóg z żarem oraz leżący obok miecz, oszczep i topór. Hakonóż podszedł, rozdzielił zawiniątko na trzy części i położył je na ostrzach broni. Potem on i Arpia stanęli naprzeciw siebie po obu stronach trójnoga. Amarelis podeszła i przytuliła się do Ksina. Cała rodzina, prócz jednego, najciężej rannego, przyrodniego brata księżnej, też już tu była.

– Niewiasto! – zwrócił się Hakonóż do Arpii, podnosząc miecz. – Poślubiam cię, abyś dzieliła ze mną ten miecz!

– Będę twoim ostrzem i twoją siłą! – oznajmiła Arpia, patrząc na Hakonoża z miłością, ale i lękiem.

Wojownik przechył klingę zrzucając na żar tkaninę i włosy. Zabłył płomień. Odłożył miecz, podniósł topór.

– Niewiasto, poślubiam cię, abyś dzieliła ze mną ów topór.

– Będę twoim ostrzem i twoją siłą.

Płomień znów skoczył w górę.

– Niewiasto, poślubiam cię, abyś dzieliła ze mną ten oszczep.

– Będę twoim ostrzem i twoją siłą...

– Zostaliście połączeni przez Miecz, Topór i Oszczep! – oznajmił Ksin jako głowa rodu. – Obyście zawsze walczyli ramię przy ramieniu i polegli razem, oparci plecami o siebie!

I zaczęło się święto... Pozostałe w obozie kobiety przygotowały się zarówno na klęskę oraz ucieczkę – pakując sakwy i toboły, jak i do ugoszczenia powracających zwycięzców – zastawiając stoły jadłem i napojami. Tych ostatnich po przemowie Niczro znacznie przybyło, bo przed drogą należało zjeść i wypić to, co niewygodnie było zabrać.

Obecny obóz założono ponad miesiąc temu, więc zbędnych zapasów w postaci małych, żywych zwierząt i łatwo psujących się owoców było sporo. Uczta zapowiadała się zatem równie wielka jak po inicjacji, ale bez miłosnych szaleństw. Tylko wspólne kobiety miały przed sobą bardzo pracowitą noc...

Ksin nie miał nastroju do ucztowania. Zjadł trochę pieczonego mięsa, przegryzając plackiem z ziemnych bulw i napił się wina. Doskwierał mu ciężar niepewności, który zwiększył Ampeker, mimochodem napomykając, że mała rada starszych z udziałem ich obu, szamana, Assisa oraz ślepcy Kamo, odbędzie się w drodze na pierwszym wieczornym postoj.

Po tych słowach kotołak odstawił dzban z piwem, z którego miał zamiar właśnie upić i spojrzał wymownie na żonę.

– Pójdę do namiotu i zdejmę ozdoby – powiedziała, odgadując sens spojrzenia męża. – Przyjdź do mnie za małą chwilę, kochany, będę czekać...

Odeszła. Ksin wziął jednak dzban z ciemnym piwem i zaczął powoli pić. Po torturach znów czuł się bestią. Może nie dokładnie dzikim potworem Onego, lecz jakoś podobnie... Pamiętał tamto, choć od czasu rozdzielenia przed magicznym portalem nie miał już pociągu do ludzkiej krwi. Teraz czuł znowu, że drzemie w nim nieokiełznana, ślepa furia, choć niedokładnie taka sama. Chodziło o to, że zadawanie bólu, choć mówił sobie, iż robi to z niechęcią i przez rozum, w głębi duszy zaczynało mu się podobać... Bał się, że to może go wciągnąć w otchłań drapieżnego szaleństwa, podobnie jak zew krwi. Aby się przed tym uchronić, potrzebował człowieczeństwa i poczucia sensu... Z tą myślą wszedł do małżeńskiego namiotu.

Amarelis czekała siedząc na posłaniu, ubrana w zwykłą koszulę do spania. Postawił bliżej światło, by lepiej ją widzieć i zsunął tkaninę z ramion żony. Była piękna, ale teraz ciąża oraz odpowiedzialność jeszcze bardziej dodawały jej dojrzałości i urody. Z przyjemnością patrzył na jej białą skórę, nabrzmiewające piersi i pociemniałe sutki. Potem położył ją i powoli ściągnął z niej koszulę. Wyraźnie zobaczył niewielką wypukłość tuż nad ciemnym trójkątem łona... Ścisnęło go w gardle, kiedy jej dotykał i nie spodobał mu się widok kociej sierści na własnym przedramieniu. Zapragnął być doskonałym mężczyzną dla tej pięknej, uśmiechającej się ciepło kobiety...

Czym prędzej zrzucił z siebie całe żelastwo, rzemienie przesycone wonią oliwy i miękkie ubranie. Nagi przyklęknął przy Amarelis i zamknął oczy. Skoncentrował się. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale czuł, że potrafi... dokonać odwrotnej Przemiany! Wciągnąć w siebie sierść oraz wszelkie zwierzęce cechy. Stać się pełnym człowiekiem... Człowiekołakiem...!

Poczuł rozlewającą się po nim falę chłodu, bo tak zareagowała skóra na zanik futrzanej okrywy. Usłyszał zdumione westchnienie żony, spojrzał na nią idealnymi ludzkimi oczami i zaczął pieścić długimi, silnymi palcami mężczyzny, całować wargami, z których zniknął wreszcie pokrój kociego pyska...

W westchnieniach Amarelis zdumienie walczyło z rosnącym podnieceniem, aż wreszcie całkiem przegrało. Wtedy się w nią zapadł. Teraz nie było ani szalonej namiętności, jak podczas inicjacji, ani szukania pocieszenia, jak po rozmowie o losie Arpii. Było tylko pogłębiające się zespoleenie, bardziej, bardziej, i bardziej, i jeszcze bardziej... Przyjemność i radość zupełnie niepostrzeżenie, całkiem płynnie przeszły w szczyt rozkoszy i nie zeszły z niego, lecz zaraz potem zaczęły się wspinać na następny i jeszcze następny... I za każdym razem było spokojnie i doskonale. Tylko w którymś momencie gdzieś mu się rozplynęła i znikła...

* * *

Obudził się, kiedy spróbowała wstać i się ubrać. Znow był pokryty sierścią. Powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Powinnam już iść do ojca – szepnęła.

– Zostań ze mną – powiedział. – Niech się dzieje, co chce! – Odnalazł Szpon i przysunął go bliżej.

Przywarła do niego z uśmiechem, zaczęła gładzić futro na jego piersiach. Sięgnęła niżej...

Potem się trochę przesпали. Krótko, bo tuż przed świtem obudziły ich rogi i bębny. Wstali, założyli stroje do wędrówki i razem zaczęli zwijać swój namiot.

5. PAKT Z DEMONAMI

Nad Pierwszym Światem panował odwieczny astronomiczny chaos, choć były też i reguły. Na przykład, nigdy nie mieszał się dzień z nocą. Nieba Światów Pochodnych, które wciąż wymieniały się nad Pierwszym Światem i często nakładały na siebie po dwa, trzy, nawet cztery i pięć razy, były zawsze albo nieboskłonami dziennymi, albo nocnymi. Dni i noce trwały zawsze tak samo długo, dlatego można było liczyć godziny, dni, miesiące, lata.

Tego ranka wstały dwa słońca – duże po stronie przyszłości i małe na przeciwległym krańcu widnokręgu, po stronie przeszłości, co uznano za dobry omen. Oba rozpoczęły wędrówkę tak, jakby miały się spotkać w zenicie, lecz było oczywiste, że zanim to nastąpi – niebo zmieni się znowu, zapewne nie jeden raz.

O wschodzie słońc znikły ostatnie namioty, dokończono juczenie zwierząt oraz ładowanie dwu i czterokonnych wozów, a szaman Niczro rozpoczął ceremonię pożegnania wody. Odbyła się tuż za granicą byłego obozowiska, po stronie serca, na brzegu małego, bezdennego stawu, służącego przez ostatnie tygodnie za źródło wody dla całego plemienia, a właściwie niewielkiej konfederacji plemion, która powstała od czasu opuszczenia świata Korathosa.

Niczro wielkim głosem podziękował Duchowi Wody za to, że zechciał gasić ich pragnienie i poprosił o następne spotkanie w nowym miejscu, danym przez Bogów Stepu na obóz, potem także w Państwie. Na znak, że smutek rozstania oraz tęsknota za przyszłym spotkaniem są szczere, trzy płaczki ofiarowały wodzie swoje łzy.

Gdy tarcza większego słońca w całości wysunęła się nad horyzont, plemię ruszyło ku przyszłości. Szli w tradycyjnym porządku: szeroką, luźną ławą, rozciągniętą na ponad dwa tysiące kroków, której krańce nie były w stanie się dostrzec. W takim szyku plemię mogło upolować więcej zwierząt, zebrać więcej jadalnych roślin i użytecznych kruszców. W chwilach, gdy ciągłość zaczynała się rwać, gdy ktoś z jakiejś przyczyny został z tyłu, lub należało wyrównać linię, odzywały się bębny. Ich głuchy dialog wyznaczał tempo marszu.

Przodem szła rozproszona tyraliera myśliwych i zwiadowców. Wypatrywali zwierzyny, zanim ta umknie spłoszona przez ludzką masę, oraz niebezpiecznych i nieprzejezdnych miejsc, które wozy musiały ominąć. Za myśliwymi postępowały kobiety, zbierając jadalne rośliny, owoce i zioła, wykopując bulwy, ścinając kłosa traw, wreszcie poszukiwacze rud i kruszców. Ci ostatni musieli się spieszyć, bo w marszu nie było czasu kopać odkrywek. Czym

prędzej więc ładowano w worki leżące na powierzchni czarne, zawierające wiele żelaza magnetyczne kamienie, wylupywano ze skał najłatwiej dostępne minerały miedzi i cyny, z przekraczanych strumieni wybierano tylko największe samородki złota, platyny, srebra i irydu. Dzieci i młode dziewczęta wypatrywały kamieni szlachetnych – diamentów, szafirów, rubinów, granatów i szmaragdów – połyskujących w rzeczonym rumoszu lub ścianach osuwisk.

Owszem, wiele klejnotów pozostawało niezauważonych, lecz Pierwszy Świat był tak bogaty we wszelkie dary ziemi, że choćby brać co dziesiąty i tak szybko przychodziło poczuć ich ciężar. Owa zasobność była błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. Z pewnością ten, kto wynajmował najemników maszerujących teraz za ludźmi Ksina, nie raz i nie dwa wspomniał, jak wiele bogactw musieli zebrać wędrujący tu od pokoleń...

A jednak los im sprzyjał! Trzy godziny po wschodzie słońca, kiedy już zeszli z płaskowyżu i pogrążyli w bezkresnej równinie stepu, załamała się pogoda. Obie gwiazdy znikły za gęstymi chmurami, zaczął padać deszcz. W mglistej szarudze wymiana znaków za pomocą odbitych w zwierciadłach promieni słonecznych stała się niemożliwa, więc ścigająca ich armia musiała stanąć. Kontynuowanie marszu w tych warunkach dawało pewność, że poszczególne oddziały pogubią się w stepie, a może nawet przestaną mieścić się w obrębie jednego widnokładu, co oznaczało ich utratę – niemal równie skuteczną jak w przegranej bitwie. Skutki takiej katastrofy mógł potem odwrócić już tylko czysty przypadek. Najemnicy musieli więc zatrzymać się daleko przed obszarem chaszczy, podczas gdy koczownicy wciąż szli, a deszcz i wiatr skutecznie zacierały ich ślady.

Padało i wiało przez cały dzień, niebo przypominało wieko ołowianego sarkofagu, a nad rozkołysanym oceanem traw snuły się szare wiry powietrzne. Żadne znaki nie wskazywały, aby w nocy pogoda miała się zmienić. Dla koczowników nie było to nic nowego. Po prostu nałożyli skórzane płaszcze, naciągnęli kaptury na głowy i szli jak zwykle przed siebie.

Ksin i Amarelis byli teraz tylko jedną z wielu wędrujących rodzin, nie wyróżniali się niczym, może tylko brakiem biegających wokół dzieci. Na szlaku obozowy ceremoniał nie obowiązywał. Namiot i dobytek książęcej pary leżały na wysokim, dwukołowym wozie, zaprzężonym w oswojonego, drapieżnego strusia z dziobem niczym ostrze oskardu, oplecionym rzemiennym kagańcem i uprzężą uniemożliwiającą pochylenie szyi. Strusia prowadził Ksin. Żona szła obok. Nie rozmawiali wiele, tylko czasem wymieniali spojrzenia i uśmiechali się do siebie. Kotołak rozmyślał.

Momentami pojawiali się Arpia i Hakonóz: zgodnie ze zwyczajem wciąż w tę i z powrotem patrolowali szyk koczowników od krańca do krańca, pilnując jego ciągłości, bacząc, czy komuś nie jest potrzebna pomoc lub obrona. Tradycyjnie rzeczy młodych małżonków leżały na książęcym wozie, gdyż ślub przez Miecz, Topór i Oszczep wiązał się z wyrzeczeniem własnego domowego ogniska, namiotu i wozu. W razie potrzeby korzystali z

gościny kogokolwiek z członków plemienia. Stalowe Małżeństwa nie wychowywały też swoich dzieci, lecz zaraz po urodzeniu oddawały je najbliższym krewnym.

Zaraz za wozem swej pani trzy niewolnice Amarelis prowadziły wózek zaprzężony w osła. Teraz niczym się od niej nie różniły, ani jeśli chodzi o ubiór, ani pod względem praw. Przygoda na szlaku mogła przytrafić się w równym stopniu członkowi plemiennej arystokracji, jak też najgorszemu z nieczystych. Jednakowo powstrzymałoby to pochod całego plemienia, zatem w drodze status społeczny nie miał żadnego znaczenia. Obowiązek pomocy spoczywał zawsze na tych, co byli najbliżej.

O zmierzchu koczownicy skryli się pod plandekami wozów i ułożyli do snu. Dla starszyny, która miała odbyć małą naradę, wyszukano niewielką grotę opodal miejsca postoju plemienia. W wejściu zawieszono skóry dla osłony przed wiatrem, wewnątrz zapalono dużą oliwną lampę. Na jej płomieniu w razie potrzeby można było zagotować ziołowy napar. Ksin, Ampeker, Assis, Niczro i Kamo weszli do środka, a wartownicy skryli się na zewnątrz, wśród zarośli i głazów, by nie rzucać się w oczy i zarazem nie ziębnąć na mokrym wietrze.

Przez długą chwilę żaden z przywódców nic nie mówił. Patrzyli tylko na grę cieni na swoich twarzach: szaman Niczro – słowo i ucho bogów; Assis – uzdrowiciel i poskromiciel demonów, Ksin – księżę i wódz oraz Ampeker – skarbnik doświadczenia żywych. Ślepy Kamo, Strażnik Pamięci Pokoleń, siedział z nisko pochyloną głową.

– Myślę, że obaj dobrze wiemy, kto i dlaczego nas ściga – powiedział wreszcie Ksin, spoglądając znacząco na Ampekera.

– Głowa... – domyślił się również Assis.

Niczro i Kamo w spokoju czekali na wyjaśnienia. Nie byli w świetle Korathosa, wraz ze swoimi rodami przyłączyli się dopiero po wyjściu plemienia z miasta Pana Śmierci. Podczas przypadkowego spotkania w stepie okazało się, że szaman i ślepiec znają tę samą legendę-przepowiednię o bestii znającej kierunek, która kiedyś skłoniła Ampekera i innych do wyniesienia Ksina do godności wodza. Było to dziwne i niezwykle, ale nie dość niezwykle w rzeczywistości Pierwszego Świata. Co prawda, pierwotnie chodziło o fakt posiadania przez kotołaka magicznej mapy, umożliwiającej opuszczenie Pierwszego Świata, teraz zaś interpretowano bohatera przepowiedni jako kogoś, kto zna drogę do Państwa, lecz zbieżność treści była na tyle duża, aby w połączeniu ze wzmianką o „kocie krwi” sprawić, iż liczba poddanych Ksina uległa tamtego dnia podwojeniu.

– Jak to się mogło stać? – zapytał Ksin Ampekera. – Komu kazałeś zakopać głowę, którą przyniósł ci Vorez?

– Nakazałem to staremu Bergerowi, który nie chciał z nami wracać... – odparł Najstarszy Umysłem.

– Trzeba było dać mnie... – mruknął Assis.

– Nie było czasu myśleć o tym – stwierdził kotołak. – Jesteś pewien, że Berger zrobił to, co kazałeś? – zwrócił się znów do Ampekera.

– Nie jestem. Teraz dopiero przypominam sobie, że nie widziałem go wśród tych, którzy postanowili zostać w świecie swych narodzin...

– Więc skąd wiesz, że nie chciał wracać?! – wpadł mu w słowo Ksin.

– Mówił mi to wcześniej, więc nie niepokoiłem się, kiedy nie ujrzałem go po przybyciu tutaj.

– Zatem stary Berger zginął razem z odciętą głową maga-namiestnika w zamieszaniu, do którego doszło po śmierci Korathosa – podsumował posępnie Assis.

– Czy Vorez mówił, że nie wolno zaglądać do worka z głową? – spytał kotołak.

Ampeker pokręcił przecząco głową.

– Więc zapomniał, nieszczęsny głupiec... – syknął Ksin.

– Ja nie zaglądałem! – zapewnił szybko Ampeker.

– Bo nie siedziałbyś tutaj z nami – zauważył spokojnie Assis. – Ta odcięta głowa zachowała życie i zdolność opanowania umysłu tego, kto spojrzał jej w oczy – wyjaśnił uzdrowiciel, zwracając się do szamana i ślepcy. – Przed ścięciem był to pośledni mag, obłożony urokiem demonicznym, który całkowicie podporządkowywał go woli czarnoksiężnika Korathosa, zwanego Panem Śmierci. Nieprzypadkowo go tak nazywano, gdyż Korathos całkowicie panował nad umarłymi, konającymi oraz demonami pochodzącymi od umarłych. Nie miał władzy nad żywymi, ale osiągał ją odbierając im część życia i zastępując je własnym albo mocą Onego. Coś podobnego uczyniono naszej małej Najszy...

– Co więc się stało, kiedy Korathos zginął? – zapytał Ksin.

– Magowie namiestnicy stali się upiorami, przybierającymi postać bestii podczas pełni, zapewne wilkołakami. Ten, który stracił głowę, musiał jednak stać się upiorem od razu i w całości, bo tylko w takiej postaci mógł dalej egzystować.

– Zatem najpierw zniewolił umysł Bergera... – odezwał się Ksin.

– Nie mamy pewności – rzekł Ampeker. – Być może Berger okazał równie wiele ostrożności co ja.

– Lecz z jakiegoś powodu nie poszedł razem z wami na spotkanie ze mną – zauważył kotołak. – Coś go musiało zatrzymać na kwaterze...

– Zapewne mentalna walka – odpowiedział Assis. – Stary Berger znał się trochę na magii i jeśli spojrzał głowie w oczy, to zapewne przez jakiś czas mógł się przed nią bronić.

– Przez czas wystarczający, abym zdołał dotrzeć do Korathosa, który zresztą i tak wiedział, że przybywamy... – Ksin podrapał się w głowę.

– Kiedy Korathos zginął, odciętej głowie musiały wyrosnąć wampirze kły – kontynuował myśl uzdrowiciel. – Głowa zmusiła Bergera, aby przycisnął ją do swej szyi i pozwolił wgryźć się w tętnicę. Wówczas Przemiana musiała się dopełnić... – zawiesił głos.

– Jak? – spytał Niczro.

– Głowie wyrosły pajęczę nogi i uzyskała zdolność samodzielnego poruszania się, polowania i wykonywania rzeczy, które można wykonać członkami wielkiego pająka – Assis odruchowo spojrział na szpon zastępujący mu lewą rękę.

– Zatem nasz były mag-namiestnik stał się pająkołakiem – stwierdził Ksin. – Z tym mogę się zgodzić, ale jak to możliwe, że głowa na pajęczych nóżkach zaczęła wynajmować najemników i organizować wyprawę do Pierwszego Świata? Wszak każdy rozsądny najemnik widząc coś takiego powinien od razu uciec albo zabić...

– Bez wątpienia zatem żaden z nich nie oglądał głowy na pajęczych nogach – powiedział Ampeker. – Widzieli wielkiego maga w świecącej zbroi, kilkakroć przewyższającego wzrostem najwyższego człowieka. Słyszałem o metalach, które świecą, opowiadano mi...

– I ja słyszałem – wtrącił Kamo. – Nie można ich ruszać, bo to światło zabija, a metal parzy, albowiem sam z siebie jest rozpalony do czerwoności. W pobliżu miejsc, gdzie leżą bryłki takich metali nic nie rośnie, a zwierzęta rodzą się spotworniałe, niezdolne do życia i płodzenia potomstwa.

– To była opowieść o plemieniu zbierającym świecący metal – ciągnął Najstarszy Umysłem. – Oni usypali owe grudki na stos, robiąc ognisko, które nie potrzebowało dokładania opału i zaczęli wokół tańczyć. Wszyscy skończyli szybko i źle. W ciągu trzech dni pomarli, wyrzucając ustami krew, najpierw dzieci i starcy, potem kobiety, wreszcie wojownicy...

– A stepowy wiatr roznosi tę opowieść na przestrozę innym – dokończył Kamo.

– Lecz ktoś zrobił sobie z takiego metalu zbroję – stwierdził kotołak.

– To możliwe, choć żaden żywy człowiek nie mógłby jej nosić – rzekł Assis.

– A jeśli w środku jest upiór, ów pająkołak? – podsunął Niczro.

– Wtedy nie widzę przeszkód. Potrzebna byłaby jeszcze tylko jakaś skryta wewnątrz, na poły magiczna machina, aby całością poruszać. Lecz i to też można uczynić.

– Nawet nie będąc wysokim magiem? – upewnił się Ksin.

– Nawet – skinął głową Ampeker. – Mógłbym się o to pokusić dla ciebie, książę, bo tobie po Przemianie...

– Zatem wiemy już kto i jak – uciął dywagacje Niczro. – Teraz powiedzcie nam dlaczego?

– Nasz człowiek odrąbał mu głowę – zauważył kotołak. – A potem... – zamyślił się i spochmurniał – dane słowo nie zostało dotrzymane... W zamieszaniu zapomniałem o obietnicy, jaką mu dałem, dotyczącej wyzwolenia duszy.

– Nie sądzę, aby na tym mu zależało – skwitował uzdrowiciel. – Z pewnością nie pragnął spokojnej śmierci, lecz tego, by nie zostać pogrzebanym na wieczność wraz ze swymi myślami...

– Jednak niedotrzymane słowo stworzyło więź pomiędzy nim a naszym księciem – oznajmił Niczro. – Ta więź jest teraz sensem istnienia tego stwora. On nie pragnie się mścić, ale po prostu zabić, wygubić nas wszystkich.

– Bo jest potworem Onego – dokończył Assis.

Po tych słowach szaman zaczął nucić monotonną, niekończącą się pieśń. Pozostali w milczeniu wpatrywali się w płomień lampy. Nawet Kamo skierował tam swoje martwe oczy. Niczro nucił i kołysał się na boki, unosił i zapadał w sobie. Ksin znów poczuł odległe, lecz wyraźne wrażenie Obecności. Jakby coś zbliżyło się do śpiewającego czarownika, jakby wydobywało się z niego...

– Nie możemy opuścić naszego księcia! – przemówił nagle szaman stanowczym i uroczystym tonem. – Nie jest ważne, kto lub co postępuje w ślad za nim. Gdybyśmy tak postąpili, to brak wspólnego celu wkrótce rozproszyłby nas po stepie, jak wiatr rozprasza popiół i plewy. Do naszego księcia zaś przyłączą się inni, wolni od lęku. Ich wiara będzie niezachwiana... Oni zostaną doprowadzeni do Państwa. Ja więc wytrwam!

– Wytrwam i ja! – oznajmił Ampeker.

– Wytrwam – rzekł Kamo.

– Wytrwamy – zapewnił Assis.

– A ja przyrzekam, że was nie opuszczę – powiedział na koniec Ksin. – Potrzebuję jednak liczniejszej drużyny...

– Myślę, że teraz już nikt nie będzie odmawiał ci dwóch setek, których żądałeś na początku – stwierdził Ampeker. – Po zwycięstwie zapalu i broni jest dosyć.

– Nawet na trzy setki – zauważył Ksin.

– Trzystu mężczyzn zajętych tylko wojennym rzemiosłem... – zadumał się Niczro. – Wielki to ciężar dla pozostałych...

– Lecz do udźwignięcia, póki groźba nie przeminie – oznajmił Ampeker. – Lub póki nie przyłączą się do nas nowi wędrowcy.

Kiwnęli głowami.

Ksin wiedział, że więcej wojska nie wytarguje, choć i to było rozpaczliwie mało w porównaniu z siłą, z którą musieli się zmierzyć, a raczej z którą należało za wszelką cenę uniknąć walki...

– Niech będą trzy setki pancernych – orzekł głośno. – Radźmy teraz, co czynić dalej!

– Wszystko w rękach Boga Drogi – powiedział szaman. – Albo zechce oddalić nas od wrogów, albo skieruje prosto w ich ręce. Dziś okazał nam swą łaskę.

– Czyżby Bogowie Stepu, którym nasz książę rzucił tak zuchwałe wyzwanie, nie zamierzali bronić nam dostępu do Państwa? – spytał Assis.

– Z pewnością poddadzą nas próbie, bo Państwo jest dla dzielnych i wytrwałych – odparł Niczro. – Jak dotąd jednej próbie sprostaliśmy.

– Ale co dalej? – przynaglił kotołak.

– Niech każdy czyni to, co do niego należy i pozostanie w jedności z pozostałymi – odpowiedział szaman.

– Dobrze byłoby jeszcze postanowić o losie Najszy – przypomniał Assis. – To dziecko jest równie nieszczęśliwe, co groźne...

– Rozmyślałem o niej – skinął głową Ksin. – Chyba wiem, jak do tego doszło. Bez wątplenia Korathos miał swoich szpiegów w świecie, który zamierzał podbić, i to wielu. Ten, który nas ściga musiał porozumieć się przynajmniej z niektórymi z tych ludzi. Zdołał nakazać, aby przygotowano Najsze do zamachu na mnie i posłano ją tutaj. Nie miał jednak dość władzy i wpływów, żeby zrobiono to dobrze. Świadczy o tym choćby to, że skorzystano z usług karyjskich szpiegów na dworze króla Redrena, to jest władcy, któremu służyłem wcześniej – wyjaśnił Kamo i szamanowi. – Ci ludzie może i potrafią ukraść guzik, ale niewiele ponadto... – uśmiechnął się z politowaniem. – Mogli też zabić dziecko jednego z niższych karyjskich posłów, bowiem w ich kraju jest zwyczaj, że człowiek wyżej postawiony może odebrać życie niżej urodzonemu, jeśli tylko uzna to za przydatne dla dobra ich władcy. Rodzice Najszy po prostu dostali rozkaz okazać posłuszeństwo i zapomnieć o niej. Z pewnością usłuchali, bo jedynie najbardziej lojalnych wysyła się z Karu na obce dwory.

Zebrani w milczeniu wymienili się zdumionymi spojrzeniami. Na stepie Pierwszego Świata nawet niewolnika nie wolno zabić, nie oskarżwszy go wpieryw przed rodową starszą, która musiała wysłuchać, co ów człek ma na swoją obronę.

– Zły to kraj – stwierdził Niczro.

– Zły – przyznał kotołak – ale silny i niezachwiany w przekonaniu o słuszności swych praw. Ich wiara tworzy świat Suminoru. Jednak zabicie Najszy to jedyna rzecz, jaką mogli zrobić łatwo. Rzucenia uroku demonicznego na dworze króla Redrena nie może nie zauważyć nadworny mag Rodmin, mój przyjaciel. Co prawda Najsza nie była poddaną Redrena, więc żadnego oficjalnego śledztwa nie będzie, ale Rodmin i moje drugie wcielenie z pewnością sumiennie zbadają, co się stało i dlaczego. Jak znam siebie samego, właśnie teraz to robią. A potem z pewnością coś wymyślą, jestem o to spokojny. Jeżeli dotąd nie spadł mi na głowę żaden nowy potwór, to raczej już nie spadnie.

– Prędzej czy później nadejdzie tu suminorska pełnia... – rzucił Assis.

– Zatem musimy być czujni – odparł Ksin. – Najsza to nasza broń, bowiem każdy rzucony urok dąży do swego pierwotnego źródła. Pomiędzy nią a wodzem ścigającej nas armii, o ile się nie mylimy, istnieje znacznie silniejsza magiczna więź, niż między mną a nim.

– Ta broń ma więcej niż jedno ostrze – zauważył Assis. – Nawet więcej niż dwa ostrza... Igramy z demonem!

– Nie od wczoraj, nie od tygodnia – uśmiechnął się Ksin. – Nie zapominaj o mnie...

– Myślę, że uradziliśmy dość – oznajmił Niczro. – Pora odejść na spoczynek.

– Będzie, co przyniesie wiatr... – rzekł Kamo.

Wiatr przyniósł nowe chmury i kolejny dzień szarugi. Na stronie przeszłości rozszalała się potężna zawierucha. Początkowo nie było w tym nic dziwnego, lecz nie chciała ucichnąć ani przeminąć. Zupełnie jakby kilkanaście zwykłych burz nastąpiło najpierw jedna po drugiej, a potem wręcz po kilka na raz. Zygzyki piorunów splatały się w świetliste warkocze i zwierały w olbrzymie snopy. Huk musiał być straszny, ale jego źródło leżało tak daleko, że ledwo było go słyszeć: ginał we wszechogarniającym poszumie deszczu. Wyraźnie jednak dawało się wyczuć napływające falami drgania ziemi, które wbrew rosnącej odległości, i w miarę upływu czasu, stawały się coraz silniejsze. W centrum burzy musiało zacząć się dzieć coś dziwnego także z samym czasem, gdyż Ksin gotów był przysiąc, że te same zygzyki piorunów powtórzyły się kilkakrotnie w tym samym kształcie, co wydawało mu się złudzeniem, dopóki obserwacji nie potwierdzili Ampeker i Assis. Z kolei ślepy Kamo zaczął twierdzić, że w odległych pomrukach grzmotów słyszy powtarzające się słowa, jakich nie rozumie.

W końcu stało się jasne, że za nimi rozgrywa się nie zwykła burza, lecz starcie dwóch magicznych potęg: naturalnej magii żywiołów natury – niezwykle silnej w Pierwszym Świecie – z jednej strony, z wyrachowaną magią zaklęć i umysłu z drugiej. Ktoś spróbował narzucić swą wolę deszczowym chmurom i wiatrowi, aby wymusić poprawę pogody i sprawił, iż wszystkie żywioły powietrza sprzysięgły się przeciw niemu. Burzowe chmury z każdego nieba objawiającego się nad Pierwszym Światem spływały falami ku zuchwalcowi, by zrzucić nań ładunek ognia, wody i gradu. Po kilkunastu godzinach całe sklepienie upodobiło się do mrocznego wiru ze środkiem wypadającym gdzieś hen za płaskowyżem, na którym stał wcześniej ich obóz.

Wydawałoby się, że moce Pierwszego Świata powinny z łatwością zmieść tego, kto ośmielił się ingerować w ich porządek, ale najwyraźniej nie mogły mu dać rady. Burza trwała i trwała. Wreszcie podczas popołudniowego postoju do Ksina i Amarelis przyszedł zafrasowany Niczro.

– Teraz pojmuję! – oznajmił szaman, wpatrując się w podniebną grę żywiołów. – Wreszcie wiem, czemu Bogowie Bezkresnego Stepu są naszymi sojusznikami, choć mogli okazać słuszny gniew. Ktoś rzucił im wyzwanie większe niż my! – stwierdził dobitnie.

– Czemu tak sądzisz, czcigodny? – zapytała Amarelis.

– Ścigający nas demon jest o wiele silniejszy niż myśleliśmy. On nie zamierza poprzestać tylko na zemście... Najwyraźniej chce dołączyć do grona bóstw naszego świata. Budzi Bogów Stepu! Pragnie im wydrzeć część władzy i ustanowić tu własną domenę. A żarna tej gry, dziś nam sprzyjające, jutro mogą nas zetrzeć na kurz...

– Czyżby wszystkie tutejsze bóstwa były kiedyś demonami Onego? – spytał Ksin, poprawiając kaptur, aby deszcz nie zacinał mu w oczy.

– W istocie są demonami – odrzekł szaman. – Lecz nie to jest tu teraz najważniejsze. Powiada się, że Pierwszy Świat jest snem śniących wspólnie Bogów Stepu. Czasami owe wizje nie przystają do siebie, wtedy w miejscach ich spotkań powstają bezdenne otchłanie i wszelakie potwory z koszmarów. Lecz bogowie musieli najpierw zwyciężyć w Wojnie Snów o panowanie nad bezmiarem stepu... Musieli pokonać Śniących Koszmara oraz Budzących Zniszczenie.

– Co się stało z pokonanymi?

– Według legendy, ostatnim razem Śniących Koszmara uwięziono w wielkiej skale. Wyrwano ją z posad i wrzucono do jednego ze Światów Pochodnych. Ja myślę, książę, że ty dobrze wiesz, co to był za świat i co było dalej... – Niczro spojrzał wymownie na kotołaka.

– Więc jestem stąd?... – zapytał zdumiony Ksin.

– Wszyscy jesteśmy stąd! – poprawił go szaman. – Ludzie, zwierzęta, bogowie, demony... Ale teraz musimy być mądrzy, aby pozostać tu i przeżyć – skłonił się nisko i odszedł.

Ksin bez słowa objął pobladałą Amarelis i mrużąc oczy zapatrzył się w odległą, magiczną bitwę. Potem ruszyli w dalszą drogę.

* * *

Następny dzień, zdawało się, przyniósł jednak klęskę demonicznego uzurpatora. Po całym dniu i nocy nieprzerwanego chaosu żywiołów burza stopniowo ucichła, a przed zmierzchem trzeciego dnia wędrówki pojawiły się słońca. Było ich aż cztery, różnej wielkości, zawieszone w różnych miejscach nieboskłonu. Powołały do życia kilkanaście łuków tęczy, spiętrzonych jeden nad drugim, posplatanych razem, oszalałymi zmienną grą barw. Fiolet przechodził w zieleń, ta w czerwień, po czym nagle zapalały się smugi złota i niebieskie wstęgi.

Radość z niezmiernego widoku zwiększał fakt, że przewaga koczowników nad samozwańczym mścicielem Korathosa wzrosła co najmniej do sześciu, może siedmiu dni. W świecie, w którym najlepsi myśliwi potrafili zachować prawidłowe poczucie kierunku najwyżej przez jeden dzień marszu, oznaczało to, że swych prześladowców po prostu zgubili. Do tego dochodziło pytanie, czy ich wrogowie, znajdujący się znacznie bliżej, jeśli nie w samym środku magicznej burzy, byli w ogóle jeszcze zdolni do dalszego pościgu?

Dla pewności, rankiem czwartego dnia, gdy weszło tylko jedno, lecz bardzo jasne, błękitne słońce, Ksin wraz z grupą wojowników cofnął się godzinę marszu w przeszłość i przekonał, iż deszcz i wiatr niemal doszczętnie zatarły ślady wędrówki plemienia. Kilka dni przewagi oraz słoneczny blask, za którego sprawą step niemalże w oczach pokrywał się nową, bujną szatą zieleni, sprawiły, że wytopienie koczowników zwykłym sposobem stało się niemożliwe. Demon w parzącej zbroi mógł już tylko o nich zapomnieć i odejść tam skąd przyszedł.

Tak się jednak nie stało.

W południe znów zjawił się Niczro i z jeszcze bardziej ponurą miną oznajmił, że bitwa powietrznych żywiołów nie skończyła się klęską przybysza. Bogowie Stepu nie zdołali złamać jego woli, wobec czego część z nich przebudziła się i poszła na ustępstwa. Jakże? Wszystkich szczegółów szaman się w swoim transie nie dowiedział, ale najważniejszy był Dar Kierunku, co znaczyło, że przeciwnik uzyskał wiedzę, jak podążać dokładnie za plemieniem Ksina. Poza tym był tylko pewien, że bogowie się kłócą i nie są już ani tak zgodni, ani tak życzliwi jak kiedyś.

– Jestem demonem! – rzekł Ksin, wysłuchawszy tej wieści z zaciśniętymi zębami. – Jestem jednym z nich! Prawda?!

– Prawda, książę.

– Więc ja też, jak tamten, mógłbym stanąć do walki o władzę nad Pierwszym Światem? Niczro zbladł i zaniemówił z wrażenia.

– To więcej niż pragnąć Państwa... – stwierdził, otrząsnąwszy się z szoku wywołanego słowami kotołaka. – O wiele więcej!

– Lecząc mierząc w cel wielki, tym łatwiej osiągnąć mały – zauważył spokojnie Ksin.

– I stokroć łatwiej o zgubę... – odparł pobladły szaman. – Kimże my jesteśmy wobec...

– Jesteście plemieniem, które wierzy w powołanie swojego księcia i podąża za nim gdziekolwiek on wskaże – odpowiedział twardo Ksin.

– Tak było wyrzeczone! – Niczro pochylił się nisko przed kotołakiem.

– Jeżeli, jak mówisz, przybysz poróżnił Bogów Stepu, z pewnością są wśród nich i tacy, którzy będą nam sprzyjać, czy dobrze myślę, szamanie?

– Dobrze, książę.

– Zatem, szamanie, zaprowadzisz mnie dziś w nocy na spotkanie z Bogami Stepu, abym mógł z częścią z nich zawrzeć sojusz! – rozkazał Ksin.

Zamiast odpowiedzieć, Niczro ukląkł i dotknął czołem butów kotołaka.

– Wielki... Wielki... Wielki... – wyszeptał z nabożnym przejęciem.

Ksin zwrócił się do słuchającej ich Amarelis:

– Prawdą jest, że zapomniałem tu o swym powołaniu, ale ty przypomniałaś mi o nim i skierowałaś z powrotem na drogę, z której zszedłem. Dotąd mówiłem słowa, których nie rozumiałem do końca, spełniałem czyny, których oczekiwali inni, jednak dziś i teraz biorę oto całą naszą przyszłość we własne dłonie i pazury. Wy zaś będziecie iść za mną i gdziekolwiek dojdziemy – będzie to wielkie! Czyż nie tego chciałaś, kobieto?

Położyła rękę na sercu i skłoniła bez słowa.

Wieść o tej rozmowie obiegła koczowników jak błyskawica, porażając ich serca i umysły. Ustała wędrówka. Ludzie zbierali się w grupki i rozprawiali z przejęciem. Niektórzy mówili, że to szaleństwo i trzeba uciekać, lecz nikt się na to nie odważył. Suma nadziei, podziwu i ciekawości przeważała nad przerażeniem.

Tego dnia słońce nie zaszło, lecz zgasło. Robiło się coraz mniejsze i mniejsze, aż stało się tylko jedną z gwiazd i dzień przeszedł w noc. Na granicy okręgu wyznaczonego przez szamana zebrał się gęsty tłum. Wewnątrz byli jedynie Niczro i Ksin. Siedzieli naprzeciw siebie, a pomiędzy nimi paliła się oliwna lampa zrobiona z czaszki poprzedniego szamana.

Niczro, ubrany tylko w przepaskę biodrową, w wielkim skupieniu rozkładał narzędzia i ingrediencje – dużą srebrną łyżkę, szpilkę, mały nóż, suszone zioła oraz świeże grzyby dwojakiego rodzaju: drobne, fioletowe, których kapelusze od spodu wydzielaly wyraźny, niebieskawy blask oraz jeden duży, intensywnie zielony, tak trujący, że jego soku używano do zatruwania strzał. Obok postawił czarnego kota i rudego gołębia. Zwierzęta były zauroczone i czekały spokojnie, niemalże bez ruchu. Na zewnątrz nikt nie ważył się nawet szeptać.

Ksin siedział zupełnie nagi. Na znak szamana całkowicie przekształcił się w kotołaka i obserwował przygotowania palającymi zielono oczami. Niczro otworzył sobie żyłę na nadgarstku i napełnił łyżkę najpierw własną krwią, potem utoczył odrobinę krwi z gołębia oraz kota i zmieszał z ludzką. Po tym zabiegu zwierzęta natychmiast oprzytomniały, ptak odleciał, a prychający kot uciekł między ludzi. Szaman nie poświęcił im już uwagi. Do krwi wrzucił zgniecione, fioletowe grzyby, kawałek kapelusza trującego, szczyptę ziół i wszystko to zaczął grzać nad płomieniem lampy.

– Trucizna i odtrutka... Światło i ciemność... – mruczał ni to szepcząc zaklęcia, ni to tłumacząc Ksinowi. – Krew kota dla pokrewieństwa... Krew człowieka na pokarm... Krew gołębia dla łagodności... Jad, by usunąć życie... Lek, by życie sprowadzić... i drugi lek, żeby umysł odwrócić od oczu, aby wejrzał w siebie... Przez siebie... Poza siebie... i ponad siebie! Krew ludzka, by bestię przywołać... Krew gołębia, by bestię ułagodzić... Krew kota, by wniknąć w naturę...

W chwili, gdy składniki na łyżce zawrzały, znikła ciemna barwa krwi, płyn stał się przejrzysty i zaświecił mocnym, błękitnym światłem. Niczro zaczął śpiewać niezrozumiale, coraz szybciej, a zawartość łyżki, mimo iż wciąż trzymano ją w ogniu, przestała wrzeć i wyglądać jak płyn; była samym światłem, w którym unosiły się resztki grzybów i ziół. Wtedy szaman ulał kilka kropli tej substancji na wciąż krwawiącą ranę na swym nadgarstku. Ta zaświeciła czerwono, za chwilę zaś zapłonęły czerwienią wszystkie żyły wokół rany, przybierając postać szkarłatnych linii, prześwitujących przez skórę i rozpełzających się w górę ramienia na resztę ciała. Pokryły szyję, twarz i czoło szamana, ujawniły kłęb tętnic mózgu, pulsujące serce. Wkrótce widać było już cały krwioobieg Niczro. Ten przestał śpiewać i pochylił się w stronę kotołaka, przystawiając mu do pyska łyżkę pełną wrzącego światła.

– Pij! – rozkazał.

Płyn był bardzo zimny. Zaledwie go przełknął, jego oczy zabłysły fioletowym spojrzeniem demonicznej bestii, lecz od razu zgasły. Dusza kotołaka wysunęła się z ciała tak

łatwo, jak dłoń z rękawiczki. Wstał, a raczej uniósł się i spojrzał na swoje warujące nadal ciało oraz szamana, który był teraz tylko człękoksztalnym splotem świecących linii.

Kotołak odwrócił się i powiódł wzrokiem po zgromadzonych wokół koczownikach. Nie widział ludzi, tylko ich dusze – mgliste płomyki, silniejsze lub słabsze, u kobiet w ciąży podwójne lub potrójne w przypadku bliźniąt. Amarelis rozpoznał natychmiast, choć nie widział jej twarzy, po prostu wiedział, że to ona. Płomyk duszy ich dziecka migotał żywo, połączony ognistą nicią z duszą matki.

Chciał podejść bliżej, może nawet ich dotknąć, ale przemieniony szaman nie pozwolił na to. Bez słowa pokazał ręką w dół. Ksin zobaczył, że ziemia gdzieś znikła. Unosili się nad mroczną otchłanią. Niczro zanurzył się w nią, a kotołak podążył za nim.

Okazało się, że świetlisty krąg dusz koczowników nie unosi się na jednej wysokości, lecz jest mniej lub bardziej zagłębiony w otchłań. Najwyżej były dusze ciężarnych kobiet i dzieci, niżej i mocniej świeciły ognie wojowników, jakby wyznaczając krawędź otchłani, poniżej której opadały wolno, nieuchronnie ogniki starców oraz pełgały nieśmiało przygaszone dusze niewolników.

Kotołak z łatwością rozpoznawał światełka znanych mu ludzi. Ognie Arpii i Hakonoża wirowały jeden wokół drugiego, niby dwa świetliki. Nisko, ale spokojnie świecił Ampeker. Na samym dole lśniła mętym, nieruchomym światłem martwa dusza Saro. Obok, naznaczona czerwonym znamieniem, przypominającym oparzelinę, miotła się w konwulsjach Najsza.

Ksin i Niczro opadali coraz niżej, aż wieniec dusz pozostał nad nimi i wreszcie zniknął wraz z poczuciem kierunku.

Nie przebywali w pustce. Raczej przypominało to sen. W istocie był to sen śmierci. Obaj śnili go w pełni świadomie, choć każdy na swój sposób. Wokół przesuwwały się kształty – nie rzeczy jednak, a pojęć. Strzępy wspomnień wirowały jak płaty sadzy w ciemności. Umysł Ksina nie oglądał ich, lecz ogarniając rozszerzał się, obejmując kolejne. Zawsze wydawały się znajome. Poznawał je, mimo że z pewnością nie były jego. Widział zmysłowe nagie kobiety, których nigdy nie znał, mężczyzn, których nie spotkał i zdarzenia, w jakich nie brał udziału. Były to fragmenty wspomnień odpadłych wcześniej od opadających w otchłań dusz umarłych. I nie tylko wspomnień. Chwilami wydawało się, że leci nad stepem i widzi maszerujące w dole wojska. Niczro niemo nakazał przyspieszyć, a wtedy złudne majaki przestały przyczepiać się do umysłu kotołaka i pozostały gdzieś poza nim.

Otoczyli ich niepostrzeżenie. Nie było nic widać, tylko czuć emanacje Obecności i słabej złej woli. Dotknęły go i z łatwością dały się odepchnąć, wręcz rozpierchły w popłochu, gdy tylko zdobył się na sprzeciw. Były to jakieś poślednie demony. Ksin poczuł przypływ pewności siebie. Stał się tylko wołą, podążającą tam, gdzie wyczuwał istnienie podobnej. Wokół nie było żadnych uczuć – ani życzliwości, ani gniewu, ani ciekawości. Jedyne, co dało się nazwać to pierwotne trwanie. Rozstąpiło się, robiąc miejsce dla duszy kotołaka,

jednocześnie powstało zawirowanie woli usiłujące go wypchnąć. Stanowczo i mocno nie pozwolił na to. Przez mgnienie myśli jego i tamte piętrzyły się, usiłując jakby przerosnąć się wzajemnie, po czym mentalne starcie ustało nagle. Zabłyśły obrazy przyszłości. Teraz już wiedział na pewno, że to przyszłość – wizje były wyraźne i szczegółowe, ale od razu je zapominał. Pozostały mu tylko dwa silne wrażenia: pewność nadchodzącej próby oraz miejsca, gdzie miała nastąpić. To ostatnie zamieniło się w niezachwiane poczucie kierunku.

To wrażenie wciąż było w nim, kiedy otworzył oczy i spojrzał na szamana siedzącego po drugiej stronie płomienia chyboczącego się nad otwartą czaszką. Niczro wyglądał już normalnie. Rana na nadgarstku się zabiłiżniła.

– Uznali cię, książę, za jednego spośród siebie – orzekł.

Ksin cofnął Przemianę, aby móc mówić.

– Zostałem jednym z Bogów Stepu? – zapytał.

– Może kiedyś... – Niczro pokręcił głową. – Na razie dostrzegli w tobie kogoś równego im naturą, nie władzą. Ponieważ kolejna wojna Bogów Stepu zawisła na włosku, zdecydowali, że rozstrzygną to za pomocą gry pomiędzy tobą a Świetlistym, bo takie imię przyjął ten, który nas ściga.

– Skąd wiesz to wszystko? Mówili ci to?

– Mówili do nas obu, lecz ty, książę, nie jesteś szamanem i nie umiesz słyszeć. Potrafisz tylko wyczuć Obecność...

– Dobrze, mów dalej!

– Jeżeli wygrasz, bogowie i demony, które opowiedziały się za Świetlistym odstąpią ci część swojej władzy nad Bezkresnym Stepem. Jeżeli przegrasz, popierający ciebie uczynią to samo dla Świetlistego. Obaj uzyskacie taką pomoc, aby wasze szanse były równe.

– Jesteśmy igraszką w ich rękach! – syknął Ksin.

– To prawda – przyznał Niczro. – Lecz zawsze tak było. Wszakże prawdziwą igraszką byłbyś wtedy, gdybyś nie okazał woli świadomego uczestnictwa w tej walce. Ta wyprawa opłaciła się, bo sprzyjające ci demony nie muszą tobą manipulować, lecz mogły pomóc ci wprost, książę. Czy czujesz Kierunek Drogi?

– Tak.

– To ich podarunek. Po to właśnie szamani ludów Bezkresnego Stepu od tysięcy pokoleń wyruszają w zaświaty, by przynieść stamtąd wiedzę dokąd iść, skoro nie można wyczytać jej z gwiazd.

Szaman wstał i zwrócił się do zgromadzonych koczowników:

– Nasz książę został wysłuchany! – oznajmił. – On jest Tym Który Wie!

Wybuchła radosna wrzawa. Tłum przestał baczyć na granicę kręgu. Jedni podchodzili dowiedzieć się więcej, inni pokłonić się kotołakowi albo dotknąć wybrańca.

Dał znak, że chce przemówić. Natychmiast zapadła cisza.

– Jutro pójdziemy inaczej niż zwykle! – powiedział, stojąc nagi wśród pochylonych z szacunkiem głów. – nie szeroko, przed siebie, lecz ustawieni w marszową kolumnę, którą poprowadzę. Musimy jak najszybciej podążyć do miejsca, gdzie dopełni się nasz los!

– Jaki będzie ten los? – ośmielił się zapytać Ampeker.

– To zależy od tego jak wiele męstwa i rozumu potrafimy okazać – odpowiedział mu Niczro. – Niech wojownicy naostrzą miecze, kobiety nakarmią dzieci, a starcy w ciszy oczyszczą swe umysły, aby mogli udzielić dobrej rady!

– Nasz wróg nie zagubił się w Bezkresnym Stepie, lecz podąża za nami! – ogłosił Ksin. – Nie zdołamy uniknąć spotkania, ale i tym razem wybierzemy pole bitwy!

Odpowiedział mu entuzjastyczny wrzask młodych wojowników. Przez tłum przepchnęła się Amarelis z płaszczem i narzuciła go na ramiona męża. Zebrani zaczęli się powoli rozchodzić, komentując słowa księcia i szamana. Wszyscy byli całkowicie przekonani, że Państwo jest tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki...

* * *

– Czy to rozsądne? – zapytał następnego dnia Ampeker. Zrównał się z jadącym na koniu Ksinem, oglądając długą kolumnę ciągnących się za nim wozów, jeźdźców i piechurów. – W ten sposób tylko przejadamy zapasy, bo niewiele zdołamy zebrać...

– W zamian posuwamy się dwakroć szybciej niż zwykle – zauważył kotołak.

– Dokąd? – uniósł brwi Najstarszy Umysłem.

– Tam! – Ksin pokazał przed siebie. – Do miejsca, gdzie powinniśmy jak najszybciej dotrzeć.

– Czy tam jest nasze Państwo?

– Tego nie wiem, ale tam spotkamy się z naszym wrogiem, który już dobrze wie, gdzie nas szukać... Wskazuje drogę swoim ludziom równie pewnie jak ja wam.

– Skąd wiesz, książę, że to jest dobre miejsce?

– Cóż tak zachwiało twą wiarą, Ampekerze? – odpowiedział pytaniem. – Byłeś wszak świadkiem mojej podróży w zaświaty, gdzie otrzymałem Dar Kierunku. Co więc cię dziwi i niepokoi?

– Brak wspomnień czegoś podobnego w pamięci mojej i Kamo – odpowiedział poważnie starzec. – Nigdy dotąd nie proszono bogów o Dar Drogi, żeby spotkać się z wrogiem, lecz po to, by uniknąć niebezpieczeństw, wyjść z matni albo z bezwodnej pustyni. O tym, co ty czynisz, nie ma żadnej legendy.

– Zatem spełniamy ów czyn jako pierwsi! – stwierdził lekko kotołak.

– Jest jeszcze inne wytłumaczenie i to ono nas martwi – odparł pośpiesznie Ampeker.

– Jakże?

– Jeśli nie powstała legenda, to znaczy, że nikt nie ocalił wspomnień, a więc nikt nie przeżył...

– Ampekerze! – spoważniał Ksin. – Z pewnością nikt nie przeżyje, jeśli armia najemników osaczy nas w stepie. A osaczą prędzej czy później, bo sprzyjający im Bogowie Stepu wskazują Świetlistemu nasz trop. Zaufajmy zatem naszym nadnaturalnym sprzymierzeńcom, że wybrali najlepsze możliwe miejsce na spotkanie z liczniejszym przeciwnikiem.

– Zatem nie ma ucieczki – stwierdził starzec, spoglądając kotołakowi w oczy. – Możemy tylko zwyciężyć lub zginąć...

– Tak się złożyło, Ampekerze – odparł z prostotą kotołak. – Widocznie takie jest nasze przeznaczenie! A teraz pora usłyszeć najnowsze wieści... – zjechał na bok, wstrzymał konia i razem z milczącym starcem zaczekał, aż minie ich część wozów.

W środku kolumny posuwał się Wóz Wieżowy, zwany pospolicie Wieżą, choć w istocie był to zwykły maszt, którego podstawę tworzył zaopatrzony w koła ostrosłup z drewnianych bali. Na chwiejącym się we wszystkie strony czubku masztu, na wysokości dziesięciu dorosłych mężczyzn, kołysał się przywiązany doń obserwator, wpatrzony w widnokrąg stepu. Całą tę konstrukcję ciągnął Wół, kierowany przez siedzącą mu na ramionach Morę. Był mimo wszystko dużo zręczniejszy od konia lub strusia i nie było obaw, że wystraszony czymś nagle szarpnie, poniesie i przewróci cały wehikuł. Poza tym na nierównej drodze – w przeciwieństwie do konia – potrafił szybko puścić dyszle, przestać ciągnąć, a zacząć pchać lub przytrzymać tracącą równowagę podstawę Wieży. Tak czy owak człowiek na górze musiał mieć krew jak lód, a żołądek z żelaza...

– Co nowego?! – zawołał Ksin, unosząc głowę.

– Błyski daleko w tyle! – odkrzyknął obserwator, przekrzykując trzeszczenie wiązań Wieży, sapanie Woła i rytmiczne skandowanie Hory, która w ten sposób podawała mężowi rytm i tempo marszu. Mężczyzna nie był już bowiem na tyle bystry, by samemu dostosować krok do drogi i przewidzieć, co się stanie, gdy pod któreś z kół dostanie się jakiś większy kamień. Od myślenia była jego żona.

– Jak daleko i co mówią?! – dopytał się kotołak.

– Trudno roze... eezna... ac! – zaciągnął obserwator, bo właśnie szczyt masztu zakołysał się wyjątkowo mocno.

Ampeker szybko poruszył grdyką, jakby od samego patrzenia śniadanie podeszło mu do gardła. Hora gwałtownie szarpnęła męża za ucho i wydała z siebie pełen dezaprobaty odgłos: „Eeeeeeee”. Wół posłusznie skorygował kurs, wywłócił tylne koło Wieży z jakiejś bruzdy i po chwili obserwator na szczycie odzyskał zdolność mówienia.

– Będzie cztery, pięć dni! – zawołał pospiesznie, korzystając z chwili względnego spokoju. – Zawsze za nami, jak po sznurku!

– Szybko idą! – stwierdził Ksin, spoglądając na Ampekera. – Nadrobili przynajmniej jeden dzień zwłoki...

Starzec pokiwał w zadumie głową.

– Znaczenia znaków nie widać wyraźnie! – kontynuował obserwator. – Ale chyba się nawołują!

– Niech goniec da mi znać, jak tylko uda ci się odczytać jakiś cały rozkaz!

– Tak, książę!

– Ampekerze, zapytaj mnie jeszcze raz, czy to jest rozsądne? – rzekł Ksin z przekąsem. – Gdybyśmy dalej szli poprzednim tempem, nasza przewaga nie byłaby teraz większa niż trzy dni.

– Miałeś rację, książę. Pójdę pomówić z Kamo – najstarszy Umysłem skłonił się i odjechał.

Kotołak poczekał jeszcze, aż nadjadą wozy z rannymi i skinął na krzątającego się na jednym z nich Assisa. Chmurna mina uzdrowiciela wskazywała, że i dziś na wieczornym postoju przyjdzie rozpaść stos, a o wschodzie rzucić na wiatr popioły kolejnego zmarłego po drodze koczownika...

– Gorączka i gorączka! – sarknął uzdrowiciel, sadowiac się na koźle tak, by móc wygodnie rozmawiać z siedzącym na koniu Ksinem. Woźnica natychmiast zsiadł, przeszedł na przód zaprzęgu i zaczął prowadzić muły za uzdę.

– Wiatr i wilgoć nie posłużyły najciężej zranionym... – westchnął. – Przynajmniej trzech więcej zdołałbym uratować, gdybyśmy mogli trzymać ich w cieple i spokoju.

– Jak mały Takrin? – zagadnął Ksin.

– Jeszcze dzień, dwa... – machnął ręką Assis. – Dłużej z taką gorączką na pewno nie przetrzyma... Szkoda mi tej nieszczęsnej kobiety.

– Szkoda – przytaknął z powagą kotołak.

– Wszakże nie o tym chłopcu chciałeś, książę, ze mną mówić, nieprawdaż?

– Chciałbym, abyś uleczył Najszą – odpowiedział wprost.

– Sądzisz, książę, że ja nie? – wzruszył ramionami uzdrowiciel. – Myślałem o tym nie raz, lecz nic tu po mnie.

– Dlaczego?

– Bo najpierw trzeba zdjąć z niej urok.

– Nie potrafisz?

– Potrafię, tylko wtedy ona natychmiast wykrwawi się z rany na sercu.

– Więc najpierw zaszyj tę ranę.

– Póki Najsza jest demonem, jej ciało nie przyjmie żelaznej igły, nie da się założyć szwów...

– A srebrną igłą? – podsunął kotołak.

– Dostanie szalu z bólu. Na dodatek trzeba by szyć srebrną nicią, co sprawi, że rana się mocno zaogni i ten stan pozostanie po złamaniu czaru. Jak sądzisz, książę, jak długo można żyć z jęczącą się raną na sercu? To jest rana pierwotna, przez którą zadano urok, a takie nie poddają się naturalnemu leczeniu, póki urok zachowuje moc. Leczenie magiczne zaś oznacza zdjęcie uroku i koło się zamyka...

– Naprawdę nie ma innego sposobu?

– Jest. Jednocześnie zdejmować urok i szyć ranę. Wymaga to wielkiej zręczności, a z tym... – bezradnie poruszył swym szponem – odważyłbym się, gdybym miał obie ręce i dwadzieścia lat mniej. Teraz tylko bym ją zabił. Jestem tego równie pewny jak tego, że tu z tobą, książę, rozmawiam.

– A gdyby pomógł ci ktoś o zręcznych palcach?

– I o tym myślałem, lecz nie znam nikogo takiego.

– A złodziejskie palce Saro?

– Mój książę! – westchnął ciężko Assis. – Żeby był z niego pożytek, przynajmniej połowa jego opowieści o złodziejskich przewagach musiałby być prawdą, a obawiam się, że nasz Saro przypisał sobie daleko więcej cudzych zasług niż możemy sobie wyobrazić. Zresztą, nie ma o czym mówić, od kiedy ten dureń zaczął żreć szale. Zmierza prostą drogą do tego, by stać się żywym trupem! Trzeba raczej dopilnować, aby w chwili Przemiany nie było w pobliżu żadnych dzieci...

– Widziałem jego duszę – skinał głową Ksin – i będę o tym pamiętał. Wszakże coś jednak powstrzymuje Saro przed ostatecznym opadnięciem w otchłań. Niczego także to zauważył...

– Z pewnością widziałeś też duszę Najszy, książę. To stąd ta rozmowa?

– Tak – odrzekł. – Ona cierpi.

– Więc pozwólmy jej się wyzwolić.

– O tym właśnie z tobą mówię, Assisie.

– Mam na myśli inne wyzwolenie, przykro mi, książę. Niepotrzebnie ją oszczędziłeś.

– Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak wybrać czas i miejsce śmierci Najszy tak, aby było to dla nas możliwie najbardziej korzystne... – wycodził przez zęby.

– Takie jest przeznaczenie księcia – odrzekł spokojnie uzdrowiciel. – I nie pozwól, by twoja litość powstrzymała cię przed tym.

– Nie ty pierwszy mi o tym mówisz!

6. PUSTYNIA ZMIAN

– Zrobisz to! – rozkazał Ksin tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Saro popatrzył na niego błędnym wzrokiem. Odruchowo sięgnął po zawieszony na szyi woreczek z ziarnami szaleju, ale powstrzymał go przed tym zimny błysk w oczach kotołaka. Spuścił więc głowę i zapatrzył się na swoje drżące dłonie.

Obok Najsza zmieniała Czemo opatrunek. Myśliwy został poważnie ranny w bitwie o skarpę. Bełt z kuszy trafił go w plecy, na szczęście nie wprost; omsknął się po łopatkę i przebił na wylot mięśnie lewego ramienia. Gładka dziura w mięśniach ręki goiła się dobrze, ale poszarpana bruzda na plecach Czemo wciąż nie chciała się zasklepić, jątrzyła się i ropiała. Najsza dobrze poradziła sobie z oczyszczaniem rany, usunęła strzępy martwej skóry i ropę, aż pojawiła się świeża krew. Jej widok podniecił dziewczynę i gdy sądziła, że Ksin na nią nie patrzy, ukradkiem oblizwała zakrwawione palce, a wtedy zew Obecności modliszkołaczki zawibrował wyraźniej. Czemo nic nie zauważył; posykurując z bólu powoli wyprostował i zgął lewą rękę, próbując przywrócić jej sprawność.

On i Najsza, choć z różnych przyczyn, byli tak skupieni na ranie, że nie zwrócili uwagi na gniewny ton rozmowy Ksina i Saro. Słów zrozumieć nie mogli, bo obaj mówili po suminorsku i starannie unikali wymawiania imienia dziewczyny.

– Powtórz! – zażądał kotołak.

– Mam powiedzieć jej... – Saro obejrzał się na Najszą – że musi zginąć... że już została zabita... – poprawił się szybko. – Że jedyne, co może teraz uczynić, to zemścić się na tym, kto przerwał jej życie. Musi tego świadomie chcieć... Nie, książę! Nie! Nie! I nie! Najpierw Bertia, teraz ona?! – wybuchnął łotrzyk. – Dlaczego tak musi być?!

– Bo nie może być inaczej! – uciął Ksin. – Naprawdę chcesz, żeby to słodkie dziecko odgryzło ci głowę? Assis mówi, że to już niedługo...

– A dlaczego nie może być z nią tak jak z tobą, kapitanie? Ty pokonałeś w sobie ten instynkt...

– Bo nie mamy czasu, a ona, choć jeszcze w połowie dziecko, jest już na to za stara.

– Więc niech chociaż nie będzie tego świadoma, niech zginie we śnie...

– Nie Saro, ma być tak jak mówię! Ona musi wiedzieć, musi rozumieć, bo tylko wtedy da się sprawić, aby zły czar wrócił do swego źródła. I ty jej to wytłumaczysz! A jeżeli, zamiast

to zrobić, znów najesz się szaleju, to przysięgam, że nakarmię cię wtedy rozżarzonymi węglami! Zrozumiałeś?!

– Zrozumiałem...

– Masz to zrobić dzisiaj, najdalej jutro do południa!

– Przeklinam dzień, w którym cię spotkałem, kapitanie! – jęknął Saro. – Wcześniej wszystko było takie proste. Miałem podle skończyć na szafocie, to było jasne, ale przedtem mogłem brać z życia wszystko, co ono dawało. Nie troszczyłem się o nic, nic nie czułem i tak było dobrze. Teraz, przez ciebie, przez Bertię, przez to wszystko... jestem tylko kłębkim bólu...

– Dosyć! – zagniewał się Ksin. – Przestań się nad sobą użalać!

– Ja jestem małym człowieczkiem, nie chcę czuć, że są rzeczy większe ode mnie!

– Takie jak miłość do Bertii? – rzucił kotołak.

– Ból miał sens wtedy, gdy ona go zadawała... – Saro zwiesił głowę. – A teraz ta mała... Tak samo jak ja wyrwana stamtąd, gdzie jej było dobrze, i rzucona w sprawy wielokrotnie większe od niej... I też przez ciebie, kapitanie...

Ksin miał już dość tej rozmowy.

– Przestań udawać kiepskiego poetę! – wybuchnął. – Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda? Taka, że być może dałoby się ją uratować, gdyby nie twój szalej i rozdygotane ręce!

Saro zapatrzył się na niego szeroko otwartymi oczami.

– Musi umrzeć, bo nie możesz jej pomóc! – dobił go. – Więc przynajmniej bądź jej przewodnikiem na tamtą stronę.

– Nie... – jęknął łotrzyk z niedowierzaniem.

– Dziś lub jutro! – powtórzył stanowczo. Potem skinął głową Czemo i Najszy, mocno już podnieconej widokiem rany, i prędko odszedł.

Czuł się źle. Może nawet gorzej niż Saro. Wiedział, że właśnie wydarł z serca łotrzyka resztki duszy. Najgorsze, że taka właśnie była teraz jego rola – rozkazywać i nie okazać słabości. Nikomu nie wypadało się zwierzyć. Wszelki sprzeciw go drażnił, ale im większe posłuszeństwo okazywali wszyscy wokół, tym bardziej był samotny. Ostatnio, chwilami nawet na Amarelis patrzył niczym na cień. Po szamańskiej podróży w zaświaty w oczach koczowników stał się półbogiem, wyrósł zbyt wysoko, aby nawet jego dumna żona mogła go dalej wspierać. Znowu dostrzegał w jej oczach tę samą nieśmiałość, co na początku znajomości... Tak, wiedział to dobrze, to właśnie było brzemień władzy. Nie mógł go zrozumieć nikt, kto tego brzemienia nie nosił. Tylko inny władca... Może król Redren...

Zaczął zastanawiać się, jak Redren może to wszystko znosić i jak krótka jest droga od władzy do szaleństwa?

Na dodatek od samego rana prześladował go zapach zupy grzybowej... Poczul ją rano, kiedy ruszali w drogę i teraz w trakcie krótkiego, południowego postoju, gdy poszedł

rozmówić się z Saro. Nikt inny tego nie czuł, więc kotołak miał wrażenie, że w istocie traci zmysły...

Przystanął popatrzeć, bo wzdłuż szeregu wozów z łoskotem kopyt, wzbijając tumany kurzu, przegalopowało stu ciężkozbrojnych. Trenowali szarżę w zwartym szyku. Podzielona na trzy setki drużyna Ksina ćwiczyła to nieustannie – w czasie marszu i na postojach, po kilkanaście godzin dziennie póki konie i jeźdźcy zupełnie nie opadli z sił. Efekty było już widać, bo na szczęście stepowi jeźdźcy nie byli całkowitymi nowicjuszami, a wierzchowce już wcześniej przyuczono do rozmaitych sztuczek, przydatnych w walce i podczas polowania. Ludzie i konie musieli tylko przyzwyczaić się do noszenia zbroi, a cała reszta sprowadzała się do wyuczenia nowej zasady: w galopie nie ścigać się, lecz pilnować wzajemnie. Jeźdźcy pojęli to szybko, zwierzęta wolniej, ale postęp był. Potrafili już utrzymać szyk w pełnym galopie na dystansie dwustu kroków, co było niezbędnym minimum wymaganym od jazdy na polu bitwy. Choć nadal szli w rozsypkę, gdy trzeba było w biegu zmienić front. Kotołak poważnie obawiał się, że nie zdążą się tego nauczyć przed nową bitwą. Tym bardziej przy tym nalegał na kontynuowanie ćwiczeń, nawet szesnaście godzin dziennie, jeżeli pozwalała na to pogoda. Dowodzona przez Czaszkuna setka radziła sobie najlepiej; podczas nawrotów gubili szyk dopiero w połowie manewru, tak że ustawienie się do kolejnej szarży zabierało im najmniej czasu. Czaszkun, który nie mógł krzyczeć, wymyślił system wydawania rozkazów za pomocą dwóch oszczepów; przy ich grotach umocował kity barwionego na czerwono końskiego włosia. Ten sposób przejęli Datro i Alkran, młodzi wojownicy, którzy wyróżnili się w bitwie o skarpe i z tej racji zostali dowódcami dwóch pozostałych setek.

Oprócz jazdy istniał jeszcze oddział piechoty: stu pięćdziesięciu łuczników, kuszników, procarzy i halabardników. Sformował się cokolwiek samorzutnie pod dowództwem Hakonoża – z wojowników i wojowniczek, których po bitwie o skarpe nagle bardzo przybyło. Każdego ranka chodzili ćwiczyć razem z nim. Służyła tu też Arpia, której podlegało trzydzieści łuczniczek i procarek. Hakonoża najbardziej jednak cieszyło dwudziestu młodych, pragnących nauczyć się władać zdobycznymi halabardami. Poświęciłby się im całkowicie, gdyby nie Ksin: nakazał wszystkim ćwiczyć walkę w czworoboku oraz manewry we współdziałaniu z jazdą.

Czterystu pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet stanowiło absolutnie wszystko, co plemię mogło wystawić do otwartej bitwy. Reszta zdolnych do walki koczowników musiała bez przerwy polować, aby dostarczyć dość żywności. Nie mogli tracić czasu na szkolenie wojenne i w razie czego nadawali się tylko do obrony wozów. Starszyzna w milczeniu przyjęła fakt dokonany przez Hakonoża, ale otwarty sprzeciw wisiał w powietrzu, gdyby Ksin spróbował przeciągnąć strunę i zaokrąglić swą drużynę choćby do pięciu setek. Okres wielkiego dostatku, gdy obozowali na płaskowyżu był już tylko wspomnieniem, a mimo wysiłków myśliwych i kobiet zbieraczek, zapasy kurczyły się nieubłaganie. Widowym tego znakiem był fakt, że na każdy posiłek w coraz większej części składały się suchary oraz

wędzone i suszone mięso. W zamian z każdym dniem coraz mniejsze stawały się racje jarzyn, owoców i świeżego mięsa. Nie było nawet czasu mleć ziarna na chlebowe placki i gotować polewek. Może dlatego tak uparcie krążył za kotłakiem zapach grzybowej zupy...?

Po raz trzeci poczuł go jakieś dwie godziny po wyruszeniu z południowego postoju. Wpadł w złość, bo nieco wcześniej obserwator z Wieży przekazał, że mimo ich wysiłków armia Świetlistego nadrobiła kolejny dzień. Wciąż wysyłali sygnały z zapytaniem: „Gdzie jesteście?”, z czego wynikało, że zgubił im się przynajmniej jeden duży oddział, ale pociecha z tego była niewielka, bo oddział ten mógł być wszędzie, nawet przed koczownikami...

Jechali pod wiatr, który przyniósł nagle falę smakowitego, grzybowego zapachu. Kotłak zaczął kląć, ale przerwał w pół słowa, kiedy spostrzegł, że tym razem inni też to czują... Zniecierpliwiony uderzył konia piętami i zostawiwszy straż przednią pognął dokładnie w kierunku źródła przyjemnej woni.

Nie musiał jechać daleko. Z całą pewnością eskorta nie straciła go z oczu w chwili, gdy gwałtownie ściągnął wodze i stanął jak wryty.

– Witaj, kapitanie! – powiedział Hamnisz, zamasyście mieszając w kociołku zawieszonym nad ogniskiem. – Jak zwykle przybywasz w porę i pewnie jak zwykle bez łyżki, co?

– Hamnisz?! – nic mądrzejszego kotłak nie potrafił wykrztusić.

– Masz, kapitanie, pozdrowienia od samego siebie – oznajmił beztrosko Ronijczyk. – I od maga Rodmina też. To on sprowadził mnie tutaj i postawił na twojej drodze. Może trochę za wcześnie, więc rozejrzałem się trochę po okolicy i wyobraż sobie, kapitanie, trafiłem akurat na ronijskie grzyby! Żał było zostawić, no i jest... – wskazał na kociołek. – Zejdiesz i zjesz, czy będziesz tak siedział i patrzył na mnie jak na ducha? Bo jeśli o mnie chodzi, to jestem głodnym duchem i już biorę się do jedzenia! – wyjął z sakwy dwie łyżki i zestawiał kociołek z ognia.

Kotłak zsiadł z konia, uwiązał go do krzaka i przysiadł obok Hamnisza. Kusza Ronijczyka leżała opodal w cieniu, jak zwykle pieczołowicie okryta kaftanem. Ksin wziął podaną łyżkę i zaczął jeść. Dawno już nie miał w ustach nic tak dobrego. Razem z grzybami najemnik rozgotował rozmaite ziemne bulwy, spośród których kotłak zdołał rozpoznać rzepę, rzodkiew i kalarepę, tworzące tak niezwykłą kombinację smaków, że wyjaśnień najemnika dało się słuchać tylko jednym uchem.

– Wynajęli mnie... – mówił Hamnisz między jednym a drugim siorbnięciem – Rodmin i twoje pierwsze ja. Rzekli, że masz kłopoty, bo ktoś zrzuca ci na głowę upiory, zatem przekonali mnie – brzęczącą monetą, a jakże! – abym i ja też spadł ci z nieba... Rzecz jasna z solidnym zapasem srebrnych grotów – wskazał na kołczan obok kuszy. – Są nawet trzy berylowe, mag Rodmin się postarał...

– Ogromnie cieszę się, że cię widzę! – Ksin zdołał się wreszcie odezwać.

– Ja też się cieszę, kapitanie, choć widziałem cię całkiem niedawno... Ale widzę, że mocno sierścią porosłeś! Takie tu chłodne noce, czy kobiety? Jakże ta twoja młoda dzikuska, kapitanie? Nie dość stara się dziewczę w łożu, czy lubi futra...?

– Amarelis jest moją żoną i przyszłą matką mego dziedzica – odrzekł nie wiedząc, czy się śmiać, czy gniewać. – Jestem tu księciem, a ona mą księżną...

– A to wobec tego proszę o wybaczenie! – oznajmił Hamniesz z szelmowskim uśmiechem, który przeczył zawartej w głosie pokorze. – Księżna pani, powiadasz, kapitanie? Pani na tych błoniach bez końca? A ty sam – księżę... – pokręcił głową. – Ciekawe, co powiedziałaby na to twój Redren?

– Jak go znam, pewno najpierw uśmiełby się do łez, potem kazał wychłostać swego błazna za to, że nie wpadł na taki przedni dowcip, choć należało to do jego obowiązków.

– I czyż nie lepiej było być dalej kapitanem gwardii?

– Wtedy wszystko było prostsze... – westchnął Ksin, odkładając łyżkę.

– Bo nie trzeba było samemu decydować o cudzym życiu i śmierci? – zagadnął Hamniesz z zaskakującą powagą.

– W walce, w bitwie, gdy krew gorąca, to wszystko jest łatwe, wykonujesz rozkaz, wydajesz rozkaz... – kotołak machnął ręką. – A jak się jest wodzem, trzeba wszystko obmyślać zawczasu, z zimnym wyrachowaniem...

– Wiem – skinął głową Ronijczyk. – Dlatego, powiadam ci, kapitanie, najlepiej być wolnym i od dobrej rzezi do dobrej wyżerki wieść sobie żywot najemnika pocziwego...

– Mamy teraz na karku jakieś półtora tysiąca tych pocziwych ludzi – odrzekł Ksin, otrząsając się z melancholii.

– A ty ilu masz wojowników, kapitanie?

– Niecałe pięć setek.

– No tak! – Hamniesz teatralnie przewrócił oczami. – Wiedziałem, czułem, że w tym moim nowym kontrakcie musi być jakiś haczyk!

– Maszerują podwójnym tempem – dodał kotołak.

– Znaczący mają na was duży apetyt... – stwierdził Hamniesz, smakując z zadowoleniem rozgotowanego grzyba. – Co takiego im zrobiliście, że tak się spieszą? Bo chyba jeszcze nie mogli się dowiedzieć, że ja tu gotuję...?

– To długa historia i pewnie nie cała ci się spodoba.

– Masz jakiś plan, kapitanie? Idziemy w góry? Gdzie można bronić wąskich przejść małymi siłami?

– A widziałeś tu gdzieś jakieś góry? – spytał cierpko Ksin.

– Skądże, wszędzie płasko jak u podwiki pod koszuliną – parsknął Ronijczyk. – To co z tym planem?

– Mam, tylko jeszcze dokładnie nie wiem jaki.

– A kto wie? Twój nadworny jasnowidz?

– Mniej więcej...

– Aha... – pokręcił głową Hamniesz. – No to kończmy tę zupe, bo to zdaje się jest nasza ostatnia przyjemność, nim nas wypatroszą!

– Powiem dla porządku, że to nie musi być twoja walka – powiedział Ksin.

– Jak to nie? – szczerze zdziwił się najemnik. – Pieniądze wzięłem, przepiłem, resztę takiej jednej Helgenie zostawiłem, wbrew imieniu, całkiem miłe dziewczę, i przykro było ją tak bez grosza z brzuchem zostawić... Bo widzisz, kapitanie, jeszcze jeden potomek się trafił, znaczy nie zginie ród wojowników fortuny... Krótko mówiąc, przyjdzie nam teraz trochę razem popracować! No, ale nie ma co narzekać, bo miejsca tu dużo i umierać jest gdzie!

– Przy ludziach nazywaj mnie księciem – Ksin wyciągnął rękę.

– A niech ci będzie, książę-kapitanie!

Uścisknęli sobie dłonie i znów zabrali do jedzenia. Musieli się pospieszyć, bo odgłosy maszerującej kolumny – skrzypienie wozów, nawoływania koczowników i krzyki dzieci – już się z nimi zrównały.

Potem Hamniesz poszedł przywitać się ze starymi znajomymi. Na widok Saro zaczął od razu ładować kuszę.

– Stań no, człowieczku, najlepiej bokiem do mnie – polecił rzeczowo.

– A po co? – spytał zdziwiony łotrzyk.

– Przestrzele ci czaszkę za uszami, tak się najszybciej umiera... – Kamienna twarz, poważny, iście katowski ton głosu oraz każdy ruch Hamnisza dowodziły, że wcale nie żartuje. Nawet stojący obok Ksin nie założyłby się o to, choćby o złamanego miedziaka.

– Dlaczego?! – wystraszony Saro cofnął się kilka kroków.

– Przecież mamy umowę... – odparł spokojnie Hamniesz. – Wolisz między oczy?

– Jaką umowę?! – zapiszczał przerażony łotrzyk.

– Nie chciałeś, by w tamtym mieście dostały cię żywe trupy, pamiętasz? Obiecałem ci wtedy szybką i lekką śmierć, że spadnie na ciebie ciemność. Teraz, gryząc szaleję, już bez mała zrobiłeś z siebie żywego trupa, więc pora dopełnić umowy... – w kuszy szczęknięło metalicznie i na górną prowadnicę wskoczył bełt.

Łotrzyk rzucił się do ucieczki i w tym samym momencie warknęła cięciwa. Wrzasnął przeraźliwie i stanął jak wryty. Po chwili, gdy dotarło do niego, że jednak jeszcze żyje, nerwowo obmacał sobie głowę i dopiero dostrzegł pocisk wbity głęboko w ziemię pod swymi nogami. Wtedy posikał się w spodnie. Któryś ze świadków zderzenia parsknął śmiechem. Saro stał w rosnącej kałuży moczu, sprawiając wrażenie, jakby się właśnie budził ze snu.

– Chce żyć, więc jeszcze będą z niego ludzie – rzekł Hamniesz do Ksina. – Nic tak dobrze nie leczy egzaltacji i egzystencjalnych kaprysów, jak odrobina szczerego strachu przed śmiercią... No, człowieczku – podszedł i poklepał łotryka po ramieniu. – To jak będzie z szalejem? Będiesz żuł dalej to świństwo?

– N... Nie... – szczękniętymi zębami świeżo uleczony pacjent.

– Więc oddaj mi ten mieszek.

Saro drżącymi rękami zdjął z szyi woreczek z ziarnami szaleju. Hamnisz rozwiązał go i zamaszystym ruchem wysypał zawartość w krzaki. Pusty mieszek wetknął łotrzykowi w kieszeń kubraka i przyklepał starannie, wyrównując tkaninę.

– Człowieczku, czy wykonałeś już to, co nakazał ci nasz kapitan?

Złodziejaszek pokręcił przecząco głową.

– Zatem idź zmień portki, a potem zrób szybko, co masz do zrobienia! I pamiętaj, że drugiego takiego bełtu nie zmarnuję...

Saro odszedł na sztywnych nogach.

– To co jeszcze mamy na dziś do załatwienia? – spytał Ronijczyk, oglądając się na kotołaka.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie rozległo się buczenie rogu obserwatora na Wozie Wieżowym. Pobiegli tam natychmiast.

– Inne plemię przed nami! – zawołał strażnik na widok kotołaka.

– Nie najemnicy Świetlistego?! – upewnił się.

– Na pewno nie! Lud stepu, tak jak i my! Zejdziemy się za pół godziny marszu!

* * *

Przypadkowe spotkania koczowniczych plemion były rzeczą normalną, a ich przebieg i towarzyszące im ceremonie ustalały odwieczne stepowe zwyczaje. Tradycja nakazywała najpierw wypytać się wzajemnie o drogę do Państwa. Podczas tej wstępnej, rytualnej rozmowy uzgadniano znaczenia słów, różniących się w różnych koczowniczych dialektach przeważnie sposobem wymowy głosek. Temu służyły też dalsze pytania i odpowiedzi, mające na celu ustalenie, które ze spotykających się plemion zna lepszą drogę do Państwa i które przywiązuje do tego dążenia większą wagę. Równocześnie odbywała się demonstracja liczebności i siły obu stron. Od tego zależało, czy zachowane zostaną stosunki równoprawne, czy plemię zdecydowanie słabsze będzie musiało się podporządkować woli silniejszego. W razie wątpliwości sprawę rozstrzygało kilka rytualnych pojedynków pomiędzy najlepszymi wojownikami z obu stron. W grę wchodziło zjednoczenie, wypłata haraczu za prawo bezpiecznego rozstania lub podział na nowe plemiona, zależnie od zaszłości ideowych, religijnych i militarnych. Tak toczyło się życie na Bezkresnym Stepie Pierwszego Świata.

Napotkane plemię było zdecydowanie mniej liczne i gorzej uzbrojone. Stało się to oczywiste wkrótce potem, gdy Najstarsi Umysłem z obu stron usiedli naprzeciw siebie i zaczęli wstępną rozmowę. Za partnerem Ampekera zgromadziło się wtedy niecała setka pieszych wojowników; ich główną bronią były tarcze, pałki i oszczepy. Na widok trzech setek pancерnej konnicy, które z łoskotem i chrzęstem zbroi ustawiły się w trójszeregu za Ampekerem, jego rozmówca przybrał natychmiast pokorny ton i postawę, prosząc o wzięcie

swych ludzi pod tak potężną opiekę. Obcy wojownicy – widząc, jak ich przedstawiciel dotyka czołem ziemi przed Ampekerem – wbili oszczepy ostrzami w ziemię, odłożyli tarcze i przyklękli na jedno kolano. Wtedy Hakonóz, Hamnisz oraz Czaszkun uroczyście wnieśli stojącego na tarczy kotołaka, aby ten mógł przyjąć hołd swych nowych poddanych.

Ceremonialne formalności trochę jeszcze potrwały, bo Najstarsi Umysłem musieli ponadto uzgodnić kwestię drogi do Państwa – tu również przeważała wizja towarzysząca plemieniu kotołaka. Ostatecznie Ksin został zapewniony, że „cała krew, żywność i wszystkie kobiety” spotkanego ludu stają się jego własnością. W odpowiedzi udzielonej za pośrednictwem Ampekera, kotołak wielkodusznie pozwolił nowym zachować ich zapasy oraz kobiety, a krew wojowników, jak zapewnił, „będzie rozlewać z umiarem”.

Tamci w zamian za okazaną łaskę natychmiast ofiarowali mu trzy młode dziewice dla „radości i rozkoszy”, których przyjęcia nie wypadało odmówić. Od razu przekazał je pod opiekę Amarelis.

Zjednoczenie plemion dokonało się całkowicie na warunkach ludu Ksina. Ponieważ zaś nowi nie mogli ofiarować nic szczególnego oprócz samych siebie, nie mieli bowiem dobrych wierzchowców, ani wielu zwierząt pociągowych, ani też broni z prawdziwego zdarzenia, oznaczało to, że przez okres jednego roku będą mieli status półniewolnych zbieraczy żywności, pozbawionych prawa zabierania głosu w radzie starszych. Było to najniższe miejsce w społecznej hierarchii, jakie za pamięci Ksina przyznano grupie przyłączającej się do plemienia. Mimo to nowi byli bardzo zadowoleni, gdyż – co szybko wyszło na jaw – pół roku wcześniej spotkali inne silniejsze plemię, które ich po prostu obrabowało: musieli oddać większość majątku, najładniejsze kobiety, po czym odmówiono im należnej w zamian ochrony i przegnano, każąc cieszyć się, że uszli z życiem...

Takie pasożytnicze plemiona rozbójników trafiały się w stepie dość często, ale kiedy oni z kolei spotkali mocniejszych od siebie, sprawiedliwości szybko stawało się zadość. Wodzowie zbójceckich hord mogli dużo i obłudnie opowiadać o swym pragnieniu dotarcia do Państwa, ale zawsze znalazło się wśród nich dostatecznie wielu skrzywdzonych i zniewolonych, którzy w takiej sytuacji przestawali się bać, wyjawiali prawdę i żądali kary. Spotykało się potem w stepie gromady wpół zagłodzonych wyrzutków z uciętymi rękoma albo całe zagajniki sterczących na palach szkieletów.

Przybysze, choć o tym nie wiedzieli, wnieśli jednak do nowej wspólnoty coś wielce cennego. Była to wiedza o najbliższej okolicy. Rzecz wyszła na jaw, gdy na koniec ceremonii spotkali się Strażnicy Pamięci Pokoleń, czyli ślepy Kamo ze strony plemienia Ksina oraz niejaki Hagro – pół ślepiec, który nie widział dobrze dalej niż na odległość wyciągniętej ręki. Obaj siedli na brzegu szemrzącego leniwie strumyka i delikatnie trącając palcami niewielkie bębunki zaczęli na zmianę recytować sobie przechowywane w pamięci legendy i nucić pieśni. Wówczas kotołak i jego koczownicy dowiedzieli się, gdzie dotarli!

Nowi współplemieńcy zeszli się z ludem Ksina nadchodząc od strony ich prawej ręki – co nie było całkowitym przypadkiem. Przyłączone plemię od pokoleń krążyło wokół obszaru, nazywanego przez nich Pustynią Zmian. Przemieszczali się zawsze w pasie o szerokości jednego dnia marszu od granicy tego miejsca i zawsze w tę samą stronę, uważając ten sposób wędrówki za namiastkę Państwa. W chwili spotkania plemion Pustynia Zmian znajdowała się pół dnia marszu przed ludźmi kotołaka.

Natychmiast powiadomiono o tym Ksina, który po krótkiej rozmowie z Hagro stwierdził, że otrzymany w zaświatach Dar Drogi wskazuje drogę wiodącą prosto w środek Pustyni Zmian...

Zapytany, co tam jest, Hagro najpierw zaśpiewał pieśń o dziwnej rzece, która nie płynie w przód, lecz wije się pośród stepowych traw niby wąż, potem wyrecytował poemat o rosnących w oczach górach i rozwierających się dolinach...

Kotołak rozkazał, by sprowadzono Ampekera i Niczro oraz wezwano trzech najbardziej doświadczonych myśliwych z przyłączonego plemienia.

– Na Pustynię Zmian się nie wchodzi! – zapewnił stanowczo jeden z nich, odpowiadając na pytanie Ksina, czy tam polowali. – To jest miejsce przynależne bogom, których gniew łatwo zbudzić!

– A po czym poznajecie jego granicę?

– Po zmianach – odrzekł myśliwy.

– Jakich zmianach? – nalegał kotołak.

– Wolne dzieje się szybko – rzekł inny.

– Mówcie jaśniej do swego księcia, jeżeli nie chcecie być ukarani! – skarcił ich Ampeker.

– Kamienie w oczach obrastają mchem – powiedział pierwszy myśliwy.

– Jakże to? – spytał Niczro.

– Ano tak... Patrzysz: kamień... Stoisz, odwracasz głowę, znów patrzysz, a on cały we mchu, znaczy zmienił się i odejść trzeba, podziękowawszy bogom za ostrzeżenie... żeby ich nie zagniewać... – mówił nieskładnie myśliwy.

– Albo żeleźce oszczepu w oczach przerdzewieje – dodał inny.

– Albo żołądź nagle w dąb wyrośnie! – uzupełnił pierwszy.

– Czyżby czas płynął tam inaczej...? – zamyślił się Najstarszy Umysłem.

Myśliwi popatrzyli po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Pustynia Zmian jest tabu – rzekł wreszcie trzeci, który dotąd milczał. – Widzisz zmiany i zawracasz. Nie trzeba o nic pytać. Zobaczysz, odchodzisz...

– Ja jestem tym, który mówi z duchami! – oznajmił stanowczo Niczro. – Moją rzeczą jest pytać o tabu.

– Trzeba mówić z szamanem – odrzekł myśliwy.

– A gdzie jest wasz szaman?

– Odszedł z tymi, którzy zabrali nasze miecze, woły oraz kobiety.

– Zatem mnie winniście teraz szacunek – rzekł Niczro. – Zezwalam wam mówić o tabu. Opowiadajcie najlepiej jak umiecie!

– To jest ponad ludzki rozum! – zakłopotał się pierwszy myśliwy.

– Ampekerze – powiedział Ksin. – Czy możesz ich tak pytać, aby cię zrozumieli?

– Spróbuję... – starzec przyglądał siwą brodę i zwrócił się do trójki myśliwych. – Czy zdarzyło się kiedyś tak, że ktoś jednak wszedł na Pustynię Zmian?

– *Wbiegł młody a wybiegł stary...* – zanucił Hagro, zanim tamci trzej zdążyli się naradzić.

– *Lecz bogowie byli mu łaskawi, gdy przyniósł im dary, zwrócili mu młodość! Innym wszak takiej łaski okazać nie mogą...*

Myśliwi zaczęli potakiwać jeden przez drugiego.

– Ampekerze! – zniecierpliwiał się kotołak. – Powiedz tym głupcom, że mogą już odejść. Będziemy mówić tylko ze Strażnikiem Pamięci!

– A ile czasu minęło wtedy dla tych, co czekali na tego, który poszedł odzyskać młodość?

– zapytał Najstarszy Umysłem, kiedy odeszli myśliwi.

– Pieśń o tym milczy – odrzekł Hagro.

– Czyli nie zaszło nic szczególnego – odgadł Niczro. – Inaczej Strażnik Pamięci musiałby ułożyć o tym pieśń.

– A czy było tak, że młody myśliwy wszedł na tę pustynię i wrócił z niej także młody, ale w tym czasie w jego plemieniu mięło wiele lat i powróciwszy myśliwy ów ujrzał swe dzieci starcami, a wnuki w kwiecie wieku?

– Pieśń o tym milczy – powtórzył Hagro.

– Skoro na Pustyni Zmian nikt nigdy nie zagubił się w czasie, znaczy, że czas nie płynie tam inaczej... – myślał głośno Ampeker. – Jeżeli przyspieszy, to zaraz się cofa...

– O tym mówi moja pieśń! – odezwał się nagle Kamo i zaczął lekko postukiwać w swój bębenek. Dłuższą chwilę słuchał słów w pamięci, pobudzając ją powtarzającym się wolno rytmem, aż wreszcie wyrecytował: – *I przeszli oni drogami, na jakich dziewczęta stawiały się starymi kobietami i znów dziewczętami, a z synów u piersi matek w noc jedną wyrastali dzielni wojownicy, którzy za dnia znów dziećmi się stawiali...*

– Może to tylko metafora? – mruknął Ksin do Niczro. – Taka gra słów, której nie należy rozumieć dosłownie...?

Szaman przecząco pokręcił głową.

– Lecz przeszli, minęli, odwagę w sercu mieli – zanucił Kamo. – Gdy potem sumiennie lata swe liczyli, nikomu nic nie zabrakło, ani nie przybyło... Bardzo stara ta pieśń – rzekł na koniec ślepiec, odkładając bębenek. – Aż w niej rytm i dźwięki przebrzmiały, ale na pewno kiedyś tak być musiało!

– Inne plemię przechodziło już przez Pustynię Zmian? – zamyślił się Ksin. – Ale czy to na pewno jest pieśń o Pustyni Zmian? Znasz podobną? – zwrócił się do Hagro.

Strażnik Pamięci skinął głową i zaśpiewał:

– *Brzemienna Asla w bólach przeoczyła znaki. Pragnęła w samotności powić, lecz za daleko poszła... Z niemowlęciem zasnęła, a w ramionach rosłego męża się zbudziła...*

– Czy ten mężczyzna znów stał się dziecieniem? – spytał szybko Ampeker.

– ... *kazirodcą go obwołano, oszczepami zakłuto, a popiół jego zdeптano...* – dokończył Hagro.

– No, teraz już mogę pojąć, dlaczego oni, choć tak blisko Pustyni Zmian żyją, tak mało o niej wiedzą... – skwitował kotołak.

– Boją się tabu – odparł z powagą Niczro. – Nie można ich ganić. Ludzie zawsze bali się zmian. Zmiana to naprawdę wielkie tabu...

– Ale my musimy tam iść! – powiedział Ksin.

– Na pewno? – Najstarszy Umysłem popatrzył na niego badawczo.

– Na pewno – skinął głową.

– Mając za wskazówkę li tylko strzęp starej pieśni – westchnął Najstarszy Umysłem. – Mamy zaryzykować życie tysięcy?

– Skoro taką drogę wskazali bogowie... – Niczro nie dokończył.

Zapadło pełne zadumy milczenie.

– Hej, kapitanie, książę, znaczy się, psiakrew! Bywaj tu szybko! – rozległ się krzyk Hamnisha.

Ronijczyk prowadził ślaniającego się na nogach Saro. Zanim zdążyli dojść, łotrzyk wysunął się spod ramienia najemnika, opadł na czworaki i zaczął wymiotować.

Ksin już był przy nich.

– Co z nim? – zapytał. – Znowu się czegoś nażarł?

– Powie... edziało... em j... ej – wystękał Saro, walcząc z torsjami. – Jak chce... ełś... pitanie, po... owdziele... em...

– Coś mi mówiło, żeby go mieć na oku – wyjaśnił Hamnisz – więc miałem baczenie, jak zgodnie z twym rozkazem poszedł rozmówić się z dziewczyną. Długo gadali, nie słuchałem co, tylko patrzyłem z daleka. On nagle padł, ona uciekła.

– Uderzyła go w głowę? – kotołak badawczo przyglądał się łotrzykowi.

– Nie, na pewno nie, stała przed nim i chyba go nawet nie dotknęła.

– Co ci się stało? – Ksin zwrócił się do łotrzyka.

– W gło... owie mi zary... yczała... – Saro pluł żółcią.

– Że jak? – zdziwił się Hamnisz.

– Poczekaj, chyba rozumiem! – uciszył go kotołak. – Powiedziałeś jej kim jest, co ją czeka i nagle zaczęłaś ją słyszeć we własnej głowie?

– T... tak! – kaszlnął.

– I to wywróciło ci umysł do góry nogami?

– Tak... – łotrzyk wziął głębszy oddech.

– Przebudziła się! – oznajmił Ksin, po czym obejrzał na Niczro i Ampekera.

– Muszę odejść! – zawołał do nich. – Później będziemy radzić! Zaprowadź go do Assisa... – rzucił przez ramię Hamniszowi i pobiegł.

Koczownicy szykowali się do noclegu. Wozy ustawiano w okręgi lub czworoboki, robiąc z nich prowizoryczne zagrody dla koni i bydła. Rozpalano ogniska, rozstawiono namioty. Krzyki i nawoływania dzieci nieco już przycichły, za to zaczynały rozszcze kiwać się psy.

Ksin szybko przebiegł przez obóz i przystanął na chwilę w stepie po drugiej stronie. Zamknął oczy, wsłuchał się w zmysł Obecności. Odebrał zew Najszy niemal od razu – na poły płacz, na poły skowyt. Natura bestii i natura ludzka miały się jak szalone w jej ciele i umyśle. Na razie, za dnia, bestia jeszcze nie powinna być górą, ale człowiecza natura Najszy była zbyt słaba, aby ją powstrzymać. Wszystko co ludzkie kuliło się w niej w strachu i rozpacz y, dając wolne pole demonicznym instynktom.

Dziewczyna uciekła i ukryła się, ale kotołak wytropił ją bez trudu. Znalazł ją w zaroślach kilkaset kroków za obozem, obszarpaną, zapłakaną i z pianą na ustach. Na przemian drapała palcami darń, biła głową o ziemię, kurczyła się w pozie embrionu i znów zaczynała miotać w ataku szału. Ksin stanął nad nią, skoncentrował wolę.

Uspokój się!, wysłał mentalny rozkaz. Słów zapewne nie zrozumiała, ale wezwanie do posłuszeństwa na pewno tak.

Odpowiedziała uderzając w niego falą wścieklej nienawiści, żalu, gniewu i rozpacz y. W przeciwieństwie do Saro, kotołak był na to przygotowany i wiedział, jak sobie radzić. Natychmiast odepchnął to wszystko z powrotem, aż Najsza zwinęła się w kolejnym ataku konwulsji.

USPOKÓJ SIĘ!!!, ścisnął jej umysł całą mocą swej woli.

Znieruchomiała i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Wyciągnął rękę, pomógł jej wstać, potem rękawem własnego kaftana delikatnie otarł jej twarz. Można by sądzić, że było już po wszystkim, ale Ksin wiedział, że ten spokój jest pozorny.

– Najsza! – przywołał ją łagodnie, patrząc jej w oczy. – Najsza! Najsza, wróć tutaj!

Wydawało się, że zrozumiała, choć nie знаła suminorskiego. Spojrzała żywiej, poruszyła ustami, ni to próbując się uśmiechnąć, ni to coś powiedzieć.

– Najsza, musisz być silna – mówił trzymając ją w ramionach i wciąż powtarzając jej imię. – Już nie możesz być dzieckiem, Najsza. Zapanuj nad tym, Najsza!

– *Terai him?* – zapytała płaczliwie.

– Musisz być dorosła, Najsza! Stań się kobietą, Najsza!

– *Terai him?!* – powtórzyła trochę bardziej stanowczo.

Pochylił się ku niej i pocałował delikatnie. Przez chwilę niepewnie oddawała pocałunek, po czym nagle przestraszyła się nowego doznania, wycofała mentalnie i wręcz wybuchła Ksinowi w twarz syczącym łbem modliszki. Owadzie żwaczki rozwarły się na całą szerokość, usiłując wygryźć mu oczy.

Spodziewał się tego i równie szybko przemienił w pełnego kotołaka. Momentalnie wgrzył się jej w otwór gębowy, zaciskając zęby na nasadzie prawej żwaczki, blokując ją i uniemożliwiając kąsanie. Pół ludzka, pół owadzia hybryda szarpnęła się w tył. Przytrzymał ją pazurami, przegiął, aż upadli oboje. Poczuł, że demoniczna Przemiana rozlewa się na resztę ciała Najszy. Kątem oka zobaczył, jak prawe przedramię dziewczyny zamienia się w ząbkowaną, chitynową szablę. Chwycił ją za nadgarstek pazurami i przytrzymał, potem potoczył się na bok, przygniatając drugie górne odnóże. Wypreżyła się, szarpnęła, drąc murawę owadzimi szponami, w które zamieniły się jej pięty, ale nie zdołała się wyrwać. Za dnia nie miała jeszcze dość siły. Zresztą, nie przemieniła się do końca. Głowa modliszki wciąż patrzyła na kotołaka przerażonymi, ludzkimi oczami.

Począł, aż minie pierwszy wybuch furii, aż owadzie odnóże znów staną się nogami, a zakrzywione szable rękami. Rozluźnił uścisk szczęk, pozwalając jej twarzy przybrać normalny wygląd. Sam też cofnął Przemianę.

– Najsza... – powiedział łagodnie.

Jej nadnaturalna Przemiana nie cofnęła się do końca. Znikły tylko cechy owadzie, pozostała wyzywająca kobiecość. Piersi miała teraz cztery, pięć razy większe. Ogromne sutki ostro rysowały się pod poszarpaną tkaniną sukni. Odsłonił je, były przebarwione jak u karmiącej kobiety, zaczął całować, napreżyły się, stały jeszcze bardziej sterczące. Najsza jęknęła, westchnęła głęboko, poddając się fali przyjemności. Zanurzyła obie dłonie we wciąż nastroszoną sierść na karku Ksina.

Czuł, jak pod wpływem jego pieszczot budzi się w Najszy kobiecość – nowa siła wiążąca naturę bestii i dająca oparcie człowieczeństwu. Nie przestając całować jej piersi, podwinął suknię, dotknął gorącego, bardzo mokrego sromu, zaczął masować nabrzmiałą łechtaczkę wielkości połowy kciuka. Najsza wzdychając, rozsunęła nogi. Gdyby miał polegać tylko na dotyku, mógłby przysiąc, iż ma do czynienia z dojrzałą kobietą, niezwykle bujnie rozwiniętą, która urodziła wiele dzieci. Pamiętał jednak, że to dziewczica. Rozpiął pas i wszedł w nią delikatnie, jej wnętrze rozdarło się lekko, jakby soczyście. Znieruchomiała na moment, Ksin też zamarł, obawiając się kolejnej Przemiany, ale ona tylko zaplotła łydki na jego biodrach i przytuliła drżąc i zamykając oczy.

Krwawiła bardzo, więc skończył szybko. Miał wrażenie, że każdy jego ruch daje jej nie rozkosz, lecz ulgę. Najsza nie dawała poznać po sobie ani bólu, ani namiętności, tylko jakby zapadała się w błogość i uspokojenie.

Kończąc pilnował się, by nie wykonywać zbyt gwałtownych pchnięć, bo pośladki dziewczyny były wręcz mokre od krwi. Nie zmienił więc rytmu, nawet kiedy wypuszczał nasienie. Najsza instynktownie rozpoznała ten moment i uśmiechnęła się do niego.

Potem odpoczywali patrząc sobie w oczy, a rozkwitłe przesadną, wręcz karykaturalną kobiecością ciało Najszy powoli na powrót stawało się ciałem bardzo młodej nastolatki. Wraz z końcem Przemiany ustał też krwotok z rozdartego łona. Na szczęście podwinął jej suknię

tak wysoko, że nie przesiąkła krwią. Najsza wytarła się garścią trawy, potem w milczeniu wrócili do obozu. Odprowadził ją do namiotu Czemo.

Myśliwy siedział przy ognisku, grzebiąc patykiem w żarze. Nieznacznie skłonił się księciu, o nic nie pytając. Dziewczyna natychmiast usiadła obok Czemo, wtulając się pod jego zdrowe ramię. Jeszcze raz uśmiechnęła się do kotołaka i zapatrzyła w płomienie.

Dopiero teraz wspomniał Amarelis. Aż przyspieszył kroku na myśl o tym, co ona teraz powie... Miał wrażenie, że swą niewierność ma wypisaną na czole. Choć z drugiej strony, czyż mógł w tej sytuacji postąpić inaczej? Przypomniał sobie jednak o Towarzyszkach Niewinności i w pobliżu swojego namiotu był już bardzo pokornym kotołakiem, gotowym resztę nocy spędzić na drzewie, jeżeli takie będzie życzenie jego pani...

W zdumienie wprowadził go zatem dobiegający z namiotu chóralny, dziewczęcy śmiech. Wszedł do środka i zastał Amarelis w towarzystwie trzech młodek, ofiarowanych mu dziś po południu. Dziewczyny były całkiem nagie, we włosy miały wplecione kwiaty, piły wino i siedziały na ich małżeńskim łożu.

Na jego widok zaczęły coś do siebie szeptać i rozchichotały się jeszcze bardziej. Amarelis w zwykłym codziennym ubraniu stała obok, trzymając kubek z winem, i chyba właśnie skończyła z nimi jakąś rozmowę. Ksin stał jak wryty.

– Mój mężu – powiedziała z uśmiechem Amarelis. – Skoro przyjąłeś te trzy dziewice, powinienesz też uczynić je swymi kobietami.

– Ależ one należą do ciebie... – odpowiedział szybko.

Amarelis pokręciła przecząco głową.

– Znów zapominasz o naszych zwyczajach, kochany. Jeżeli zlekceważysz dar swych nowych poddanych, nie będziesz mógł później oczekiwać, że oni pozostaną ci wierni. A każdy należy użyć zgodnie z jego przeznaczeniem: miecz w bitwie, kobietę w łożu...

Podszedł szybko i ujął ją za ramiona.

– Amr... – szepnął zdenerwowany. – Jeżeli myślisz...

Spojrzała na niego pogodnie, ale z wielką powagą.

– Nie zawsze będę tak piękna jak w pierwszym roku małżeństwa – powiedziała. – Lata i przychodzące na świat dzieci prędko odbiorą mi urodę, tym bardziej, że ja będę musiała wykarmić też dzieci Arpii...

Potrząsnął głową szukając słów, by jej przerwać. Nie pozwoliła mu ich znaleźć.

– Zawsze jednak będę twoją żoną, księżną, może królową i zawsze pamiętać będę o twojej rozkoszy. Jeżeli kiedyś nie zechcesz już mego ciała, znajdę ci inne, młodsze.

– Ale to nie dziś! – zdołał wreszcie wykrztusić.

– Ależ tak. Myślisz, że nie widzę, jak od kilku dni gnębią cię ponure myśli, których nie mogą odegnąć moje pieszczoty? Jesteś księciem, niesiesz większy ciężar, masz zatem prawo do większej rozkoszy i zapomnienia, niż może ci dać tylko jedna kobieta, choćby nawet tak

bardzo w tobie zakochana jak ja. Zatem odpocznij, mój kochany, napij się wina i przekonaj, jak miłe są z nich towarzyszek... – obejrzała się na patrzące na nich wyczekująco dziewczęta.

– Zresztą ja i tak wkrótce już nie będę mogła zbliżyć się do mężczyzny, więc dobrze, że ma mnie kto zastąpić... – ruszyła do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Nigdzie daleko, ani nie odchodzę z urazą – odrzekła. – Bądź spokojny, jestem twoja i wrócę – Amarelis odstawiła kubek, po czym opuściła namiot.

Odruchowo postąpił krok za nią, ale drugiego kroku już zrobić nie zdołał. Trzy młode koczowniczeki poderwały się i zastąpiły mu drogę, wyrzucając z siebie mnóstwo trudnych do zrozumienia słów, w których dominował ton stanowczego protestu. Zanim się obejrzał ściągnęły z niego całe ubranie, odświeżyły mokrymi ręcznikami, wcisnęły do ręki kubek z winem i zaciągnęły do łóżka. Cały czas coś mówiły, ale kotołak nie miał ochoty wsłuchiwać się w odmienności używanego przez nie dialektu. Po prostu doszedł do wniosku, że są głupie. Postanowił, że położy się i pozwoli im robić, co chcą.

Lekceważenie i obojętność wyparowały z niego natychmiast, gdy dwie z nich z zaskakującą wprawą zaczęły na zmianę ssać jego członek. Aż zwątpił, że są dziewczętami... Jednak były, gdyż, jak się później okazało, pochodziły z plemienia, w którym kobieta mając do czynienia z mężczyzną, niebędącym jej mężem, mogła bez utraty czci poznawać go tylko i wyłącznie ustami...

W czasie kiedy kotołak odkrywał oszałamiające odmienności stepowych obyczajów, trzecia dziewczyna doprowadzała się do rozkoszy energicznie pocierając piętą o swoje łono. Potem roznamiętniona odepchnęła od Ksina towarzyszek i siadła na niego okrakiem.

– Ja... Galra! – wykrzyknęła swe imię w momencie utraty dziewictwa.

Po dłuższej chwili zrobiła miejsce następnej.

– Ja... Enerla! – jęknęła druga.

– Ja... – trzecia się zawahała, ale pozostałe chwyciły ją za biodra i energicznie nadziały na kotołaka. – Bifeerla! – przeciągle zakrzyczała swój ból.

Zajął się Biferlą równie delikatnie jak godzinę wcześniej Najszą, sprawiając, że i ta dziewczyna zapomniała o lęku i bólu. Jej pierwszej też ofiarował swe nasienie. Potem, aby nie tracić czasu na odpoczynek, przemienił się w kotołaka i dokończył pierwsze miłosne złączenie z Enerlą, następnie z Garlą. Po chwili o kolejny uścisk zaczęła dopominać się Biferla. Pozostałe dwie zrobiły sobie przerwę tylko po to, żeby napić się wina...

W miarę upływu czasu dziewczyny były coraz bardziej rozochocone, ale tego wieczoru czekało Ksina jeszcze jedno zdziwienie. Oto bowiem nagle do namiotu weszła Amarelis i przerwała igraszki szeregiem lekkich klapsów. Wyglądało na to, że rzecz była wcześniej uzgodniona, bo dziewczęta posłusznie wyskoczyły z łóżka, naciągnęły koszule i powdzięczywszy się na pożegnanie do kotołaka, z chichotem pobiegly do przeznaczonego dla nich namiotu.

Kiedy zostali sami, Amarelis zrzuciła z ramion płaszcz. Pod spodem nie miała nic.

– Chyba nie myślałeś... – powiedziała klękając na brzegu łoża i pochylając się nad nim – ...że pozwolę ci dziś zapomnieć, że masz także i żonę?

– Ty jesteś najpiękniejsza... – szepnął, ogarniając dłońmi jej piersi.

Nie zapamiętał momentu, w którym rzeczywistość przeszła w sen.

Potem spał jak przebity osikowym kołkiem. Głęboko, bez żadnych niespokojnych wizji dręczących go ostatnio znacznie dłużej niż zwykle.

Obudził się, gdy dzień stał już w pełni. Był sam. Z zewnątrz natomiast dochodził gwar wielu ściszonych głosów. Nie rozumiał słów, ale poznał Hamnisza i Ampekera, a z pewnością było tam jeszcze kilka osób.

W pewnej chwili Amarelis zajrzała do namiotu, uśmiechnęła się do Ksina i cofnęła szybko.

– Nasz książę już się obudził! – oznajmiła.

Gwar głosów wyraźnie przybrał na sile. Widać zebrani przed namiotem ludzie przez szacunek starali się nie obudzić go zbyt wcześnie. Kotołak pojął, że czeka go dłuższa niż zwykle poranna audyencja. Trudno było jednak domyślić się, o co chodzi, gdyż wszystkich zdominował poważny monolog Hamnisza:

– Było więc tak: ucieliśmy jej szyję, nóżki i wyrzuciliśmy wszelkie wnętrzności. W tym czasie zagotowało się już mleko z solą, masłem, rutą i innymi ziołami. Zatem wrzuciliśmy do wywaru oczyszczone mięso i teraz, gdy wywar znów się zagotował, dorzucamy jeszcze cebulę, pora, czosnek... Trzeba też koniecznie zmniejszyć ogień, żeby całość nie wykipiała. Jak mięso zacznie odchodzić od kości, wyjmujemy ją, kładziemy na podpłomyku i przed podaniem skraplamy jeszcze sokiem z porów i czosnku...

Ksin ubierał się w pośpiechu, zastanawiając, czy Hamnisz snuje kombatanckie wspomnienia, czy opowiada dzieciakom okrutne bajki? Dopiero kiedy wyszedł, okazało się, że Ronijczyk swoim zwyczajem gotuje coś na ognisku przed namiotem, a kulinarny wykład skierowany jest do przykucniętej obok Arpii, która w skupieniu śledziła wszystkie poczynania najemnika. Także Amarelis słuchała z uwagą. Nieco dalej stał wsparty na drzewcu glewii Hakonóż, przy nim Ampeker, Niczro, Kamo oraz Darlen – Najstarszy Umysłem świeżo przyłączonego plemienia. Na widok Ksina skłonił się najniżej. W tym momencie do zgromadzonych podeszli jeszcze Najsza, Assis i Saro. Łotrzyk wyglądał jak z szubienicy zdjęty, brakowało mu tylko pręgi na szyi.

– Śniadanie zaraz będzie gotowe, mości książę! – oznajmił Hamnisz, unosząc głowę znad parującego kociołka.

– Co to takiego? – poprawił Szpon przy pasie.

– Sam smak historii – odparł Ronijczyk. – Ten przepis na gotowanego kuraka liczy sobie równo cztery tysiące lat. Znalazłem go w ruinach po pewnej zaginionej cywilizacji, lecz co ja

mówię?! Jaka tam zaginiona, skoro zostały po niej takie delicje! A my tu mamy tłusciutką, dorodną kuropatwę...

Kotołak uchwycił pełne powagi spojrzenia Niczro i Ampekera. Zdaje się, że nie czas był na rozkosze podniebienia.

– Z czym przychodzicie? – zwrócił się do Najstarszego Umysłem.

– Ze zbyt poważną sprawą, by rozważać ją przed jedzeniem. Niech nasz przyjaciel dokończy swe szlachetne dzieło – odpowiedział z godnością Ampeker.

– Proszę, cóż za cywilizowany lud! – stwierdził z uznaniem Hamnisz i dodał szybko po suminarsku: – Od dziś przestaję uważać ich za dzikusów!

– Moją sprawa być najskromniej – odezwał się Darlen kalecząc słowa, kłaniając i podchodząc do Ksina. – Moja pytać wielki księżę, czy nasze dziewice wyjawily mu swe sekretne imiona?

– Tak, wyjawily – odpowiedział z uśmiechem. – Ich imiona są piękne i bardzo mi się podobały.

Uszczęśliwiony starzec skłonił się nisko i wycofał składając kolejne pokłony.

– He? – zdziwił się Hamnisz. – To się tutaj nazywa „pytać dziewczynę o imię”? No, warto wiedzieć, żeby nie dostać po głbie...

– Tylko w ich plemieniu – uspokoił go kotołak i spoważniał, bo właśnie podeszła do niego Najsza i z wielką powagą powiedziała coś po karyjsku.

– Mówi, że jest gotowa – przełożył Saro.

Miał wyraźne trudności z mówieniem.

Najsza wyciągnęła rękę do Ksina i otworzyła dłoń. Leżał na niej guzik od jego kaftana, co znaczyło, że urok nasylający modliszkołaczkę na kotołaka został przełamany i teraz będzie go można odwrócić...

Odebrał swą własność.

– Potrzebujemy rzeczy należącej do tego, kto rzucił czar – rzekł Assis, podtrzymując Saro, który niespodziewanie zachwiał się na nogach. – Wtedy Najsza będzie mogła dokonać zemsty...

– Wiem również, że zginę razem z nim – dodała cicho dziewczyna.

Ksin skinął głową, wpatrując się w oczy młodej Karyjki. W jej spojrzeniu i postawie nie było już nic dziecięcego. Bardzo przypominała teraz Arpię. Obie młódki dojrzały przedwcześnie i obie do śmierci. Różnica była taka, że Arpia dojrzała do zabijania, a Najsza do tego, by umrzeć.

– Dziękuję ci – powiedział.

Saro przetłumaczył bełkotliwie.

– To skutki tego, że nagle zaprzestał żuć szalej – wyjaśnił uzdrowiciel, widząc pytające spojrzenie kotołaka. – Baczę na niego – zapewnił.

Najsza skłoniła się dumnie Ksinowi, po czym objęła Saro i odprowadziła do namiotu uzdrowiciela. Assis pozostał na razie z Ampekerem i Niczro. Wszyscy, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, w pełnym godności milczeniu czekali, aż Ronijczyk skończy gotować.

– A oto i młoda dama po wzmagającej urodę kąpeli w mleku! – zawołał wreszcie Hamnisz, wyławiając szeroką łyżką rozgotowaną kuropatwę i układając ją na grubym, specjalnie w tym celu upieczonym podpłomyku. – Jeszcze tylko dodamy jej charakteru sokiem z pora i czosnku...

– Częstujcie się, czcigodni – zwrócił się Ksin do przedstawicieli starszyny.

Podeszli, ułamali sobie po symbolicznym kawałku placka i wzięli po odrobinie mięsa. Usiedli naprzeciw księcia, ale nie jedli, lecz położyli swe porcje przed sobą na znak rozpoczęcia rady. Nie spieszyli się jednak, pozwalając Ksinowi zaspokoić pierwszy głód. Ugotowana w mleku i ziołach dziczyzna wręcz rozpływała się w ustach.

– Lepsza niż pieczona! – stwierdził kotołak, chyląc głowę przed mistrzem.

– No pewnie! – odparł Hamnisz. – Dawniej to ludzie umieli gotować! W dzisiejszych czasach już tylko najemni żołnierze potrafią walczyć o dobrą kuchnię!

– Ja oraz czcigodni Kamo, Niczro i Assis – zaczął mówić Ampeker – uradziliśmy zgodnie, że strzęp starej pieśni, choć bez wątpienia jest godny wiary, to jednak zbyt mało, aby bez obaw wprowadzić cały nasz lud na Pustynię Zmian.

– Mówiliście to wczoraj – zauważył kotołak. – Do czego zmierzacie?

– Musimy zbadać naturę Pustyni Zmian zanim tam wejdziemy – rzekł Niczro.

– Jak długo to potrwa?

– To niestosowne pytanie – odparł szaman. – Nie można ponaglać bogów, którzy mają całą wieczność...

– Jeżeli nie okażemy doczesnego pośpiechu, sami szybko przeniesiemy się do wieczności!

– Rozważyliśmy i to, książę.

– Co zatem proponujecie?

– Rozbijmy obóz na samej granicy pustyni – rzekł Ampeker. – Tam zbadam vibracje naturalnej magii, a czcigodny Niczro odbędzie kolejną szamańską podróż w zaświaty, zasięgnąć rady duchów i demonów.

– To brzmi rozsądnie... – zamyślił się Ksin. – Kilka dni na to mamy. W razie czego można spróbować Pustynię Zmian obejść.

– Nie można jej obejść, mój książę – wtrącił się Kamo. – Jest zbyt wielka. Z pieśni wynika, że miejscowi na obejście całej Pustyni Zmian potrzebują więcej niż dwóch pokoleń.

– Jest w istocie ogromna... – Niczro pokręcił głową z podziwem.

– Jak wszystko na tym świecie – dodał Ampeker.

– Wielka jak Państwo – stwierdził spokojnie Ksin, udając, że nie dostrzega wrażenia, jakie wywarły na nich te słowa. – Czy z woli Bogów Stepu mamy ją posiąść? – Zwrócił się do Niczro. – Czy też na niej zginąć?

– Tego nie wiem... – odparł zakłopotany szaman. – Tak wyraźnej odpowiedzi z pewnością nigdy nie otrzymamy...

– Przystaję na wasz plan – zdecydował Ksin. – Niezwłocznie wyruszamy do granicy Pustyni Zmian. Reszta zależy od was.

– Dziękujemy książę, że okazałeś łaskę naszym słowom.

– W drogę! – oznajmił kotołak, wrzucając do ogniska ogryzioną kostkę.

* * *

Tabor ruszył w drogę kwadrans później, gdyż od rana wszystko było gotowe do wymarszu. W praktyce czekali tylko aż książę zechce wstać i wydać rozkaz. Ksin dowiedziawszy się o tym, poczuł się cokolwiek głupio, ale to zmartwienie rychło poszło w niepamięć.

Przed południem poproszono go, by szybko podjechał do Wozu Wieżowego. Koczownik na maszcie tym razem nie krzyczał z góry, lecz czym prędzej zszedł na dół do Ksina i towarzyszącego mu Hamnisza.

– Książę – powiedział obserwator z wielkim napięciem w głosie. – Dogania nas wielki oddział jazdy! Cztery setki pancernych, są trzy, może trzy i pół godziny za nami. Jednak sygnały słoneczne nie zbliżyły się bardziej.

Kotołak i kusznik wymienili posępne spojrzenia.

– Świetlisty pchnął przodem całą swą konnicę – wycedził Ksin przez zaciśnięte zęby. – Miał doprawdy piekielnie dobry pomysł...

– Oni opóźnią nasz marsz aż nadejdzie piechota... – dopowiedział ponuro Hamnisz. – No to nas mają! – Rozgniewany uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Iście przydybali nas w krzakach z opuszczonymi spodniami!

7. JEZIORO CZASU

Tabor koczowników sunął potrójnym tempem. Dzieci już nie biegały wokół wozów, lecz siedziały na nich ciche i potulne. Niczego po drodze nie zbierano, co najwyżej kamienie do proc. Wszędzie szykowano broń, na wierzchu leżały łuki, strzały i oszczepy.

– Nie zdążymy dojść do Pustyni Zmian – zafrasował się Ampeker. – Zabraknie co najmniej godziny marszu, może nawet dwóch...

Ksin ugryzł się w język i nie oświadczył, że to jego wina, bo spał za długo. W takich chwilach wódz nie powinien wygadywać rzeczy może nawet i słusznych, ale zupełnie nieistotnych.

– Ty i Niczro ruszycie przodem – powiedział zamiast tego. – Weźmiecie miejscowego przewodnika i pięciu młodych wojowników o szybkich nogach, którzy będą nam przekazywać wieści od was. Nasi sprzymierzeńcy w zaświatach muszą zrozumieć, że nie mamy czasu – wymownie popatrzył na szamana.

– Uczynię wszystko, co w mej mocy, ale dopiero, gdy nadejdzie noc – odparł Niczro.

– Mam nadzieję, że będziemy tu jeszcze do tej pory – skwitował Ksin.

– Być to raczej będziemy – stwierdził Hamniesz, oglądając się na jadące za nimi wozy. – Kwestia do rozstrzygnięcia jest taka, czy potem zdołamy ruszyć dalej. I czy w ogóle warto? – Spojrzał z niechęcią na szamana i Ampekera. – Jeżeli o mnie chodzi, wolę zginąć od dobrego żelaza niż od jakiejś rozwichrzonej magii, która czasem nawet zabić człowieka do końca nie potrafi!

– Tam nie jest tak samo jak w Górach Pustych – pocieszył kotołak.

– Kto to może wiedzieć... – wzruszył ramionami Ronijczyk. – Mamy się bić, to bijmy się dobrze do końca!

– Miejscowi mówili, że pod drogą jest duże jezioro w kształcie sierpa – powiedział Ampeker. – Na jego brzegu można by ustawić krąg z wozów. To już nie powinno być daleko... – popatrzył przed siebie, unosząc się nieco w strzemionach.

Trafili tam po jakichś trzech kwadransach.

– Rzeczywiście – ocenił Hamniesz – miejsce jest obronne i dość duże jak dla nas. Ale nie podoba mi się ta płaska połać... – pokazał szerokim gestem obszar stepu po stronie serca.

Cały teren opadał łagodnie w kierunku zakola we wklęsłym brzegu jeziora, tworząc rozległą, gładką jak stół trawiastą równinę, urozmaiconą pośrodku sporym olchowym zagajnikiem. Jeśli pominąć kępę drzew, było to miejsce wręcz stworzone do morderczej, przełamującej szarży. Lasek jednak jazda mogła łatwo ominąć.

– Mogą zepchnąć nas do jeziora – zauważył Ksin.

– Z wozami raczej nie zepchną – zmarszczył czoło Ronijczyk – ale jak zjedziemy nad brzeg, to oni nas już stąd nie wypuszczą. Gdy my obwarujemy się nad jeziorem, im wystarczy dobrze nas pilnować i atakować za każdym razem, kiedy spróbujemy się ruszyć. Nijak nie da się wtedy ustawić taboru i wyprowadzić go z powrotem na step. Potem nadejdzie ich piechota, przypuszczą regularny szturm i potopią nas jak szczury. To miejsce to wredna pułapka!

– Skoro będziemy mieli dość wody, może zdołamy się przed nimi wszystkimi obronić? – podsunął myśl Ampeker.

– Z całym szacunkiem dziadku, ale nie wiecie, co to zaciężne wojsko! – zirytował się Hamnisz. – Im starczy na was jednego szturmu. A gdyby nawet nie, to po odparciu dwóch, trzech ataków stracie większość wojowników i baby z dziećmiakami będą musiały bronić się dalej same, co znaczy nie bardzo długo...

– Ale my musimy stanąć tam nad brzegiem – stwierdził kotołak.

– A pewnie, że musimy! – zgodził się z nim Ronijczyk. – Bo w gołym stepie, bez wody dla dwóch tysięcy gęb i tysiąca zwierzaków, rozmiotą nas niczym plewy w przeciągu paru dni i nocy. Nawet nie będą musieli czekać na piechotę. Wpadliśmy jak mięso do kociołka, starczy nas tylko posolić!

– Ja myślę, że to jednak my ich posolimy... – stwierdził Ksin z przekąsem. – Widzisz te drzewa? – wskazał zagajnik pośrodku równiny.

– Pozycja kluczowa! – od razu domyślił się Hamnisz. – Muszą zająć ten lasek, jeżeli chcą nas zatrzymać nad jeziorem!

– A jeśli to my go obsadzimy i utrzymamy? – spytał kotołak.

– Wtedy będziemy mieli pole do manewru i dosyć miejsca, żeby znów ustawić wozy w kolumnę marszową – odpowiedział najemnik. – Psiakrew, kapitanie! nie rób mi tu egzaminu na patent oficerski, tylko się bierzmy do roboty!

– Co chcecie uczynić? – spytał Niczro.

– Będziemy jednocześnie bronić kręgu wozów nad jeziorem i tamtych drzew – wyjaśnił Ksin.

– Podzielicie wojowników – zauważył milczący dotąd Hakonóż. – Może ich nie starczyć do obrony jednego i drugiego naraz.

– Nie trzeba będzie bronić drzew i wozów jednocześnie – odpowiedział Hamnisz. – Oni najpierw muszą bić się z nami o ten lasek! Mamy dość jazdy, by utrzymać pole pomiędzy zagajnikiem a obozem.

- To będzie jakieś sto pięćdziesiąt kroków – ocenił Niczro.
- I tyle nam trzeba, żeby wyrwać się stąd na tę waszą pustynię, jeżeli będzie warto!
- Pod warunkiem, że dobrze ich wcześniej poszczerbimy – zauważył Ksin.
- Ma się rozumieć! – skinął głową Ronijczyk. – Trzeba im wybić jak najwięcej koni.
- Hakonózu! – rozkazał Ksin. – Bierz swoich pieszych wojowników i ścinajcie te drzewa.

Zróbcie z nich pochyłe płoty...

– Ale przywiążcie je mocno do pniaków, żeby się ich nie dało rozwłóczyć – dodał Hamnisz.

– Jak każesz, książę – Hakonóz zawrócił konia.

– A wy, czcigodni, szykujcie się do drogi! – kotołak spojrzał na szamana i Najstarszego Umysłem. – Nasze życie jest w waszych rękach!

Ampeker i Niczro bez słowa położyli dłonie na sercu.

* * *

Przy wtórze łoskotu toporów wozy koczowników kolejno zjeżdżały nad jezioro i ustawiały wzdłuż brzegu, tworząc spłaszczony okrąg z owalnym placem pośrodku. Pancerna drużyna Ksina zgromadziła się na równinie pomiędzy stawianym właśnie obozem a zagajnikiem, gdzie krzątali się strzelcy i halabardnicy Hakonoża. Kotołak wezwał do siebie dowódców jazdy. Datro i Alkran nie mogli doczekać się bitwy, po Czaszkunie jak zwykle nie dało się poznać żadnych uczuć.

– Kiedy skończą ustawiać wozy, ty, Datro i ty, Alkranie weźmiecie swoich ludzi do obozu i każecie im zsiąść z koni, tak żeby was nie było widać.

– Nie uderzymy pierwsi? – zapytał rozczarowany Alkran.

– Uderzycie – uśmiechnął się – ale dopiero, gdy dam wam znak. Oni myślą, że mamy tylko setkę jazdy, więc nie będziemy się od razu chwalić, że w istocie są trzy. Czaszkunie, ty ze swoimi staniesz przed linią wozów, będziecie udawać, że osłaniacie obóz.

Upiorna głowa pochyliła się na znak zrozumienia.

– Datro, nakażesz wszystkim pieszym wojownikom w obozie, żeby bronili wozów i w żadnym razie nie wybiegali do nas na pole. Wyznacz wedle swego uznania starszych, którzy potrafią tego dopilnować.

– Będą narzekać, że pozostali z kobietami – zauważył młody setnik.

– Nie byli szkoleni, więc niech siedzą z łukami i oszczepami na wozach i nie próbują zadzierać z prawdziwym wojskiem! – stwierdził stanowczo Ksin. – Powiedz im, że muszą bronić kobiet i dzieci, gdyby w zamieszaniu jakiś oddział zaatakował obóz. I każ natychmiast związać każdego, kto nie okaże posłuszeństwa!

Datro położył rękę na sercu.

– Czyńcie, co nakazałem! – polecił Ksin i pojechał do zagajnika, który Hamnisz i Hakonóż przekształcali w mały, warowny gród. Razem z innymi pracował tu Wół: pod kierunkiem Hory przenosił pnie ściętych drzew i układał zasieki.

– Kobiety z procami to ja bym odesłał na wozy – powiedział Hamnisz, podchodząc do siedzącego na koniu Ksina.

– Nic z tego, bo Arpia zgodnie ze zwyczajem musi walczyć u boku Hakonoża, a tamte jej podlegają – odrzekł kotołak. – Lepiej zrób dla nich miejsce, żeby mogły rozkręcać proce.

– Dziwny to zwyczaj, ale niech będzie – niechętnie zgodził się Ronijczyk.

– A ty byś nie chciał mieć swej towarzyszki broni?

– Były dwie takie – odrzekł chmurnie najemnik. – I żadna nie przeżyła... Zresztą, co może proca przeciw zakutemu w stal wojowi? – zmienił temat.

– O to się nie kłopotz, zobaczysz, co one potrafią – uspokoił go kotołak.

– Wszakże tego ciołka – Hamnisz obejrzał się na Woła – to jednak trzeba będzie odesłać. Mało kto potrafi kusze w rękach naciągać, ale on podobno boi się krwi?

– To prawda.

– Tu jej będzie dużo, a jeszcze, nie dajcie bogowie, coś go zrani, dostanie szał w środku bitwy i rozniesie nas w drzazgi razem z całym tym szańcem...

– Masz rację – zgodził się Ksin. – Co radzisz?

– Niech naciąga kusze skryty za wozami. Odeślę z nim trzech kuszników i cztery kusze, żeby strzelanie sprawniej szło. Dobrze będzie mieć kilku strzelców nad jeziorem. My tu sobie jakoś poradzimy.

– Przednia myśl! – zgodził się kotołak i podjechał do Hakonoża, który nadzorował przygotowanie pozycji dla halabardników.

– Ilu włada halabardami naprawdę dobrze? – spytał Ksin.

– Z pięciu – westchnął Hakonóż. – A i tym do mnie daleko... Za mało było czasu, by ich dobrze wyuczyć. W zamian, bogom dzięki, oszczepników mamy zacnych, nie raz już kłuli grubego zwierza...

– Ale nie możecie zanadto wychodzić za zasieki.

– Wiem to – skinął głową wojownik. – Ale tu, gdzie można się skryć i łucznicy pilnują pleców, powinno być dobrze – stwierdził.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, Hakonożu?

– Niech przyniosą nam więcej wody, jeśli mamy tu dłużej siedzieć.

– Dopilnuję tego – zapewnił kotołak, po czym zamienił jeszcze kilka słów z Arpią. Polecił jej, by nakazała swoim procarkom celować przede wszystkim w konie, najlepiej w nogi i łby.

– Tak, starszy bracie – odpowiedziała dziewczyna, kładąc rękę na sercu.

Ksin zawrócił do obozu, jak się okazało – w porę. Trafił w środek awantury, bo aż dwudziestu wojowników, głównie tych z nowego plemienia, stwierdziło, że nie zamierzają

wraz z kobietami bronić wozów, gdyż byłoby to dla nich ujmą na honorze, kiedy inni mężczyźni będą walczyć naprawdę. Opór był tak silny, że Datro nie mógł sobie dać rady. Ogólna bijatyka wisiała w powietrzu.

Nie było czasu na dyskusje i tłumaczenia. Zeskoczył z siodła i przekształcił w kotołaka, zanim dotknął ziemi. Z głuchym rykiem dopadł największego krzykacza i uderzył na odlew prawą przednią łapą. Zmiażdżona głowa oderwała się o szyi. Pozostali buntownicy cofnęli się, wydając jęk przerażenia.

Ksin chwycił najbliższego pazurami za ramię i udo, zawinął nim nad głową i cisnął w pozostałych, przewracając pięciu czy sześciu. Następnie z uciekających kopnął w tyłek tak, że nieszczęśnik wyleciał pod głowy uciekających i spadając nadział się na czyjś oszczep. Być może nie był to dlań najgorszy los, bo mając strzaskany krzyż nigdy więcej nie mógłby chodzić.

– STAC!!! – wrzasnął na nich Ksin, już w ludzkiej postaci.

Posłuchali i zamarli w bezruchu. Gapili się na kotołaka wytrzeszczonymi oczami, bladzi, dygoczący na całym ciele, a dwóch posikało się ze strachu.

– Tacy z was wojownicy?! – zapytał Ksin, ujmując się pod boki. Stojący za nim drużynnicy wybuchnęli śmiechem.

Ci z buntowników, którzy jeszcze trzymali się na nogach, upadli na twarz.

– Obiecaliście posłuszeństwo! – mówił kotołak, starając się naśladować ich dialekt i akcent. – Gdzie wasze słowo?!

Wspierając się na kosturze pospiesznie nadszedł Darlen i zakrzyczał coś gniewnie do klęczących wojowników. Mówił za szybko, by Ksin zdołał go zrozumieć, ale buntownicy jeszcze bardziej spokornieli.

– Nie będą... godni... walczyć – przemówił Ksin, z trudem dobierając słowa. – Będą... nosić wodę i... rąbać drzewa... – odwrócił się do Darlena. – Woda, dużo, zanieść... do las... – wydukał zły, że nie ma pod ręką ani Saro, ani Ampekera, któremu różnice w koczowniczych dialektach nie sprawiały żadnych trudności.

– Ja rozumieć – odparł Darlen, naśladowując z kolei dialekt znany Ksinowi. Starzec odwrócił się, przyłożył kostur po grzbiecie najbliższemu z klęczących i znów zagadał coś bardzo szybko. Awanturnicy powstali, zostawiając na ziemi całą broń i pobiegli do jeziora po wodę.

Ksin skinieniem przywołał Datro.

– Nie spełniłeś moich oczekiwań! – wyrzucił z gniewem.

Młody wojownik natychmiast spuścił wzrok.

– Ten, kto dowodzi setką ludzi, musi mieć woli za stu! – kontynuował reprimendę kotołak. – Zawieź mnie jeszcze raz, a przestaniesz być wodzem! Zrozumiałeś?

– Tak, książę! – zapewnił z determinacją zawstydzony Datro. – Więcej nie zawiodę!

– Zajmij się swymi wojownikami! – Ksin odwrócił się na pięcie, wskoczył na konia i podjechał do oddziału Czaszkuna.

Ci stali już w pełnej gotowości, w równym szeregu przed zewnętrzną linią wozów. Czaszkun znów pomalował sobie głowę na czerwono, dodając jeszcze fioletowe zygzyki wokół oczu. Miał na sobie czerwony płaszcz i wypolerowany do złotego połysku spiżowy pancerz. Wyglądał jak sama śmierć, czekająca na rozkazy kotołaka. Ksin zbliżył się do okaleczonego setnika i skinął mu z aprobatą. Potem w milczeniu stanął obok. Razem obserwowali przygotowania.

Niebawem do zagajnika pobiegli poskromieni buntownicy, niosący garnce i bukłaki z wodą. Obrócili jeszcze dwa razy. Za trzecim wzięli ze sobą siekiery i topory. W międzyczasie zakończyło się ustawianie nowego obozu. Ludzie Datro i Alkrana pozdejmowali hełmy, żeby nie zdradziły ich odblaski słoneczne i wraz końmi ukryli się za wozami. Z zagajnika, w którym wycięto już wszystkie drzewa, dochodził nieustanny stukot ciesielskiej roboty.

Pierwszych wrogów zobaczyli godzinę później. Wyłonili się z zarośli, po stronie przeszłości, jakieś tysiąc kroków od obozu. Było to pięciu zwiadowców. Przez dłuższą chwilę przyglądali się koczownikom, potem zawrócili. Wtedy Hamnisz odesłał do obozu Woła i Horę wraz z grupą kuszników, którzy zaczęli szykować sobie gniazdo strzeleckie na lewym krańcu taboru. Odgłosy rąbania drewna przybrały na sile. Wkrótce Hakonóż przysłał ludzi po dodatkowe liny i łańcuchy. Kiedy wracali, Ksin pojechał za nimi, by sprawdzić postęp w budowie umocnień. Było daleko do ideału, zwłaszcza, że brak czasu nie pozwalał usypać wałów, wykopać fosy czy rowów, choć ustawiono już najważniejsze palisady, zasieki i ściany z bali dla osłony łuczników, kuszników, procarek oraz halabardników. Ścięte gałęzie posłużyły do zamaskowania ostrokołów. Kotołak z daleka pozdrowił uniesioną dłonią Hamnisza i Hakonoża, po czym zawrócił na poprzednie miejsce.

Gdy dojeżdżał, głucho zadudniła ziemia. Chwilę później blisko cztery setki ciężkiej jazdy wytoczyło się na nadjeziorną równinę. Załopotał sztandar wolnej kompanii – na czarnym tle wielka złota moneta, pod nią dwa skrzyżowane miecze, w dole czaszka. Ksin widział już ten sztandar i słyszał o służących pod nim najemnikach. Była to z pewnością ostatnia jednostka, która po śmierci Korathosa ulegałaby demoralizacji. Wprawdzie siły były wyrównane, ale kotołak nie miał wątpliwości, że gdyby to on dowodził tymi żołnierzami przeciw koczownikom, z tego plemienia zostałyby tylko parę grupiek przerażonych uchodźców... Wszystko zależało teraz od talentu wrogiego dowódcy.

Tamten z pewnością nie zamierzał czekać aż Hamnisz i Hakonóż bardziej wzmocnią swoją pozycję. Bez wątpienia szybko docenił pomysł Ksina: odległy od skupiska wozów i przekształcony w małą twierdzę zagajnik nie tylko skutecznie uniemożliwiał oblężenie koczowniczego taboru, ale także odbierał atakującym najdogodniejsze miejsce do założenia własnego obozu. Zaraz za niemal doszczętnie wykarczowanym lasem, równina znów zaczynała opadać i zamieniała się w bagno. Między trzęsawiskiem a pozycją koczowników

można było wprawdzie łatwo przejechać, ale nie dało się obozować, bo cały teren był w zasięgu strzał z łuku, nie mówiąc o kuszach. Wyparcie ludzi Ksina z ich umocnień stanowiło więc dla atakujących problem najpilniejszy. Dlatego, chociaż było już późne popołudnie, a konie najemników zmęczone pościgiem, zaczęli natychmiast formować szyk bojowy.

Stuk siekier ustał nagle.

Ksin patrzył, jak zwierają się pancerne linie wrogów i dumiał, czy setka dowodzonej przez Czaszkuna stojącej na widoku jazdy zostanie przez wodza najemników uznana za wystarczająco niewielkie zagrożenie. Od powodzenia tego podstępu zależał los całej bitwy. Tamten z pewnością wiedział od niedobitków spod skarpy, ile jazdy brało udział w pierwszej bitwie, a więc...

Udało się! Najemnicy uformowali słabe prawe skrzydło, na którym naprzeciw ludzi Czaszkuna stanęła także setka najemników. Przeciwnik Ksina swe główne siły – przeszło dwustu pancernych – uszykował w centrum do ataku na las. To oznaczało, że mocno osłabił też własne lewe skrzydło. Teraz wszystko zależało od tego, jak Hamnisz i Hakonóz poradzą sobie z miażdżącym uderzeniem przeważającego liczebnie wroga...

Najemnicy zaatakowali bez żadnych wstępów, prób negocjacji czy harcowniczych popisów. Cała wroga linia zruszyła się nagle i zaczęła sunąć na koczowników. Najpierw powoli jak lawa, potem przyspieszyli, sprawnie rozdzielając się na trzy części. Centrum wysunęło się do przodu i nabierając prędkości pognało na zagajnik z impetem fali przyływu. Prawe skrzydło bez pośpiechu zboczyło w kierunku taboru, by trzymać w szachu oddział Czaszkuna, a lewe zostało z tyłu – zapewne przypadła mu rola odwodu.

Ksin czekał.

Pierwsza salwa z kusz była doskonale wycelowana. Hamnisz nie pozwolił strzelcom rozproszyć pocisków. Wszystkie bełty wleciały chmurą w środek szyku, zwalając kilkanaście koni, czyniąc ogromną wyrwę w linii atakujących, wręcz ją przepoławiając. Gdyby zaraz nastąpiła druga i trzecia taka salwa, los natarcia byłby przesądzony. Niestety nie było tam Woła, żeby szybko naciągnąć kusze... Łuki nie były aż tak skuteczne.

Jeźdźcy wpadli na zamaskowane palisady. Trzask łamanego drewna i przeraźliwy wizg koni rozniosły się po całej równinie. Wśród zieleni zamigotały opadające ostrza halabard. Wyskoczyli oszczepnicy. Na skraju zagajnika zakotłowało się gwałtownie. Rozpędzona jazda najpierw spiętrzyła się gwałtownie na czołowych zasiekach, po czym opłynęła pozycję koczowników z obu stron, szukając w niej słabych miejsc. Ludzie Hamnisza i Hakonoża znaleźli się w oku cyklonu. Ksin zobaczył, jak jeden z najemników zarzuca pętlę na osłaniający łuczników płot i odjeżdża, próbując go wyrwać i wywlec za sobą. W chwili, gdy lina napięła się, żołnierz runął na ziemię wraz z koniem. Nie zauważył, że powiązane razem, zaostrzone pale, umocowano jeszcze łańcuchem do pniaków pozostałych po ścięciu drzew... Niefortunny jeździec w popłochu umknął spod kopyt swych towarzyszy. Tuż obok zwałił się kolejny przeszyty strzałą koń. Jeździec przeokoziółkował przez głowę, zgubił hełm, zdołał

wstać i natychmiast padł, trafiony w głowę pociskiem z procy. Metalowe kulki chwilami dolatywały aż do linii Czaszkuna, ale na szczęście nie miały dość impetu, by zaszkodzić swoim.

Tymczasem kusznicy na wozach zaczęli ostrzeliwać prawe skrzydło najemników. We trzech, nawet z pomocą Woła, nie byli w stanie przepędzić przeciwników z pola, ale skutecznie psuli im szyk, co rusz trafiając człowieka lub wierzchowca. Najemnicy szczelnie osłonili się tarczami. Najwyraźniej byli zdecydowani wytrwać wśród bzykających niczym szerszenie beltów.

Walka o zagajnik osiągała apogeum. Pancerni z uporem wdzierali się między umocnienia, siekąc je z furją i próbując dosięgać kryjących się za nimi koczowników. Padali jeden po drugim od wystrzeliwanych z paru kroków strzał, masowo tracili konie, ale nie ustępowali i nic nie wskazywało na to, by mieli zrezygnować. Sforsowali już najbardziej wysunięte do przodu palisady.

– Datro i Alkran! – zawołał kotołak. – Na koń!

Drużynnicy natychmiast założyli hełmy i wskoczyli na siodła. Wyjechali z taboru dwoma szeregami przed dwie specjalnie przygotowane bramy i zaczęli sprawnie ustawiać się w dwóch liniach, naprzeciw prawego skrzydła najemników. Wśród przeciwników zapanowało poruszenie, także jeźdźcy krążący wokół zagajnika zaczęli przystawać i oglądać na to, co się dzieje.

– Równać front! – krzyczał Ksin, podjeżdżając do formującej się konnicy. – Trzymać szyk! Za wszelką cenę utrzymać szyk! Zrozumiałeś Datro?!

– Tak, książę! – odkrzyknął setnik, którego ludzie tworzyli pierwszy szereg.

– Żadnych popisów w pojedynkę! – wrzasnął kotołak do Alkrana.

– Tak, książę!

– W nich! – machnął ręką Ksin, pokazując prawą flankę najemników i zatoczył koniem wracając do Czaszkuna.

– Równooooo! – zaciągnął Datro. – W przóóóó!!!

Ruszyli wolno, jak na ćwiczeniach. Parskały konie zmuszane przez jeźdźców do trzymania szyku. Najważniejsze zachować rytm... Przeszli w kłus.

– Równaaaaj! Równaaaaj! – wydzierali się setnicy.

Skupieni na prowadzeniu koni niemal nie zwracali uwagi na najemników, którzy nie mieli takich kłopotów i już rwali ku nim galopem. Żołnierze starali się uciec do przodu przed ostrzałem z taboru. Wydawało się, że wręcz zmiotą toczące się umiarkowanym kłusem linie koczowników, te jednak, właśnie dlatego, iż nie rozpędziły się zanadto, okazały się mieć spoistość muru. Wojownicy Ksina nadstawili włócznie...

Zwykle linie szarżującej jazdy wpadają na siebie niczym klingi krzyżowanych mieczy, błyskawicznie wecinając się głęboko w siebie nawzajem. Tym razem było inaczej. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Rozległo się potężne, przeciągłe, głuche ŁUUUP!

Zderzające się piersiami konie aż przysiadły na zadach, niektóre zwały się do tyłu na grzbiet niby ogromne żuki. Potem dopiero ludzie kotołaka wydali z siebie przeciągły krzyk i walka zawrzała ze zwykłą gwałtownością.

O lasek bito się nadal, bez wyraźnej przewagi żadnej ze stron. Czas pracował na korzyść najemników, gdyż koczownikom przyzwyczajonym do szybkich starć brakowało rutyny i wytrwałości niezbędnej w długiej, mozolnej rąbaninie. Na szczęście Hamnisz i Hakonóz byli urodzonymi przywódcami, rozumieli się w pół słowa i potrafili skłonić swych ludzi do zgranego współdziałania. Na razie więc obrona trzymała się krzepko.

Po kwadransie najemnicy na prawym skrzydle zaczęli ustępować pod naporem pancernych kotołaka. Nie dali się jednak rozbić i właściwie należałoby powiedzieć, że to oni skutecznie powstrzymali szarżę dwukrotnie liczniejszych koczowników. Gdyby Alkran i Datro nie zdołali utrzymać dyscypliny, z pewnością dwie trzecie drużyny Ksina poszłoby już w rozsypkę. Pytanie, na jak długo miało wystarczyć im świeżo nabytych umiejętności? Zatem i tu wynik walki wisiał na włosku...

Mimo wszystko, wobec wyraźnej przewagi koczowników na swym prawym skrzydle, dowódca wolnej kompanii musiał działać szybciej niż zamierzał i użyć odwodu utrzymanego na lewej flance. Było to nieco ponad pół setki jeźdźców.

Ksin liczył na to, że jego przeciwnik pchnie odwód do samodzielnego ataku, by odciążyć prawą flankę i tym samym podzielił swe siły na trzy części, które będzie można z wiązać walką niezależnie od siebie. Tamten nie był jednak aż tak głupi. Zrobił rzecz najbardziej zaskakującą i morderczą zarazem – spieszył żołnierzy i posłał ich do ataku na las, koncentrując się na najważniejszym celu tego starcia. Całkowicie zignorował postępy koczowników na prawym skrzydle, polegając najwyraźniej na sprawności i wyszkoleniu swych ludzi.

Kotołak zaklął. Zagajnik był dobrze umocniony przeciwko jeździe, ale nie przeciw piechocie! Pięćdziesięciu ciężkozbrojnych piechurów atakujących jedno miejsce, wspartych przez jeźdźców, którzy stracili konie i po części kryli się teraz beczynnie za ich trupami, z pewnością musiało przełamać linię obrony i utorować jeździe drogę w głąb zasieków. Potem wystarczyłoby zwinąć prawe skrzydło, skupić wszystkie siły do walki o zagajnik i zmusić koczowników do morderczej walki na wyczerpanie, w jakiej ci prędzej czy później musieliby ulec. Jedyna szansa Ksina polegała teraz na tym, że piesi najemnicy potrzebowali na dotarcie do zagajnika znacznie więcej czasu niż konni...

– Czaszkun, w lewo zwrot! – zakomenderował.

Setnik uniósł w górę oba swoje oszczepy ozdobione czerwonymi kitami i pochylił je razem, pokazując kierunek.

– Jeden za drugim, naprzód! – rozkazał Ksin. – Dwójkami!

Czaszkun w lot pojął zamiar wodza, znakami oszczepów nakazując sformować kolumnę. Ksin wyjechał na czoło i pociągnął koczowników za sobą. Popędzili, objeżdżając z lewej walczących na prawym skrzydle.

W tym momencie najemnicy zrobili rzecz zupełnie niewiarygodną! Nie dość, że nagle przestali się cofać przed ludźmi Alkrana i Datro, to jeszcze błyskawicznie zmienili front. Połowa oderwała się od koczowników i uformowała drugą linię, prostopadłą do pierwszej, tworząc wielką literę „L” i zagradzając drogę pancernym prowadzonym przez kotołaka. Najwyraźniej za nic mieli fakt, że mają do czynienia z blisko pięciokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Zadanie tego oddziału musiało polegać na tym, by w czasie walki o zagajnik związać jak najmniejszymi siłami możliwie największą liczbę przeciwników.

Ksin musiał przyznać, że wywiązywali się z tego wybornie. W pełni zasłużyli na sławę, którą cieszyli się w mieście Korathosa. Właśnie doprowadzili do tego, że w środku starcia ponad setka koczowników musiała stanąć i czekać beczynn timer, aby przepuścić ludzi Czaszkuna. Najemnicy doskonale wyczuli moment i wykorzystali go całkowicie. Kotołak nigdy nie widział wojska manewrującego na polu bitwy z tak szaloną brawurą!

Lecz tak jak on nie docenił ich, tak i oni nie docenili jego. Kiedy bowiem w pełnym galopie pomiędzy zaciężnych żołnierzy wpadł ryczący demon z uniesionymi wysoko szponami, pozostała im tylko pogarda śmierci.

Kotołak zamaszystym ruchem obu łap potężnie rozgarnął na bok ludzi i konie. Przez moment wręcz płynął w zbrojnym tłumie, wyszarpując najemników z siodeł razem ze strzemionami. Leciały w górę kawałki rozdartych pazurami pancerzy, naramienników, urywana z ręką tarcza. Obalił kogoś razem z koniem, stratował, zwałił następnego. Jakaś głowa... miecz... noga... koński łeb... Wszystko to pomknęło gdzieś w dół, na boki, aż przed Ksinem otworzyła się wolna przestrzeń.

W zrobiony przez kotołaka wyłom w szyku najemników, niczym woda rozrywająca tamę, wdarli się zbrojni Czaszkuna. Za nimi runęli beczynni dotąd ludzie Datro. Pozostali, idąc ze przykładem Ksina, na wyścigi naparli na resztki wroga, zastępując dotychczasową zimną dyscyplinę wybuchem szalonego zapału i entuzjazmu.

Koczownicy nie rozbili najemników, nie stratowali, ani nie odrzucili – po prostu porwali ze sobą! I jedni i drudzy pognali za Ksinem, rąbiąc na odlew i dżgając w plecy. Przemieszany tłum swoich i wrogów w tej jedynej w swoim rodzaju szarży runął na żołnierzy biegnących do zagajnika. Ci stanęli jak wryci. Przez chwilę patrzyli, nie wierząc własnym oczom, po czym na gwałt zaczęli formować czworobok. Pochylili włócznie i z jeszcze większym zdumieniem obserwowali, jak w pierwszej kolejności nadziewają się na nie towarzysze broni, gdyż kilkunastu z nich, naciskanych po bokach przez ludzi kotołaka, nie miało żadnej innej możliwości niż gnać prosto przed siebie i wpaść na ostrza swoich...

Można było szybko zmieść pieszych żołnierzy, ale kosztowałoby to co najmniej dwie dziesiątki dodatkowych zabitych i rannych, a Ksin pamiętał, że musi oszczędzać ludzi.

Pokazał Czaszkunowi kierunek i ominęli zmieszany czworobok z obu stron, szerokim łukiem zawracając w kierunku zagajnika. W ten sposób rozdzielili się z najemnikami, którzy czym prędzej skręcili w przeciwną stronę.

Wśród żołnierzy atakujących lasek, na widok kilkuset zbrojnych odcinających im odwrót, zapanowała panika. Po prostu rozpiezchli się grupkami po kilku, kilkunastu, desperacko szukając drogi do swoich. Szanse na to mieli tylko jeźdźcy. Pieszyc czekała rzeź. Ponad połowa koczowników zaczęła krążyć po równinie, polując na uciekających wrogów. Jakaś grupa konnych najemników w zamieszaniu wpadła na tabor, ulewa strzał niemal natychmiast pozbawiła koni większość z nich, a zaraz ogarnęli ich ludzie Czaszkuna i wyrąbali w parę chwili. Ksin zauważył, że żaden z przeciwników nie próbował się poddać, a niektórzy osaczeni rzucali się na miecze lub podrzynali sobie gardła. Pozostawione na skarpie dowody okrucieństwa zrobiły swoje.

Ksin z kilkudziesięcioma jeźdźcami pozostał przy zagajniku, obserwując rozbitych najemników, krążących po stronie przeszłości. Stanowili jeszcze znaczną siłę, ale byli całkowicie rozproszeni i bardzo zmęczeni, zwłaszcza ich konie. Nie byli zdolni do żadnego zorganizowanego działania. Na razie też nie było widać, by w ogóle ktoś nimi dowodził. Ten dzień kończył się dla nich całkowitą klęską. Przepadł nawet gdzieś sztandar, wokół którego mogliby się zjednoczyć.

Sztandar odnalazł się szybko. Zza zagajnika wyjechał nagle chorąży ze znakiem wolnej kompanii w towarzystwie około dziesięciu żołnierzy. Z boku natychmiast ruszył na nich zagon koczowników Alkrana, próbując osaczyć i przyprzeć niedobitków do skraju fortyfikacji. Widząc przed sobą jeszcze oddział Ksina, żołnierze gwałtownie pognali wierzchowce. Koń chorążego musiał być ranny, bo nie zdołał dotrzymać kroku reszcie i został z tyłu.

W tym momencie zza palisady wybiegła Arpia kręcąc procą. Rzuciła – i koń chorążego zakwiczał boleśnie, podkulając lewą tylną nogę. Nieporadnie postąpił jeszcze dwa kroki i zwałił się na bok wierzgając kopytami. Chorąży zdążył wyjąć stopy ze strzemion i klęcząc obok poranionego zwierzęcia właśnie podnosił sztandar, gdy Arpia stanęła trzy kroki za nim, miotając kolejny pocisk. Musiała trafić w kark, bo najemnik zesztyniał i upuścił drzewce. Dziewczyna odepchnęła go, porwała chorągiew i zaczęła uciekać do swoich.

Pozostali najemnicy zawrócili z głuchym rykiem wściekłości – wprost na pewną śmierć, byle tylko wcześniej dopaść koczowniczkę. Ksin ocenił szybkość, odległość i stwierdził, że jej nie dogonią.

Lecz Arpia się o coś potknęła...

Padła jak długa, zaraz wstała, ale jej przewaga zniknęła bezpowrotnie.

Zostaw sztandar!, wykrzyczał do niej w duchu kotołak.

Nie zostawiła. Nie zamierzała rezygnować. Wszak do swoich brakowało już tylko pięciu kroków...

Miecz spadł na nią jak piorun. Nie zdążyła się uchylić. Zmartwiały Ksin ujrzał, jak od głowy Arpii odpada coś ciemnego, dziewczyna przewraca się po raz drugi, najemnik przerzuca oręż do lewej ręki, pochyla w siodle i chwytą opadające drzewce sztandaru. Nie zdołał jednak go unieść, bo w tym momencie dłoń odrąbało mu ostrze dzierżone przez Hakonoża. W następnym mgnieniu oka wywijającego glewia wojownika otoczyli powracający żołnierze.

Zza zasieku wypadł Hamnisz, strzelając z biodra raz i drugi, a za nim – tłum oszczepników i halabardników. Doszli jeźdźcy Alkrana. Krzyki i szczęk ostrzy wybuchły z szaloną furją, aż ustały ucięte przeciągłym zgrzytem rozcinanej halabardą blachy. Najemnicy zginęli rozsiekani i zadźgani w jednej chwili, jak mucha zmiażdżona młotem na kowadle. Jeszcze tylko kwiknął przeciągle przewracany koń... i nastała cisza. Ogłuszająca cisza, w której Ksin zdał sobie sprawę, że pędzi na złamanie karku zobaczyć, co z Arpią.

Przedarł się przez pierścień znieruchomiałych wojowników i zeskoczył obok klęczącego Hakonoża, który tulił do siebie zalaną krwią młodą żonę. Arpia była nieprzytomna, lecz żyła, co można było poznać po falach krwi, rytmicznie spływających jej po policzku.

– Pokażcie! – przez tłum przepchnął się Hamnisz i szorstko odsunął Hakonoża. Zdjął z głowy Arpii resztki ochronnej peruki z plecionych rzemieni.

Ksin zdał sobie sprawę, że to, co odpadło od głowy dziewczyny, było ściętym kawałkiem tej osłony.

– Kość na wierzchu, ale czaszka cała... – oznajmił Ronijczyk uciskając palcami okolice cięcia. – Mocno krwawi, ale dobrze jest... Rozumek ma mały, to i brzeszczotem zmacać go trudno... – wyjął z sakwy przy pasie kłęb szarpi, przycisnął do rany i kazał przytrzymać Hakonożowi. – Wieczorem to zeszyję... – oznajmił, po czym podniósł i obejrzał uważnie perukę Arpii. – Spójrz, kapitanie – pokazał Ksinowi. – Miała smarkuła szczęście! Rzemień był dość twardy, by zmienić kierunek cięcia. Gdyby nie to, ostrze wyszłoby środkiem twarzy i potem już tylko w legendzie wyglądałaby pięknie i żyła długo...

– Powinna nosić żelazny hełm – mruknął głucho Hakonóż.

– Powinna w namiocie siedzieć i robić, co do niej należy! – zirytował się Hamnisz. – Po co jej było tę szmatę brać?! Na co?! – dyszał, o dziwo, bardziej wzburzony od Hakonoża. – Puścić babę do bitki, to zaraz zaczniesz udowadniać, że lepsza od chłopów! Najwyżej do trzech razy taka sztuka! Następnym razem, jak będzie chciała sztandaru – dopilnuj, by go ładnie wyhaftowała!

Hakonóż zmilczał, dokończył opatrunek i wziął żonę na ręce. Arpia powiedziała coś niewyraźnie, nie otwierając oczu.

– Jeszcze trochę potrwa, zanim po takim ciosie całkiem dojdzie do siebie – powiedział łagodniej Ronijczyk. – Połóż ją w jakimś spokojnym miejscu, ale na boku, bo może jeszcze wymiotować... Ja wezmę twoją broń i tę szmatę – wskazał na zdobyczny sztandar, którego drzewce wciąż trzymała odrąbana dłoń najemnika.

Obaj odnieśli dziewczynę i jej trofeum do zagajnika. Pozostali wojownicy wrócili na stanowiska.

Bitwa już się skończyła. Jednak aż do zachodu słońc przeciwnicy stali naprzeciw siebie w odległości jakichś pięciuset kroków i obserwowali się wyczekująco. Dopiero po zmierzchu każda ze stron przekonała się, że ci drudzy już dziś nie zaatakują. Najemnicy cofnęli się i zabrali za rozbijanie obozu. Także koczownicy zaczęli rozpalać ogniska.

Kotołak zostawił stu jeźdźców do osłony zagajnika, resztę wycofał do taboru. Pozwolił wydać drużynom po kubku wina. Teraz zaczęło się świętowanie zwycięstwa. Z zabitych wierzchowców wroga powycinano połędwice i wkrótce wokół rozszedł się zapach pieczonej koniny.

Śmiali się i śpiewali jednak nieliczni. Radości wojowników wyraźnie nie podzielała plemienna starszyna; ci patrzyli na swego księcia z niemym wyrzutem. Ksin wołał nie pytać, jakie są straty koczowników. Wystarczyło, że w pewnej chwili zobaczył minę Assisa i postanowił, iż nie będzie się dodatkowo denerwować. Z Amarelis też wołał nie rozmawiać. Wygrana go nie cieszyła. Kiedy opadło bitewne napięcie, dominującym uczuciem znów stała się niepewność. Nie miał nawet ochoty poznać strat wrogów, choć były z pewnością znaczne. Co z tego, że wygrali bitwę, skoro niczego to nie zmieniało? Najemnicy ochłoną przez noc i spragnieni zemsty staną do kolejnej rozprawy. Wiedzieli już o nich wszystko i następnym razem będą sprytniejsi...

Przez całą noc kotołak samotnie krążył po obozie. Bez końca sprawdzał strażę, nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Odmawiał, kiedy proszono go, by przysiadł się do jakiegoś ogniska. Z nikim nie chciał rozmawiać. Sądono, że obmyśla jakieś przebiegłe plany, więc nie ośmielano się mu przeszkadzać. A on z desperacją graniczącą z rozpaczą czekał na wiadomość od Ampekera i Niczro.

Owszem, wiedział: nerwy niczego nie zmieniają, nic nie przyspieszają, ale po prostu nie potrafił być spokojny. Miał wrażenie, że wszystko zepsuł, że prowadzi swych ludzi na nieuchronną zagładę, że jest ich przekleństwem.

Prędzej czy później ktoś zapyta go, jak długo jeszcze będą tak uciekać? Nie wiedział, co odpowiedzieć, choć posiadał kilka gotowych odpowiedzi. Bo w żadną z nich sam tak naprawdę nie wierzył. Miał liczyć na jakiś cud, którego źródłem były narkotyczne majaczenia? Nieważne, co mówił o tym Niczro... Obiecał im ocalenie, zapewnienie szczęścia, a tymczasem był najbardziej bezradny z nich wszystkich. Bo oni przynajmniej wierzyli w niego...

Ponuro, w nieskończoność, przetrawiał ten gorzki absurd.

* * *

Brzask zastał Ksina poza taborem, pochylonego w kulbace i ponuro wpatrzonego w step po stronie przyszłości. Wyglądał majestatycznie, jak na prawdziwego wodza przystało. Miał tego świadomość i przez to tym bardziej czuł się niczym ostatni oszust i szarlatan. Może rzeczywiście był szarlatanem? Tak głupim, że aż oszukał samego siebie...

– Mój książę! – młody wojownik podbiegł i przyklęknął na jedno kolano, kładąc rękę na sercu.

– Mów! – rozkazał chrapliwie kotołak, rozpoznając w nim członka eskorty Ampekera i szamana.

– Najstarszy Umysłem przekazuje ci, mój książę, dobre wieści.

– Dobrze...? – nie uwierzył własnym uszom.

– Tak, dobre – zapewnił młodzieniec. – Czcigodny Ampeker kazał przekazać, że na pustynię można wejść.

– Co dokładnie mówił?

– Że nie powie mi wszystkiego, bo coś poprzekręcam. Na pustynię można wejść – powtórzył wojownik.

– A Niczro?

– Czcigodny szaman mówi, że bogowie nie są przeciwni.

– Dobrze, możesz odejść.

Ksin odszukał swych setników. Czaszkun, Alkran i Datro czekali opodal i patrzyli na swego księcia jak na półboga. Nawet w oczach Czaszkuna było to widać.

– Ruszamy o świcie! – rozkazał kotołak.

* * *

Najemnicy z opóźnieniem zorientowali się, że koczownicy zwijają obóz nad jeziorem. Dopiero po godzinie, kiedy połowa kolumny wozów była już sformowana, pojawiło się dwustu żołnierzy w pełnej gotowości. Nie zaatakowali jednak; widok osłaniających tabor blisko trzech setek pancernych jeźdźców oraz stojącej na skraju zagajnika piechoty Hakonoża skutecznie odstraszał. Spróbowali zaczepić tylną straż dopiero gdy koczownicy porzucili swe umocnienia w okaleczonym lasku, ale zniechęciła ich morderczo celna salwa z kusz. Od tej pory podążali za nimi, trzymając się poza zasięgiem bełtów.

Godzinę później pojawili się Ampeker i Niczro. Obaj wyjechali z zarośli i dołączyli do czoła kolumny.

– Nie zarządzaj postoju, książę! – zawołał Najstarszy Umysłem na widok Ksina.

– Mamy prosto z marszu wejść na Pustynię Zmian? – zdziwił się.

– Tak, książę. Ale to nie jest żadna pustynia.

– Głupi przesąd, który trwał przez całe pokolenia, bo nikt nie zechciał go sprawdzić – dodał Niczro. – Głupota sama z siebie nigdy nie przemija, wciąż się tylko odradza...

– O czym mówicie?! – zniecierpliwił się Ksin.

– Tutejsi nazwali to miejsce pustynią, bo sądzili, że są tam tylko złudzenia i zmieniające się miraże, za którymi w istocie kryje się całkowicie jałowa i martwa ziemia. Wymyślił to jakiś głupiec, ogłosił i tak już zostało na wieki.

– A naprawdę co tam jest? – zapytał kotołak.

– To jezioro czasu – odrzekł Ampeker. – W innych miejscach czas wciąż płynie przed siebie, a tutaj się rozlewa. Znaczący, płynie i tutaj – uściślił – ani wolniej, ani szybciej, ale tworzy też rozlewisko. To jest trochę jak jezioro, przez które przepływa rzeka.

– A co z tymi zmianami?

– To fale przyszłości oraz przeszłości, tworzące się na jeziorze czasu. Przypływają i odpływają, powodując chwilowe zmiany. Tylko chwilowe! – podkreślił z naciskiem Ampeker. – Nie ma się czego bać, podobnie jak obrazów w krzywych zwierciadłach. Trzeba się nauczyć je odróżniać od stanów trwałych i to wszystko. Proste, prawda?

– Więc czemu tutejsi na to nie wpadli? – zdziwił się Ksin.

– Bo w głupocie swojej wierzyli, że tabu musi być bezwzględnie przestrzegane i nie ważyli się badać natury zmian – odpowiedział Niczro. – Zatrzymali się na samym progu Państwa, ale my go przekroczymy...

– Sądzicie, że najemnicy Świetlistego tam za nami nie pójda?

– Nie pójda – odparł spokojnie Ampeker. – O tym jednak potem. Na razie musimy uprzedzić naszych ludzi, by się nie bali.

– Być może nowi będą chcieli zachować wierność tabu – ostrzegł Niczro. – Mogą okazać nieposłuszeństwo.

– Na to się już nie odważą... – zapewnił go Ksin, uśmiechając się paskudnie. – Idźcie!

* * *

Kiedy przekraczali granicę Pustyni Zmian obok przejeżdżającego taboru zakwitła w oczach dzika jabłoń. W połowie kolumny wozów pojawiły się jabłka, które dojrzały i opadły, zanim drzewo minęła tylna straż. Potem zmiany zaczęły ogarniać samych koczowników. Dzieci dorastały nagle, dziewice zachodziły w ciążę, starcy zamieniali się w wyschłe mumie, budząc okrzyki zdumienia i przerażenia. Podobnym przemianom podlegały również zwierzęta oraz przedmioty. Hamnisz wpadł w szal, kiedy mu zardzewiała kusza i z trudem dał sobie wytłumaczyć, że to minie bez śladu. Ampeker i Niczro jeździli od wozu do wozu, uspokajając wystraszonych koczowników, zapewniając, że zmiany zaraz się odwrócą, wystarczy tylko cierpliwie poczekać. Ponieważ mimo tych zapewnień niektórzy zaczęli wpadać w panikę, Ksin zarządził przerwanie marszu w głąb pustyni, do czasu aż niedowiarkowie przekonają się o słuszności słów szamana i Najstarszego Umysłem.

I rzeczywiście, po godzinie zaczęły się pierwsze zmartwychwstania połączone zarazem z odmłodzeniami. Ciężarnym dziewczętom zaczęły znikać brzuchy, dojrzali wojownicy znów stawali się niemowlętami, a kilkoro dzieci wróciło do łona matek. Tym razem zachodzące zmiany przyjmowano ze śmiechem. Wstrząśnięty Czaszkun na kwadrans odzyskał twarz. Okazał się być bardzo przystojnym młodzieńcem. Największy kłopot miał Assis: część rannych w oczach odzyskała zdrowie, za to inni zamienili się w gnijące trupy, co jednoznacznie wskazywało, kto przeżyje, kto umrze...

Wreszcie Ksin nakazał wznowić wędrówkę. Ponieważ najemnicy cały czas trzymali się na dystans strzału z kuszy, dopiero teraz pierwsi z nich przekroczyli granicę Pustyni Zmian. Z początku cofnęli się w popłochu, potem jednak przemogli obawy i zaczęli posuwać się śladem koczowników.

– Zaczekajmy tutaj – powiedział nagle Najstarszy Umysłem do Ksina.

– To niebezpieczne – zaoponował kotołak. – Powinniśmy podążać razem z tylną strażą.

– A niech nas zaatakują! – uśmiechnął się tajemniczo Ampeker. – Wtedy zobaczą coś więcej...

Ksin wydał rozkazy.

Najemnicy na widok grupy kilkunastu koczowników, którzy niespodzianie stanęli, odłączając się w ten sposób od wciąż wędrującej kolumny, zamarli w pół kroku. Kiedy jednak żołnierze zobaczyli, że jazda osłaniająca tył taboru znika na horyzoncie, ruszyli w kierunku maruderów, jednocześnie rozwijając szyk bojowy. Przewidywali, że pozostawiona z tyłu grupa to przynęta, wietrzyli jakiś podstęp, więc byli ostrożni, ale wszelkie wątpliwości rozwiewał zwiększający się nieustannie dystans pomiędzy końcem kolumny a pozostawioną z tyłu grupą. W końcu odległość przekroczyła wszelkie granice zdrowego rozsądku i skuteczna odsiecz z taboru stała się niemożliwa. Wtedy najemnicy spięli konie i popędzili na czekających spokojnie koczowników. Gdy zbliżyli się na sto kroków, Ampeker podniósł laskę i zakrzyknął coś melodyjnie.

Popiół wspomnień... Kurz historii... Echa zdarzeń...

Okazało się, że te poetyckie określenia, tu, na Pustyni Zmian, nie są li tylko metaforami, ale czymś bardzo konkretnym, a przynajmniej wyraźnie widocznym. Poruszona czarem powierzchnia czasu wytworzyła falę, która porwała ze sobą kurz, pogłosy i cienie o niepokojących kształtach. Przed najeżdżającymi żołnierzami wyrosła nagle mętna, widmowa ściana, przypominająca wodospad płynący leniwie z dołu do góry i zapadający się sam w siebie. Jedynie nieliczni jadący z tyłu żołnierze zdołali w porę ściągnąć wodze. Większość z rozpędu wpadła w falę czasu i razem z końmi zamieniła w pożółkłe szkielety, okryte zetłętymi szmatami oraz przerdzewiałym żelastwem, znieruchomiałe w pół ruchu. Towarzyszące im dźwięki ucichły do odległych szeptów.

– To stojąca fala dalekiej przyszłości – wyjaśnił rzeczowo Ampeker. – Przez ostatnią noc nauczyłem się kilku nowych zaklęć, a właściwie to sam je skomponowałem – w głosie starca

zabrzmiała prawdziwa duma. – Doprawdy, skromne to zaklęcia, ale myślę, że na początek wystarczą – dodał. – Teraz zaś sprawimy, aby ten stan się utrwalił... – odwrócił się i znów coś zakrzyczał.

Falujący kurz opadł. Razem z nim kości końskie i ludzkie, resztki metalu i zbutwiałych siodeł z grzechotem usypały się w bezładne stosy. Pozostali przy życiu najemnicy zachowali dość odwagi, by nie wydawać okrzyków przerażenia. Po prostu zawrócili, podcięli wierzchowce i rzucili się do szaleńczej ucieczki na złamanie karku.

– Uciekajmy i my! – zawołał Ampeker szarpiąc wodze. – Zanim wzburzona powierzchnia czasu znów się uspokoi, powstanie na niej wiele fal i zmian, niektóre mogą okazać się trwałe! Jeszcze nie umiem panować nad tym do końca...

* * *

– Ja na ich miejscu oddałbym pieniądze i wrócił do domu – stwierdził Hamnisz, kiedy opowiedziano mu, co zaszło. – Najemnik nie jest od tego, by popełniać samobójstwo na życzenie zleceniodawcy. A dokładniej sprawę biorąc, to zgodnie z niepisanym kodeksem, który, jak znam honor, musi obowiązywać we wszystkich światach, najemników wynajmuje się do mieczowej roboty i do spraw, jakie można rozstrzygnąć mieczem. Na magię jest inna magia i swoje porachunki czarownicy mają załatwiać między sobą. Ten, kto nie jest czarownikiem, nie przeżyje magicznej bitwy. Dlatego w razie wplątania mieczowego najemnika w wojnę, którą mogą rozstrzygnąć tylko czary, jego kontrakt od razu wygasa. Czasem nawet pieniędzy zwracać nie trzeba. Choć ja bym tam zwrócił.

– To oznacza, że jesteśmy bezpieczni? – spytał Niczro.

– Od ludzi żyjących z miecza, tak – skinął głową Ronijczyk. – Możliwe jednak, że Świetlisty postanowi ścigać nas osobiście...

8. OGIEŃ NIENAWIŚCI I MIŁOŚCI

Zobaczyli go głęboką nocą, pięć dni po bitwie nad jeziorem, na szczycie odległego wzgórza. Najpierw długo stał i świecił na szczycie, potem zaczął schodzić w ich kierunku. Tylko koci wzrok Ksina mógł dostrzec zarys ludzkiej sylwetki. Dla pozostałych Świetlisty był tylko złowrogą gwiazdą pełznącą po powierzchni ziemi.

– Dotrze do nas jutro w nocy – ocenił Niczro.

– Nie powstrzyma go stal ani ogień – dodał Ampeker. – Mogę spróbować magii, ale on też ją zna.

– Wtedy rozkołyszecie powierzchnię czasu i wzburzone fale zaleją tabor... – zauważył Ksin. – Nie możemy zatem ani na niego czekać, ani ty, Ampekerze, nie możesz narażać się w walce. Jesteś potrzebny naszym ludziom tutaj!

– Niech zatem rozstrzygną moce Onego – rzekł Assis.

– Ja i Najsza wyjdziemy mu na spotkanie – postanowił kotołak. – Powinniśmy się spotkać z nim jutro około południa...

– Jadę z wami! – oznajmił stanowczo Hamniesz.

Ksin obejrzał się na kusznika i skinął twierdząco głową. Ronijczyk i Karyjka żyli ze sobą od pierwszej nocy spędzonej przez plemię na Pustyni Zmian. Ampeker nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ale o ile Ksin i Amarelis nie podlegali żadnym zmianom, to w przypadku Najszy okazały się one trwałe. Modliszkołaczka zamieniła się w dojrzałą, niezwykle piękną kobietę, która natychmiast zwróciła na siebie uwagę kusznika. Na wieczornym postoju okazało się, że Hamniesz mówi także po karyjsku, zatem szybko znaleźli wspólny język...

Następnego dnia Karyjka zaczęła wyraźnie unikać Ksina. Kotołak ze swej strony nie narzucał się i nie wtrącał w jej związek z Hamnieszem, pozwalając obojgu nacieszyć się krótkim szczęściem.

Zdaniem Assisa pełnia suminorskiego Księżyca powinna powtórzyć się w Pierwszym Świecie za jakieś dziesięć, dwanaście nocy... Zdecydowanie za szybko, ale zaburzenia w magicznej mechanice nieba były zbyt silne, aby mógł to być przypadek. Obecność Najszy w Pierwszym Świecie powodowała narastający dysonans. Assis powiedział to Ksinowi i Hamnieszowi. Kusznik przyjął wiadomość spokojnie, ale od tej chwili zaczął traktować Saro z

o wiele większą powagą i sympatią niż dotychczas. W ciągu dnia dużo ze sobą rozmawiali. Przeważnie o Bertii.

Pojawienie się Świetlistego oznaczało, że czas dany Najszy i Hamniszowi skrócił się o dwie trzecie. Los Karyjki miał się dopełnić za kilkanaście godzin. Ksinowi przyszło do głowy, że ona i kusznik mogą uciec, ale znając honor i lojalność Ronijczyka natychmiast pozbył się wątpliwości.

* * *

Nazajutrz wszyscy odjechali, ale Najsza i Hamnisz nie wychodzili ze swego namiotu. Ksin czekał z końmi kilkadziesiąt kroków dalej. Wiedział, że tam są, słyszał ich głosy, ale stanął tak daleko, by nie móc odróżniać słów. Nie chciał podsłuchiwać.

Wreszcie wyszła Najsza i zaczęła robić śniadanie. Nie zjadł z nimi, choć go zapraszali, nawet na nich nie patrzył i nie ponaglał. Mieli czas. To znaczy, on miał wiele czasu...

Kiedy skończyli i przygotowali się do drogi, Hamnisz bez słowa podpalił namiot. Potem oboje wsiedli na konie i pojechali za kotołakiem, nie oglądając się za siebie. W drodze ogarnęły ich dwie fale czasu. Na Ksina i Najszą nie miały żadnego wpływu, ale Hamnisz najpierw został zgarbionym, siwobrodym starcem, potem nagle gaworzącym niemowlęciem. Najsza zręcznie chwyciła go zanim spadł z siodła, ukołysała, uspiła i jechała trzymając w ramionach, wpatrzona w małą twarzyczkę. Ksin zajął się bronią oraz wierzchowcem najemnika. Sprawdzając kuszę zauważył, że Ronijczyk załadował trzy srebrne i trzy berylowe bełty.

Emanację Świetlistego dało się wyczuć godzinę przed spotkaniem. Poznali się od razu. Rzeczywiście, był to były mag-namiestnik, któremu ucięto głowę. Mogli wymieniać myśli i słowa, ale tamten nie chciał rozmawiać. Nie był to już podrzędny demon, lękliwie ustępujący pod naciskiem woli Ksina. Spotęźniał i pozbył się wszelkich cech ludzkich. Przekazywał tylko emocje: wynaturzoną nienawiść i żądzę zemsty, stanowiące cały sens jego egzystencji. Z każdym krokiem natężenie opętanej złości Obecności było coraz silniejsze, aż wreszcie złowrogie vibracje stały się wyczuwalne dla koni i zwierzęta zaczęły się boczyć. Wtedy Ksin dał Najszy znak, żeby stanęła i zsiadła z konia.

Zmiana Hamnisza nie cofnęła się jeszcze, więc kobieta usiadła z dzieckiem w cieniu. Zgodnie z planem przygotowanym przez Assisa, Najsza na razie nie była potrzebna, więc Ksin ruszył sam na spotkanie z wrogiem.

Świetlisty też był sam. Tak się przynajmniej zdawało. Drugiego dnia po bitwie nad jeziorem ustały sygnały świetlne, które wymieniali w marszu jego najemnicy. Wcześniej kilkakrotnie powtórzyło się słowo „powrót”. Nie dało się stwierdzić, czy rozstali się w zgodzie, czy w gniewie, z całą pewnością jednak inne oddziały nie przekroczyły granicy Pustyni Zmian.

Ksin jeszcze raz spróbował nawiązać mentalny kontakt ze Świetlistym, sięgając głębiej niż poprzednio. Efekt był taki, jakby poruszył trupa z gniazdem szerszeni w środku. Umysł kotołaka zalała rozedrgana nienawiść. Aż dziwne, że istota zwana Świetlistym była jeszcze zdolna myśleć, snuć intrygi, planować i rozkazywać. Jak bardzo można nienawidzić? Żaden z napotkanych kiedykolwiek przez Ksina stworów Onego nie miał w sobie aż tyle złości i zawiści – tu aż kipiących w czarnej otchłani umysłu będącej przewrotną odwrotnością imienia. W przeciwieństwie do Świetlistego, upiory Onego nie były świadome siebie i dokonanego wyboru... Wyboru!

Na chwilę zanim go zobaczył, kotołak zrozumiał, co jest celem tamtego. Świetlisty pragnął zostać demonem czystego zła! Robił wszystko, by utożsamić się z Kłębowiskiem Ciemności, zwanym też przez magów Najgorszą Istotą – i właśnie wywiązywał się z kolejnego zadania, mającego umożliwić mu zjednoczenie. Nie mógł dostąpić wyższych demonicznych wtajemniczeń, póki nie pomścił sam siebie...

Ksin przystanął zdumiony. Kto przekazał mu tę wiadomość? Przecież nie Świetlisty, który – przynajmniej w tej chwili – był jedynie bestią niezdolną używać zrozumiałych słów. Kotołak za późno spostrzegł, że w cieniu rozedrganej nienawiścią potężnej emanacji Świetlistego kryją się inne, mniejsze Obecności...

Siedem byłych posągów Korathosa. Trzy żeliwne i cztery spizowe. Trudno było je rozróżnić, bo od stóp do głów zostały zbryzgane zakrzepłą i zwęgloną krwią. Nosiły też ślady świeżych cięć. Walczyły z najemnikami? To już nie było istotne... Ważne, że Świetlisty nie był jednak sam!

Ksin wyjął Szpon, przekształcił się w kotołaka i ruszył śmiało. Świetlisty był trzy razy wyższy od normalnego mężczyzny i blisko dwa razy od towarzyszących mu posągów. Jego rozżarzona do białości zbroja razila oczy nawet w pełnym świetle dnia. W miejscu twarzy ziało wnętrze pieca. Tam, gdzie stąpnął, paliła się ziemia i zostawały jałowe łysiny.

Na widok Ksina nie wykonał żadnego ruchu, za to siedem posągów natychmiast z łoskotem obstało swego władcę.

Z nami będziesz miał sprawę, usłyszał kotołak w swojej głowie. To my przekazujemy zamysły naszego pana i niesiemy śmierć przez niego pomyślaną.

Do was nie mam żadnej sprawy, odpowiedział stając na tylnych łapach i unosząc Szpon. Przychodzę zgasić tę kukłę!

Ukarzemy cię za bluźnierstwo!

Posągi runęły na Ksina, aż zatrzęsa się ziemia.

Ksin ani przez chwilę nie zamierzał używać przeciwko nim Szpona. Wiedział, że stał jest tu na nic, podobnie jak kły i pazury. Nie miał szansy naruszyć metalu ożywionego czarami i mocą Onego. Należało uderzyć w źródło, nie w jego emanację. Wydrzeć spod palających śmiercionośnym blaskiem blach kryjącego się pod nimi pająkołaka i rozszarpać na kawałki. Wtedy przestaną istnieć cienie demonicznej świadomości, mające swe siedliska w posągach.

Tak mówiła magiczna wiedza przekazana niegdyś Ksinowi przez Rodmina. Jej fragment dotyczący ożywiania metalowych posągów, mówił jeszcze, że natury metalu nie można zmienić, że każdy czar może być do niej tylko dodany.

Kotołak uświadomił sobie, iż na początek powinien wykorzystać fakt, że spiż i żelazo nie straciły swej masy...

Statuy stworzone niegdyś przez Korathosa, teraz służące jego byłemu namiestnikowi, były szybkie i zręczne, ale i tak za ciężkie, żeby schwytać śmigającego pomiędzy nimi kotołaka. Wystarczyło im jednak zwinności, aby nie dopuścić go do swego pana. Ksin szybko zrozumiał, że jeśli zatrzyma się choć na chwilę przy Świetlistym, który obserwował walkę z pozornie stoickim spokojem, posągi natychmiast dopadną go i rozerwą na strzępy. Dlatego jedynie markował ataki na najważniejszego przeciwnika, udając, że chce rozłupać Szponem pancerz na jego piersiach, po czym natychmiast wymykał się śmigającym ku niemu metalowym ramionom. Robił kolejne uniki, przemykał im między nogami, odbijał się od korpusów i wymanewrowywał tak, że z hukiem wpadały na siebie.

Ksin wiedział, że statuy się nie zmęczą, podobnie jak on, ale nie mogli się tak bawić bez końca, bo wreszcie musiał zmęczyć się metal...

Gdy posągi biegały, pochylały się i poruszały rękami, ich ulane z litego spiżu i żeliwa torsy oraz kończyny gięły się pod wpływem gigantycznych, nadnaturalnych sił. Nie pękały i nie łamały się, bo zabezpieczała je przed tym i utrzymywała w całości magiczna forma. Jednak sam metal, zginany wciąż w tę i z powrotem, zaczynał się coraz bardziej rozgrzewać. Już po kwadransie ganiań za Ksinem wszystkie statuy rozpały się do czerwoności. Walcząc wcześniej z ludźmi, chłodziły się krwią wyżymanych nad sobą ciał. Obecnie nie miały takiej możliwości. Ksin umyślnie nie pozwalał im ostygnąć, aż wreszcie cztery posągi odlane z topiącego się łatwiej spiżu zaczęły wyraźnie mięknąć.

Nie rozpląły się. Nie pozwoliła na to magiczna forma, wbrew wszystkiemu utrzymująca zaklęty wcześniej kształt, ale żółtawe statuy wyraźnie straciły szybkość i zręczność. Nogi uginały się pod nimi, gdy skakały za Ksinem, a kiedy przypadkiem wpadły na siebie – rozdzielały się z widocznym trudem. Dotąd nie pozwoliły kotołakowi nawet zadrasnąć Świetlistego; teraz, gdy pierwotną sprawność zachowywały już tylko trzy posągi żeliwne, Ksin wykorzystał okazję.

Przemknął się między nimi i z rozmachem uderzył Szponem w kolano Świetlistego. Nie miał szansy przerąbać grubej jak pień drzewa metalowej nogi i nie o to chodziło. Potrzebował tylko kęsa metalu, fragmentu przedmiotu należącego do maga!

Szpon wbił się w rozpaloną blachę, była dość miękka. Ksin spostrzegł, że zapala się na nim ubranie. Ciął głęboko i podważał, desperacko unikając żelaznej dłoni próbującej go chwycić za kark.

Nie dał rady! Wygięty kawałek świecącego metalu nie odpadł od nogi Świetlistego, który postąpił szybko dwa kroki do tyłu. Kotołak dostał kopniaka w brzuch, potoczył się i poderwał

na nogi. Zaatakował po raz drugi, lecz drogę zastąpił mu posąg spiżowy. Chlasnął go na odlew pazurami lewej łapy. Teraz, gdy metal się rozplynał, cios nadnaturalnej istoty zdołał naruszyć magiczną formę i ze zranionej statuy trysnął na kociołaka stopiony brąz. Ksin miał wrażenie, że znalazł się w hutniczym piecu. Nigdy dotąd nie walczył w żywym ogniu. Rozpalone posągi obstały go ze wszystkich stron. Nie czuł oparzeń. Zdawało mu się, że sam jest płomieniem. Kolejny spiżowy z rozplatanym szponami brzuchem zaczął wykrwawiać się potokiem złocistego metalu. Trzeci – z rozharataną, rozpluwającą się nogą – musiał usiąść na ziemi.

I wtedy jeden z żeliwnych złapał Ksina za ogon, poderwał w górę, zawinął i uderzył nim o innego żeliwnego. Tym razem wraz z falą obezwładniającego bólu rozeszła się woń palonej sierści. Kociołak wytrzymał, zwinął w dymiący kłęb i uwolnił się, bez wahania odgryzając sobie ogon. Na chwilę wszystko się pomieszało, nie wiedział gdzie jest góra, gdzie dół. Widział iskry, ale nie miał pojęcia, czy rozpryskują się wokół niego, czy istnieją tylko w jego głowie. Na pewno czuł w żyłach ogień. Zdawało mu się, że ulega kolejnej Przemianie, choć było to niemożliwe. A może jednak było? Moc Onego buchała w nim falami w rytmie uderzeń serca.

Jak to się stało, że ostatni spiżowy posąg stracił głowę i błyskawicznie zmienił się w ognistą kałużę? Nieważne! Ważne, że Ksin znów na mgnienie oka znalazł się sam na sam ze Świetlistym – i ciął z rozmachem w to samo miejsce. Kawałek wydzielającej śmiercionośne światło zbroi poleciał w dymiącą trawę. Buchająca jaskrawoczerwonym żarem żeliwna statua natychmiast zasłoniła Świetlistego swym korpusem, ale kociołak nie zamierzał zadawać drugiego ciosu. Skoczył za odpadającym kawałkiem blachy i chwycił go w zęby. Dotyk elektryzował, ale nie parzył. Zawrócił i pobiegł do Najszy.

Gońcie go!, zadudniło w głowie Ksina.

To był sam Świetlisty. W końcu przestał upajać się nienawiścią, kontemplować czyste zło i wreszcie przemówił. Ze strachem.

Żeliwne posągi pobiegły za kociołakiem, podpalając zarośla, przez które się przedzierały. Nie mogły go jednak dogonić.

Karyjka bawiła się kamykami z może trzyletnim chłopczykiem. Na widok Ksina, rozjarzonego od pełzających po nim zielonych błyskawic, wystraszone dziecko schowało się za kobietę. Kociołak upuścił przed nią odłamek zbroi i cofnął się. Instynkt podpowiadał mu, by nie wracać teraz do ludzkiej postaci, bo skończy się to ciężkimi poparzeniami. Najsza uspokoiła dziecko, głaszcząc je z roztargnieniem po głowie, po czym wzięła do ręki świecący metal. Natychmiast zmieniła się na twarzy, jej usta rozciągnął upiorny grymas. Poderwała się na równe nogi, brutalnie odtrącając małego Hamnisza, który zapłakał głośno.

Nie bacząc już na dziecko gwałtownym ruchem rozdarła suknię, odsłaniając lewą pierś, i wcisnęła sobie świecący metal prosto w ranę na sercu. Konwulsyjnie wygięła się do tyłu, a gdy się znów wyprostowała, była już całkowicie przemieniona w modliszkołaczkę.

Ksin odruchowo zasłonił Hamnisza, ale nie było potrzeby. Wszystko szło jak przewidywał Assis. Najsza przejęła całą żądzę zemsty Świetlistego i zwróciła ją przeciw niemu. Była teraz odbitym złym urokiem, powracającym do tego, kto go rzucił. Sama wszakże nie musiała nigdzie iść, bo właśnie z zarośli wypadły w burzy ognia trzy posągi żeliwne oraz sam Świetlisty, podążający za swą eskortą.

Najsza skoczyła wysoko w górę, przelatując wysoko nad głową zdeorientowanego żeliwnego i runęła prosto na napierśnik znacznie wyższego Świetlistego. Miała teraz całą jego magiczną moc i własny gniew, zwielokrotniające jej siłę. Podwójne cięcie zmienionych w szable rąk rozchlastało Świetlistego od czubka głowy do połowy torsu. Najsza nie spadła na ziemię, ale wczepiona w naramiennik jednym odnóżem, drugim kontynuowała dzieło zniszczenia, krojąc rozpalony metal jak papier. Najbliższy posąg spróbował ją ściągnąć na dół, ale z łatwością odrąbała mu rękę. Sam Świetlisty bronił się nieporadnie, niezdolny wykonywać nadnaturalnie szybkich ruchów. Modliszkołaczka uniknęła zadawanych na oślep ciosów, zwinnie przełaząc na jego plecy. Za moment oderwała mu całe ramię, a zaraz potem z rozłupanego głęboko korpusu wyleciały fragmenty jakiejś maszyneryi.

Wśród nich coś okrągłego...

Ksin chciał krzyknąć, ale Najsza też miała zmysł Obecności. Porzuciła rozprutą maszynę i długim owadziim susem skoczyła w ślad za sprawcą swej śmierci i Przemiany, będącym już tylko głową, umykającą w panice na pajęczych nóżkach. Pająkołak nie miał żadnych szans. Dopadła go w drugim skoku, uderzyła z góry i nadziała na swą szablę.

Dokonało się!

Posągi zamarły, zamieniając się w zwykłe bryły rozpalonego żeliwa, których jedynym przeznaczeniem było ostygnąć i powoli obrócić się w rdzę. Potrzaskana skorupa ze śmiercionośnego metalu, jakiej Świetlisty zawdzięczał swe imię, zachwiała się i runęła z łoskotem. Nie straciła jednak swych zabójczych własności. Przez całe tysiąclecia nic żywego nie zdołało wyrosnąć bliżej niż pięć kroków od niej. To, co wyrosło dalej, budziło zdumienie i lęk.

Najsza powoli zbliżyła się do Ksina. Nadziany na jej odnóże pająkołak jeszcze podrygiwał niemrawo. Modliszkołaczka i kotołak spojrzeli sobie w oczy.

Powiedz Hamniszowi, że umarłam szczęśliwa, bo wcześniej należałam do niego.

Powiem... przekazał Ksin.

Chwili z tobą nie żałuję też, bo dzięki niej mogłam zostać kobietą Hamnisza...

Odejdź w pokój!

Odchodzę...

Uderzyła drugim odnóżem, rozrywając pająkołaka na dwa kawałki, które natychmiast strawił niewidzialny ogień. Potem Najsza poczuła dotyk nadchodzącej śmierci. Wzdrygnęła się, skuliła i powoli położyła na boku. Umierała niczym pasikonik rzucony na gorącą blachę – kurczyła się i wysychała w oczach. W trakcie tego procesu, jakby mimochodem, stała się

znów człowiekiem, a na koniec była już tylko drobną, kobiecą mumią, skuloną w pozie embrionu. Wówczas nadeszła niewielka fala czasu i na chwilę zamieniła ją w małą, śpiącą dziewczynkę. Choć może tak Ksinowi tylko się zdawało, bo chciał, aby tak było...

– Pochowam ją... – powiedział cicho Hamnisz. Odzyskał już swój właściwy wiek. – Znajdę dla niej jakieś piękne miejsce, pełne kwiatów...

Kotołak nie odpowiedział. Nie mógł wrócić do ludzkiej postaci, gdyż ta nie wytrzymałaby mocy Onego, jaką wyzwolił z siebie w walce z posągami, a która nadal się w nim kłębiła. Żar rozpalonego metalu także wciąż trwał w jego ciele.

Ronijczyk troskliwie zawinął Najszą we własny płaszcz, wziął na ręce i gdzieś odszedł.

Ksin znowu czekał cierpliwie.

* * *

Przez pół roku wódz koczowników prowadził plemię przez Pustynię Zmian, wskazując drogę z niezachwianą pewnością. Fale czasu były dla nich łaskawe, nie przynosiły nieodwracalnych zmian, a Ampeker panował nad nimi coraz lepiej. Nauczył ludzi prostych zaklęć, pozwalających odróżniać stany chwilowe od rzeczywistych, dzięki czemu myśliwi mogli zacząć polować, a kobiety zbierać jadalne rośliny. Okazało się, że kamienie szlachetne – szczególnie diamenty – powstrzymują zafalowania czasu w najbliższym sąsiedztwie, więc wszyscy zaczęli je nosić. Stopniowo odszedł lęk i Pustynia Zmian stała się ich domem.

Dar Drogi opuścił Ksina dopiero wtedy, gdy zobaczyli opuszczone, bezimienne miasto. Nie ulegało wątpliwości, że to tu mieli przyjść. Nie było tylko jasne, czy zapłacili już pełną cenę za nadnaturalną pomoc, jaką otrzymali. Szaman Niczro nie przejmował się tym, natychmiast ogłosił, że z woli bogów to miasto będzie stolicą ich Państwa. Nazwał je Amarsin, na cześć Amarelis i Ksina.

Kotołak był ostrożniejszy. Przez trzy dni obozowali za częściowo zrujnowanymi murami, badając puste ulice, kamienne domy i ich podziemia. Sądząc po zniszczeniach spowodowanych przez deszcze i wiatr stały one samotnie już od tysięcy lat. Po żywych mieszkańcach pozostały tylko ociosane z grubsza kamienie. Nie było dzieł sztuki czy wizerunków. W zamian nie brakowało wody, a całkowicie zdziczałe ogrody cieszyły oczy bujną zielenią. Ksin najbardziej obawiał się upiorów, ale nie znalazł żadnego, ani za dnia, ani w nocy. Miasto było naprawdę opuszczone. Wtedy zdecydował, że tam zamieszkają.

Na życzenie szamana weszli do miasta w uroczystej procesji przy wtórze rytualnych bębnów. Najpierw tańczący Niczro, potem uzbrojeni mężczyźni, za nimi kobiety i dzieci, wreszcie wniesiono w lektyce Amarelis będącą w ostatnich dniach ciąży. Zaraz za nią tak samo podróżowała Arpia, której brzuch już było wyraźnie widać. Ksin i Hakonóż wraz z innymi wojownikami czekali na swe kobiety za bramą. Samotny Hamnisz trzymał się gdzieś na uboczu.

– Książę! – oznajmił donośnie Niczro. – Bogowie Stepu sprzyjali ci i pozwolili bezpiecznie przyprowadzić nas do Państwa. Dotrzymałeś słowa i od tej chwili jesteś naszym królem!

– Królowo – powiedział Ksin, patrząc tylko w oczy Amarelis. – Tutaj urodzisz naszego syna!

KONIEC

*Warszawa,
maj/lipiec 2004 r.*